

Juraszek Truchan
Hatasz Sawicki
Sokół Kilian



Oficyna wydawnicza
RW2010

SZABLA I WĄSEM

SZABLĄ I WĄSEM

**antologia opowiadań sarmackich
pod redakcją Dawida Juraszka**

**Oficyna wydawnicza RW2010
Poznań 2014**

Created by Bevitore

PRZEDMOWA

Łaskawa/y Czytelniczko/niku!

Jeżeli szukasz szablą i wąsem, kontuszem i dworkiem, ogniem i mieczem pisanych opowieści, książka ta Cię nie zawiedzie.

Jeżeli jednak, moja Pani Czytelniczko/mój Panie Czytelniku, do wszystkiego, co sarmackie stosunek masz niechętny i podejrzliwy, niejedno przeżyjesz tutaj zaskoczenie.

Nie o to bowiem Autorkom i Autorom oraz niżej podpisanemu idzie, by utartym szlakiem i wygodnym tempem podążać, lecz by w nowe ramy stary pejzaż oprawić (albo w stare nowy), by inny wiersz do znanej melodii ułożyć (lub do znanego inną)...

Trzecie *exemplum* niepotrzebne – na pewno wiesz już, Czytelniczko/Czytelniku tej krótkiej przedmowy, czego na kolejnych stronach spodziewać się możesz.

D.J.
Chiny, Kanton, marzec 2012

Andrzej Sawicki

MACHINE DE POLOGNE

Promienie majowego słońca przebijały się z trudem przez korony drzew. Zanim padły na piach, muskały skórzane kaftany i kapelusze dragonów, ślizgały się po żelaznych lufach bandoletów i muszkietów, skrzyły się w sierści spoconych wierzchowców, migotały na husarskich zbrojach i rękojeściach szabel.

Śląskim lasem ciągnęły w tumanach pyłu kolumny jeźdźców. Dwóm chorągwiom, husarskiej i dragońskiej, towarzyszyła lekka jazda komputowego wojska. Na końcu kolebały się ciężkie wozy zaprzężone w czwórki. Kawaleria musiała zwalniać, a czasem nawet przystawać, by pozwolić taborom nadążyć. Najbardziej drażniło to Feliksa Potockiego, porucznika husarii, wysokiego dwudziestoparolatka o płowej czuprynie.

– Bodaj was! – warknął wreszcie, odwracając się w siodle. – W tym tempie i za tydzień nie dojedziemy... – Pogroził pięścią woźnicy i ogólnie wszystkim komputowym z oddziałów Tytusa Burattiniego, do którego należały wozy.

– Daj spokój, bo jeszcze Italianiec zobaczy i się obrazi – mruknął potężny młodzieniec, pułkownik i dowódca wyprawy, Jan Sobieski.

– A tam obrazi – prychnął najstarszy wiekiem z trójki oficerów, rotmistrz dragonów, Mikołaj Grudziński. – Pewnie pogna na skargę do tej francuskiej harpii.

– Hamuj się, rotmistrzu. – Jan groźnie zmarszczył brwi. – Nie przystoi mówić w ten sposób o królowej, nawet wśród zaufanych przyjaciół i kiedy wokół nie ma ciekawskich uszu.

Grudziński nie sprawiał jednak wrażenia skruszonego. Uśmiechnął się tylko i mrugnął porozumiewawczo do Feliksa. Jana nie zdziwiło takie zachowanie; sam też nie przepadał za Jej Wysokością, jak i zresztą żaden szanujący się szlachcic. Ich trójka ponadto miała dodatkowe powody do niechęci. W samym środku wojny, kiedy pokonana Rzeczpospolita podnosiła się z kolan po bolesnej klęsce i oddziały wierne Janowi Kazimierzowi wreszcie zaczynały bić Szwedów, zostali zwyczajnie odwołani z pola i wysłani gdzieś na koniec świata. W takiej chwili! Po pięknym zwycięstwie pod Warką i udanym oblężeniu Torunia, kiedy Polacy gromadzili się, by odbić udręczoną Warszawę, trzem młodym żołnierzom zwyczajnie zamykało się drogę do chwały, do możliwości udowodnienia swego męstwa i bicia się za wolność ojczyzny. I po co? By odeskortować ulubionego magika królowej do miejsca jej zesłania! To było niczym policzek. Nic dziwnego, że się wściekali.

Jan nie próbował zatem strofować rotmistrza, ba, walczył ze sobą, by nie dodać czegoś jeszcze bardziej kąśliwego o francuskiej lisicy. Powstrzymał się jednak; mimo wszystko zamierzał wykonać królewski rozkaz.

– Ponoć widziałeś ją z bliska, Janie – zagaił Grudziński, najwyraźniej nie chcąc dać za wygraną. – Naprawdę jest tak wyuzdana? Gadają, że każe wszystkim pannom z fraucymeru chodzić z niemal zupełnie odsłoniętym biustem! A cyce sama ma wielkie, o, takie... I też lata prawie goła. A chutliwa jest ponad miarę i, na zmiłowanie Boskie, nie gardzi w łożu towarzystwem kobiet, niczym Safona.

– O kim mówisz, do stu diabłów? – Sobieski groźnie zmarszczył brwi.

Feliks Potocki zaśmiał się głośno, w jego błękitnych oczach błysnęła wesołość. Jan

spiorunował go wzrokiem, ale po chwili machnął ręką. A co tam! Lepiej żeby się śmiali, niż siedzieli w siodłach naburmuszeni, zgrzytając zębami. Nie miał dziś ochoty odgrywać groźnego dowódcy, ślepo wykonującego rozkazy.

– O tych odsłoniętych biustach też słyszałem – dodał Potocki. – I jeszcze, że ma zdanie na każdy temat i nie waha się mądrzyć w różnych oficjalnych sytuacjach, nie bacząc na miejsce należne białogłowie. Szepcze królowi na ucho przez całe noce i tak potrafi go omamić, że jaśniepan robi wszystko, co mu powie. I swoje panny uczy ponoć tego samego. Biada ich przyszłym mężom! Zamiast posłusznej niewiasty, wiernej i opiekującej się domem, dostaną się im sfrancuziałe harpie, przemądrzałe, wyuzdane i nazbyt pyskate.

– Prawda to, Janie? – Mikołaj wyszczerzył się do Sobieskiego. – Tyś bywały w świecie i na królewskich dworach. Poznałeś królową i jej fraucymer?

– Poznałem. – Młodzieniec kiwnął głową. – W czasie sejmu warszawskiego, wiosną ubiegłego roku. Historie o wyuzdaniu królowej to tylko bajdurzenia kabotynów, którzy chcą przypodobać się jej wrogom. Wszyscy w otoczeniu Ludwiki noszą się, co prawda, z francuska, ale tak samo ubiera się i zachowuje szlachta w całym chrześcijańskim świecie. Nie znaczy to – zastrzegł się szybko – że pochwalam te cudzoziemskie stroje i obyczaje. Pasują do polskiego dworu jak pięść do nosa. Są tak samo chybione, jak inne próby królowej, by zrobić z Rzeczypospolitej drugą Francję.

– Nigdy! – uniósł się Grudziński. – Nie będziemy zakładać peruk i żabotów, wylewać na siebie wonności i pudrować nosów!

– To wszystko furda! – Potocki machnął ręką. – Najważniejsze to nie dopuścić, by ta jędza osadziła na polskim tronie jakieś francuskie książątko. Wprowadzi nam swoje obce prawa i co się wtedy stanie z naszą złotą wolnością?

Sobieski popatrzył na kompanów z ukosa. Tak po prawdzie, to Grudzińskiemu nie zaszkodziłyby francuskie perfumy, bo śmierdział jak cap. Feliksowi z kolei przydałoby się ukrócić nieco tę złotą wolność, bo choć jeszcze młody, zdążył już zerwać niejedną sejmik.

– Bij Francuzów, bij, wzięwszy dobry kij – zaintonował rotmistrz. – Wal Francuzów, wal, wbijaj ich na pal!

– Siecz Francuzów, siecz, zaostrzywszy miecz – przyłączył się porucznik. – Tnij Francuzów, tnij, to ich będzie mniej!

Jan pokręcił głową, ale uśmiechnął się pod wąsem. Nie zdążył jednak włączyć się do przyśpiewki, bo niespodziewanie rozległ przeraźliwy ryk rogu. To wysłany podjazd alarmował o zagrożeniu. Prowadząca chorągiew dragonów wyjechała już z lasu na łąkę. Husaria i komputowi tkwili jeszcze na piaszczystej drodze, między drzewami. Trzej oficerowie wymienili szybkie spojrzenia, a potem jak jeden mąż dali koniom ostrogę.

Gdy wypadli z lasu na otwarte pole, ujrzeni, jak kolumna dragonów zjeżdża z drogi okalającej niewielkie wzniesienie. Najpewniej postanowili zawrócić i ukryć się w gęstwinie.

Nie zdążyli. Zagrzmiała salwa, zakwiczały ranione konie, dragoni zakłęli, próbując utrzymać się w siodłach. W powietrzu rozniósł się zapach palonego prochu, tak często w ostatnich latach zatruwający polskie powietrze.

– Tam, na wzgórzu! – Mikołaj Grudziński wskazał ręką. – Jasna cholera, to chyba czarni jeźdźcy!

Niemieccy rajtarzy na służbie Karola Gustawa, którzy swą nazwę wywodzili od czernionych napierśników, galopowali właśnie po wzgórzu, równoległe do kolumny dragonów. Wykonywali manewr zawracania całą linią, by zwrócić się drugim bokiem do

przeciwnika. Wypalili salwą z pistoletów, a jako że każdy z nich miał po dwa puffery w olstrach, ustawiali się, by powtórzyć ten manewr, mierząc drugą ręką.

– Robią karakol! – zawołał Jan. – Husaria, za mną!

– Mam spieszyć dragonów? – dopytał jeszcze Grudziński.

– Nie, mogą się przydać konno – rzucił Sobieski przez ramię, wysuwając się przed wojsko.

Husaria wyjechała stępa z lasu. Jan dobył szabli i wskazał kierunek ataku.

– Bij, zabij!

Chciał uderzyć w bok kirasjerów, zanim ci zdążą powtórzyć salwę. Potocki dołączył do niego, wrzeszcząc ponagłajaco na żołnierzy. Grudziński tymczasem wpadł między dragonów, by zaprowadzić pośród nich porządek. Kirasjerzy wypalili tym razem nierówną salwą, i to zanim jeszcze część z nich zdążyła ustawić się do strzału. Chmura dymu na chwilę zasnuła stok niewielkiego wzniesienia. Znowu zakwiczały boleśnie konie dragonów, kilku ranionych jeźdźców spadło w wysoką trawę.

Chorągiew husarska błyskawicznie rozwinęła się do szarży i już po chwili gnała pod górę z łomotem, dzwonieniem rynsztunku oraz narastającym szumem skrzydeł. Wiatr załopotał proporcami na uniesionych kopianach, ziemia zadudniła pod kopytami masywnych wierzchowców. Pędzący przodem dwaj młodzi oficerowie zrównali się z linią kawalerzystów i po chwili wtopili się między nich.

Kirasjerzy tymczasem zrezygnowali z dokończenia manewru. Nie próbowali też ustawić się do szarży z wyciągniętymi rapierami, jak mieli w zwyczaju. Na widok szarży ciężkiej jazdy, zawrócili konie i beładną kupą rzucili się do ucieczki.

Dragoni zapanowali nad zamieszaniem w szeregach, zanim jeszcze husaria osiągnęła szczyt wzniesienia, i ruszyli za nią. Grudziński zawrzał gniewem, spostrzegłszy, że komputowi Burattiniego nie dołączyli do walczących, tylko dalej jadą drogą, eskortując wozy. Sam mistrz, na smukłym gniadoszu, pojawił się na przedzie kolumny i popędzał podwładnych. Czyżby brał nogi za pas, nie interesując się przebiegiem starcia ze Szwedami?

Tymczasem husarze, grmiąc niczym nadchodząca burza i trzęsienie ziemi w jednym, wgalopowali na rozległe, płaskie wzniesienie. Kirasjerzy jechali bez widocznego pośpiechu w stronę zagajnika, oglądając się tylko ni to nerwowo, ni to prowokacyjnie. Kilku z nich nawet zawróciło i wypaliło w stronę husarii z bandoletów.

Sobieski zatrzymał chorągiew ruchem ręki. Ciężka jazda, niczym wielka, żelazna machina, zatrzymała się z brzękiem i łomotem, z trudem wyhamowując pęd.

– Co wyprawiasz, Janie? – oburzył się Potocki. – Mamy ich na widelcu! Atakujmy!

– Nie żartuj, przecież to aż nazbyt oczywista pułapka. – Jan pogładził wąsy. – Liczą, że mają do czynienia z gorącym, podgolonym łbem, co to nie ma pojęcia o taktyce, za to uwielbia szarżować po polsku.

Spojrzał po twarzach otaczających go towarzyszy husarskich, rwących się do ataku tak samo jak Potocki. Wszyscy udawali, że nie usłyszeli uwagi. Tylko Feliks zaperzył się, biorąc wszystko do siebie. Nabrał powietrza, by rzucić Janowi w twarz soczystą ripostę.

Nie zdążył. Rozległ się trzask łamanych drzew, metaliczny chrzęst, i z zagajnika wytoczyły się cztery czarne potwory. Wnet kolejne wyjechały z zamaskowanych sprytnie dołów w zboczu wzniesienia. Pokryte czarnymi pancerzami, które spojono grubymi jak pięść nitami, na okutych, szerokich na trzy stopy kołach, wyglądały niczym gigantyczne żuki. Wyższe niż jeździec na koniu, brnęły przez trawę, terkocząc i trzeszcząc. Ponad metaliczny jazgot wzbijał

się hałas napędu – uwięzionych w szklanych kulach dusz nieszczęśników, szemrzących, zawodzących i mamroczących upiornych chórem.

– A nie mówiłem? – mruknął pod nosem Sobieski.

– Żelazne psy pułkownika Törnskjölda! – Potocki sięgnął po pistolet do olstra. – Matko Przenajświętsza, skąd oni się tu wzięli?

– Mniejsza z tym. – Sobieski machnął ręką, dając sygnał do odwrotu. – Pora zniknąć, nim zaczną strzelać.

Jak na zawołanie, ze zgrzytem łańcuchów podniosły się klapy w korpusach pojazdów, odsłaniając lufy obłączniczych armat. Sześćdziesięcioczerofuntowe kartauny, z pewnością nabite kartaczami, wymierzyły w husarską chorągiew. Feliks pobladł, wyobraziwszy sobie, co by się stało, gdyby Sobieski poprowadził szarżę... Zostawił pistolet w olstrze, przeżegnał się szybko i zawróciwszy konia, pognął z cofającą się husarią.

Kiedy wypadli na drogę razem z zawróconymi również dragonami, dojrzeli w oddali tumany kurzu. To komputowi pierzchali w popłochu. Wozy mistrza Burattiniego kolebały się hałaśliwie na wszystkie strony, pędząc po wybojach z maksymalną prędkością. Woźnice wściekle okładali batami końskie zady i boki, a sam mistrz krzyczał i wymachiwał białą peruką, którą w nerwach zerwał z głowy. Opanował się nieco dopiero na widok najeżdżającego Jana.

– Te wozy muszą dotrzeć do zamku w Głogówku! – oznajmił niemal błagalnie. – Ratuj, panie pułkowniku!

Sobieski odwrócił się w siodle. Żelazne psy niemrawo pełżyły po wzniesieniu. Wyraźnie zaniechały pościgu; opuściły klapy, ukrywając armaty. Na szczęście piekielne pojazdy nie były w stanie rozwinąć prędkości zagrażającej szybko oddalającym się kawalerzystom. Kirasjerzy też nie palili się, by atakować husarię. Udało się uniknąć rozlewu krwi. Jan odetchnął i uśmiechnął się do Włocha.

– Wszystko będzie dobrze, mistrzu – powiedział. – Jesteś pod opieką nie byle kogo. Jeszcze dziś bezpiecznie dotrzemy do celu.

* * *

Bezchmurne niebo błyszczało milionami gwiazd. Działziniec górnego zamku iluminowało odświętnie kilkadziesiąt pochodni w stojakach i liczne lampy olejowe, wiszące w podcieniach. Ciepła noc pozwalała damom dworu zdjąć wierzchnie okrycia; żółte, rozedrgane światło gładziło ich nagie ramiona, muskało upudrowane lica i mieniło się w starannie ufryzowanych, drobnych loczkach – francuskiej koafiurze chętnie przyjętej przez polskie szlachcianki. Zamiast wianków i staropolskich czepców głowy dam zdobiły lśniące ogniście perły, klejnoty uwielbiane na francuskim dworze.

Królowa siedziała nieruchomo na poślaczanym fotelu i zamyślona patrzyła w ogień. Jako młoda księżniczka słynęła w całej Europie z niezwykłej urody; ćwierć wieku później po dziewczęcym uroku pozostały jedynie ślady – wielkie, jasne oczy i szlachetnie wysokie czoło. Przyglądającemu się jej teraz Feliksowi Potockiemu kojarzyła się nie z dawną pięknością, a ze starą, grubą ropuchą. Nie mógł jej jednak odmówić niewymuszonego dostojeństwa, autorytetu i istic królewskiej charyzmy, wyczuwalnych nawet wtedy, kiedy się nie odzywała, a jedynie w skupieniu słuchała poezji.

Swoje dzieła recytowała właśnie znana poetessa łacińska Zofia Bernhardi. Uczona dama

toczyła literacki pojedynek z dworzaninem-poetą Janem Morsztynem. Na zmianę czytali swoje wiersze, a zgromadzone na dziedzińcu damy oceniały i nagradzały je oklaskami. Które z twórców otrzyma ich więcej, zostanie przez Jej Wysokość udekorowane wieńcem z dębowych liści, udającym laurowy. Skromna zabawa miała zastąpić wystawne teatru, balet i marionety, którymi zwykle bawił się dwór Ludwiki. Po ucieczce z Warszawy nie urządzano hucznych i nazbyt wystawnych zabaw – Głogówek nie dysponował nawet orkiestrą... Zresztą królowa nie życzyła sobie żadnych zbytków, pozostając na zesłaniu i kiedy Polska tak dotkliwie cierpiała.

Trzej oficerowie i mistrz Burattini stali pod ścianą północnego skrzydła, cierpliwie czekając na zakończenie poetyckiego pojedynku. Może wtedy królowa zaszczyci ich swoją uwagą? Póki co, mieli rzadką możliwość przyjrzenia się fraucymerowi, który w całej okazałości wyległ na dziedziniec, by skorzystać z tak pożądanej w wojennym czasie rozrywki. Przy samej Ludwice z jednej strony siedzieli właściciele zamku i przyległości, hrabiostwo Oppersdorffowie, a z drugiej – jej sekretarz i podskarbi Pierre Des Noyers. Dalej, na krzesłach z miękkimi poduszkami, spoczywała świta honorowa, małżonki i córki senatorskie, zarówno polskie, jak i francuskie. Para poetów stała naprzeciw siebie, na środku dziedzińca, otoczonego pierścieniem przez wymieszany dwór górny i dolny, czyli panny z bardziej i mniej znamienitych rodów. Piękne, rozchichotane dziewczęta, poważne damy, spowiednik królowej i jej jałmużniczka, nawet nadworny medyk, spoglądali ciekawie na przybyszy. Nikt nie śmiał jednak zakłócić recytacji, szczególnie że Jej Wysokość, pod wpływem chwytającej za serce liryki, popadła w głęboką zadumę.

Srogie spojrzenia żołnierzy nieustannie krzyżowały się z powłóczystymi, rzucanymi spod długich rzęs spojrzeniami pięknych Francuzek. Powietrze aż iskrzyło, a ognisty efekt potęgowało jeszcze skwierczenie pochodni.

Najpiękniejsza dwórka, niespełna piętnastoletnia Maria d'Arquien, stała w towarzystwie dwóch niewiele starszych panien, które dołączyły do fraucymeru kilka miesięcy wcześniej. Obie traktowały Marysienkę, jak Polacy zwali czarnooką piękność, niczym przewodniczkę w tym dzikim kraju i znawczynię lokalnych obyczajów. Dziewczyna służyła u boku królowej od dziecka i zdążyła się nawet świetnie nauczyć miejscowego, koszmarnie trudnego i niemożliwie szeleszczącego języka. Gabriela Morin i Adrianna de la Roche trzymały przyjaciółkę z obu stron pod ramiona i szeptały między sobą, starając się zachowywać dyskretnie.

– Ci trzej to prawdziwi zbroje. – Gabriela pochyliła się do przyjaciółek. – Dzicy i nieokrzesani, wystarczy spojrzeć w te zacięte twarze, w te błyszczące zwierzęcą agresją oczy!

– Wszyscy oni są tacy, Mario? – Adrianna śmiało patrzyła na oficerów. – Co nie odwiedzają nas polscy szlachcice, to jeden w drugiego gwałtownik i nieokrzesaniec. Spójrzcie tylko, dziewczęta, oni naprawdę są niczym dzikie bestie. Nawet stąd czuć od nich końskim potem, palonym prochem i gorzałką.

– Tak, moje drogie. Polscy panowie są zupełnie inni niż francuska szlachta, łatwo ulegają zarówno gniewowi, jak i radości. Do tego potrafią być gwałtowni niczym arabskie ogiery. – Marysienka spłonęła rumieńcem.

Wszystkie trzy zadrzały i wbiły ciekawe spojrzenia w Polaków, zupełnie nie słysząc pięknych wierszy pana Morsztyna. Oficerowie pochylili się ku sobie, mrucząc półgębkiem.

– Co za tłum upudrowanych ladacznic, w życiu czegoś takiego nie widziałem – westchnął oszołomiony Mikołaj Grudziński. – Od tych perfum zaraz mnie łeb rozboli.

– One są prawie gołe – dodał Potocki. – Widzicie, jak ognie błyszczą w ich ślepiach?

Czarownice, na psa urok. Wszystkie to przekłete wiedźmy. Janku, rozmawiałeś z którąś?

– Z kilkoma. Jedna z nich, tamta babuleńka obok królowej, to moja ciotka. Wojewodzina podlaska Zofia Wodyńska z Sobieskich. – Młodzieniec ukłonił się krewniacze.

– Nie chodzi mi o starowinki, ale o te francuskie diablice – syknął Feliks.

– O tak, z niejedną. Widzicie tamte pod ścianą? Każda to *magnifica ac generosa virgo*. Wykształcone i odcytane, aż miło porozmawiać. Najbystrzejszą jest tamta czarnula. Och, pamiętam każde słowo z naszej rozmowy. Nie mogę zapomnieć tego dziewczęcia, jej czarne oczy i wąska kibić śnią mi się po nocach...

– A nie mówiłem! – ucieszył się Potocki. – To wiedźmy. Jedna z nich rzuciła na ciebie urok, Janie.

– Boże uchwaj, by któraś chciała ze mną porozmawiać. – Grudziński przeżegnał się ukradkiem.

Tymczasem panny, widząc zainteresowanie oficerów, przesunęły się bliżej lampionów, by polscy barbarzyńcy mogli lepiej je widzieć. Niech dzikusy sobie obejrzą, jak wyglądają cywilizowane damy.

– I wtedy on podszedł do ciebie? – ze zgrozą spytała Gabriela.

– O tak, to było na wiosennym balu, w czasie sejmu w Warszawie – z przejęciem odparła Maria d'Arquien.

– Który to? – Adrianna z przejęcia ścisnęła dłoń przyjaciółki.

– Ten wielki, z czarnymi wąsiskami. Och, jaki on przystojny i męski, a jak biegle włada francuskim! – Zadrżała. – Rozmawialiśmy o różnych rzeczach, mroźnej zimie i muzyce, o polowaniach i nowym balecie wystawionym przez królewskie dwórki, a nawet o polityce! Rozumiecie, spytał mnie o zwalczające się frakcje we fraucymerze i która z nich popiera plany osadzenia Francuza na polskim tronie. Miałam wrażenie, że mogę powierzyć mu wszystkie swoje myśli i marzenia. Nie mogłam potem spać przez całą noc!

– A to cham! – syknęła Gabriela. – Patrzenie tylko, jak się na ciebie gapi, jakby od razu chciał zedrzyć suknię. Ale ma wielkie bary, a jakie gromy rzuca za każdym spojrzeniem. Niechby taki dzikus objął kobietę i przytulił, to pewnie połamałby jej wszystkie kości!

– Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby któryś z nich spróbował mnie pocałować. Ten blondyn na przykład – westchnęła Adrianna. – W życiu nie widziałam tak zwierzęcej postawy i ledwie tłumionej furii w ruchach. Pewnie byłby brutalny, choć ma takie miękkie, chłopięce spojrzenie. Musiałbym go pchnąć sztyletem albo siebie, nie zniosłabym hańby. Oby tylko królowej nie przyszło do głowy wydać mnie na niego! Muszę o tym z nią porozmawiać.

– Jej Wysokość i tak robi, co uważa za stosowne. – Marysieńka wzruszyła ramionami. – Jeśli ten brutal jest jakimś wpływowym szlachciurą i jego poślubienie będzie strategicznym posunięciem, to chcesz, czy nie, i tak wylądujesz w jego łóżu. I uwierz, królowa wybierze ci najlepszego męża, nikt nie robi tego lepiej.

– Szybciej rzucę się z okna, niż pozwolę dotknąć któremuś z tych śmierdzących barbarzyńców – oznajmiła Gabriela. – Chyba że byłby to ten szczupły, z ryngrafem na pancerzu. Może dałoby się jeszcze go wychować, przynajmniej jest pobożny, widziałam, że dyskretnie się przeżegnał.

– Żołnierz zawsze będzie jurny i gwałtowny. To prawdziwe ogiery, moje drogie, nie dadzą się łatwo okiełznać. – Marysieńka uśmiechnęła się lekko.

– A niech tam – westchnęła z rezygnacją Adrianna. – Lepiej już mieć w łóżu brutalnego ogiera niż potulnego wałacha. Zresztą ogiera też da się osiodłać!

Dziewczęta zachichotały, zapominając o nastroju skupienia i powagi. Nawet nie zauważyły, że recytacja już się skończyła, a pojedynek uznano za nierozstrzygnięty. Królowa ożywiła się, przywołała do siebie mistrza Burattiniego i trzech kawalerów. Dwórki przesunęły się, by lepiej słyszeć.

Żołnierze podeszli przed tron i klękli, schylając głowy. Włoski naukowiec wysunął jedną nogę w przód, a drugą ugiął w kolanie, jednocześnie zginając się w pas i zamiatając kapeluszem dziedziniec. Oficerowie spojrzeli na niego z ukosa; każdy czuł głęboką pogardę dla francuskich ukłonów, uwłaczających godności prawdziwego rycerza.

– Nasz małżonek przysłał młodzięczy kwiat swego rycerstwa, by nas ratować. – Ludwika uśmiechnęła się do oficerów. – Nawet nie wiecie, jak bardzo się cieszę na wasz widok, panowie. Wasze przybycie to ostateczny sygnał, że nadeszła pora powrotu. Wszyscy tęsknimy za kochaną Polską, nie możemy doczekać się wyzwolenia Warszawy, naszego ukochanego domu. Serce wypełniła nam rozpacz, gdy dotarli do nas wieści, jak bardzo Szwedzi ukrzywdzili miasto.

– Wasza Wysokość, Warszawa nadal znajduje się w rękach wroga, nie wiadomo jak długo... – zaczął Burattini.

– Wiemy przecież, Tytusie. – Ludwika wstała z tronu i podeszła do przybyszy.

Wszyscy trzej już unieśli się z kolan. Bliskość królowej onieśmielała młodzięców; cofnęli się o krok, prócz Sobieskiego, który – bywały na europejskich dworach – uczestniczył w audiencjach u niejednego monarchy.

– Mamy nadzieję, że przywiozłeś serca smoków? – Królowa zwróciła się do Włocha.

– Po to wszak pojechałem. – Burattini skłonił się grzecznie. – Dzięki ofiarności tych oficerów udało się je szczęśliwie przywieźć. Napędów starczy dla wszystkich trzydziestu maszyn. Ponoć rzemieślnicy pracowali podczas mojej nieobecności i dokończyli dzieła. Jutro sprawdzę sprzęt i zamontuję źródła.

– Świetnie. – Ludwika uśmiechnęła się łaskawie. – Zatem może już jutro uda się wyruszyć w drogę do Polski. Sprawiłbyś nam tym wielką radość, mistrzu.

– Zrobię, co w mojej mocy. – Naukowiec ukłonił się, kładąc dłoń na sercu.

– Najjaśniejsza pani...

Fraucymer zaszemrał z oburzeniem, karcąc wzrokiem impertynenta. Sobieski nie przejął się jednak i ciągnął:

– Chyba nikt Waszej Miłości nie powiedział o zbliżającym się zagrożeniu...

– Chodzi ci o te kilka szwadronów rajtarii, osłaniających żelazne psy pułkownika Törnskjölda? – Ludwika po raz pierwszy spojrzała wprost na Jana. – Wiemy, że się zbliżają i właśnie dlatego chcemy jak najszybciej opuścić Głogówek. Oszczędzimy temu miastu nieszczęść. Nie możemy obciążać naszych gościnnych przyjaciół ponad miarę. Zdajemy sobie sprawę, że Szwedzi przybyli tu po naszą głowę i nie odejdą, dopóki nie zrównają całej okolicy z ziemią. Wyruszymy w drogę, a wtedy, być może, podążą za nami i opuszczą miasto.

– Karol Gustaw śmiałby podnieść rękę na majestat Waszej Wysokości?

– Mój chłopcze, sprawiamy mu więcej kłopotów niż nasz drogi małżonek Jan Kazimierz z całą swoją dzielną armią. – Królowa uśmiechnęła się. – Od roku prowadzimy stąd międzynarodową dyplomację, walcząc o dobre imię Polski, oczerniając i wystawiając Szwedów na pośmiewisko. Zależliśmy im za skórę, tak że gotowi są na wiele, by nas uciszyć. Nawet na królobójstwo.

– Dlaczego Wasza Wysokość nie chce bronić się w zamku? – Sobieski nerwowo zastrzygł

wąsem. – Jeśli wyruszymy z całym dworem w podróż, dopadną nas na otwartym polu, gdzie nie będziemy mieli najmniejszych szans...

– To w zamku nie będziemy mieli szans – wtrącił się sekretarz królowej, monsieur Des Noyers. – Doskonale wiesz, żołnierzu, jaką artylerię kryją w trzewiach żelazne psy. Podjazdy donoszą, że jadą tu wszystkie baterie z pułku Törnskjölda. Nie trzeba mieć wojennego doświadczenia, by przewidzieć, jak ta siedziba, choćby warowna, zniesie ostrzał tyłu armat.

– Ale mury przynajmniej stanowią jakąś ochronę. – Sobieski spiorunował Francuza wzrokiem. – Natomiast kilkadziesiąt wozów ciągnących drogą nie ma żadnej, nie zdoła też poruszać się wystarczająco szybko, by uciec Szwedom. Wyruszenie w tej chwili w drogę to szaleństwo! Trzeba wysłać gońców z prośbą o pomoc i czekać. Możemy zaminować okolicę, wykopać doły zaporowe, prowadzić wypadki. Skoro klasztor na Jasnej Górze odparł Szwedów, my też...

– Klasztor ocalał, bo wróg sam zrezygnował – burknął Des Noyers. – Zresztą w tamtym oblężeniu nie brały udziału żelazne psy. Ale dlaczego, pułkowniku, tak się upierasz, by tu pozostać? Czemu ci na tym tak zależy? Jest w tym drugie dno? Może chodzi o jakieś układy z dawnymi przyjaciółmi? Ponoć dobrze znasz pułkownika Törnskjölda...

Francuz zmierzył szlachcica podejrzliwym spojrzeniem. Sobieski poczuł rosnącą błyskawicznie falę gniewu. Ten uperfumowany elegant w obszytym koronką kubraku i w peruce na łbie śmiał sugerować mu konszachty ze Szwedami...

Prawdę rzekłszy jednak, do niedawna Jan pozostawał pod zwierzchnictwem Karola Gustawa i dopiero raptem dwa miesiące temu wrócił na służbę do prawowitego króla. Niby wielu Polaków początkowo przeszło na stronę wroga, ale po jakimś czasie i tak uciekało do Jana Kazimierza. Sobieski wyjątkowo długo trwał u boku Karola Gustawa. Tyle że wtedy wydawało mu się to słuszne. Stał po stronie silnego władcy, który miał doprowadzić kraj do porządku, stworzyć z niego prawdziwe imperium. Co za różnica, który Szwed zasiada na polskim tronie? Waza czy Wittelsbach? Zbyt późno Jan zorientował się, że służy u najeźdźcy, który Polskę ma tylko za dojną krowę i zamiast reformować państwo, zwyczajnie je łupi.

– Pierre, nasz młody pułkownik chce dla nas jak najlepiej. – Królowa ucieła kłótnię, zanim ta wybuchła na dobre. – Nie zna naszej tajemnicy, jego niepokój jest w pełni zrozumiały. – Uśmiechnęła się do Jana łagodnie. – Proszę się nie martwić, nad wszystkim panujemy.

Sobieski cofnął się z ukłonem. Królowa straciła zainteresowanie żołnierzami, skinęła na Burattiniego i w towarzystwie jego oraz najściślej szej świty oddaliła się w głąb zamku. Oficerowie stali chwilę w otoczeniu dwórek, z których większość wkrótce też ruszyła do zabudowań. Jan otrząsnął się szybko i rozejrzał. Tłum rozpraszał się żwawo, służba gasiła lampiony. Wreszcie wypatrzył ją. Stała nieopodal, ładnie się do niego uśmiechając. Zanim zdążył do niej podejść, dwie dwórki pociągnęły ją ze sobą i Maria d'Arquien znikła w wejściu do jednego z zamkowych skrzydeł.

* * *

Poranny wiatr przyniósł ze sobą swąd spalenizny. W oddali, w niebo na północy, pięły się liczne kolumny czarnego dymu. Płądrując i niszcząc wieś Rzepcze, Szwedzi dali znak, że droga na Opole jest zablokowana. Nim dobiegło południe, dymy pojawiły się i na wschodzie. Płonęły Stare Kotkowice, leżące przy drodze na Kędzierzyn. Gospodarz zamku, hrabia Oppersdorff, wysłał kilka podjazdów; dwa oddziały nie wróciły, pozostałe ledwie uszły przed

kirasjerami. Szwedzi panoszyli się w okolicy, jakby byli u siebie. Grudziński i Potocki rwali się, by ruszyć do boju, ale Sobieski nie chciał o tym słyszeć. Ciekawiło go jaką niespodziankę szykowała królowa i co takiego montował Burattini w warsztatach za zamkiem. Niestety nikt nie próbował wtajemniczyć żołnierzy w plany. Zakwaterowano ich w budynkach gospodarczych dolnego zamku i właściwie odcięto od życia dworu. Nie zaproszono nawet na posiłek w towarzystwie fraucymeru i wydano taką samą żywność co innym żołnierzom.

Oficerowie obiadowali pod gołym niebem, za plecami mając kuźnię i stajnie.

– Kasza ze skwarkami i kubek kwaśnego piwa – oburzył się Potocki. – Co to ma być? Jakim prawem karmią nas, polską arystokrację, odpadkami? Te francuskie wiedźmy mają nas za świnie, czy co?

– Jest jeszcze cebula, chleb i twaróg – zauważył Jan, z chrzęstem żując kawał tej pierwszej i zagryzając kęsem tego drugiego.

– Jestem synem hetmana wielkiego! – zaperzył się Feliks. – Nie byle chłopem, bym żarł surowe warzywa. Gdzie mięso? Gdzie miód lub choćby węgrzyn? Pójdę tam zaraz...

Złapał za rękojeść szabli, podrywając się od stołu. Grudziński chwycił kompana za ramię i usadził w miejscu.

– Czekaj, panie kolego! Nie bądź taka gorąca głowa. Co zamierzasz? Walić pięściami w bramę i domagać się półgęska?

– Wyjdziemy na dzikusów. I tak niektórym Francuzom wydaje się, że jadamy gołymi rękoma i tylko surowe mięso. – Jan machnął niedbale ręką i pociągnął łyk piwa. – Wiem, bo zwiedziłem całą Francję i wszędzie patrzyli na mnie jak na barbarzyńcę, co ledwie wylazł z jaskini. Są przekonani, że nie używamy pościeli i łóżek, tylko śpimy na gołej ziemi, przykryci wilczymi skórami. Nie znamy łaciny i dziejów Rzeczypospolitej Rzymskiej, nie używamy chusteczek i pantalonów, ale za to każdy z nas potrafi w walce wręcz pokonać niedźwiedzia.

Na twarz Potockiego wypełzły rumieńce, kontrastujące mocno z płową czupryną i przydające mu aparycji typowego warchoła, nadużywającego gorzałki i skorego do bijatyk. Nie umknęło to uwadze pozostałych, którzy spojrzeli na siebie porozumiewawczo – ich przyjaciel będzie teraz tylko szukał pretekstu do bitki. Zanosilo się na awanturę...

Jak na zawołanie zza rogu pobliskiej kuźni wyłonił się łysy dworzanin w skromnym, czarnym stroju.

– Jeśli pozwolicie, szlachetni panowie, to zdradzę wam, kto jest odpowiedzialny za tak niegodne potraktowanie waszmościów – oświadczył bez żadnych wstępów.

– Kim waćpan jesteś? – spytał Grudziński, mrużąc oczy.

– Karol Ludwik Conrade, nadworny lekarz jej królewskiej mości – przedstawił się medyk. Mówił z mocnym obcym akcentem.

– Czego chcesz, żabojadzie? – mruknął groźnie Feliks.

– Pochodzę z Italii – obruszył się lekarz. Garbił się nad siedzącymi szlachcicami, przez co wyglądał niczym wielki kruk. – I przychodzę do was z własnej woli, by uprzejmie i uniżenie donieść, że za wszystkim stoi monsieur Des Noyers. To wpływowy i groźny człowiek, który uznał was za wrogów korony...

– Mów dalej. – Grudziński wskazał mu miejsce przy stole, ale medyk tylko rozejrzał się niepewnie, by sprawdzić, czy nikt ich nie obserwuje.

– Król wybrał was na eskortę Burattiniego – podjął śpiesznie – by Ludwika mogła obejrzeć i zdecydować, czy da się z waszmościów uczynić stronników francuskiej frakcji. Przyszłość kraju należy do takich jak wy, młodych potomków wielkich magnackich rodów.

Zostaniecie hetmanami i wojewodami, to wy będziecie decydować na przyszłych sejmach, rozdawać karty w wielkiej polityce...

– Dobra, dobra. – Potocki patrzył na niego spode łba. – Przejdź waćpan do rzeczy.

– Des Noyers ma jakiś interes, jeszcze nie wiem jaki, ale znając tego lisa – ściszył głos – podejrzewam, że chodzi o pieniądze lub o opanowanie kolejnej sfery wpływów, by zdyskredytować was w oczach Jej Wysokości. Przedstawił królowej drobiazgowo opisy panów, diabli wiedzą przez kogo przygotowane, pewnie przez niego samego, a przedstawiające szanownych oficerów w bardzo złym świetle. I tak – Conrade wyciągnął zza pazuchy zrulowany dokument, rozwinął go i podsunął Potockiemu pod nos – o panu, panie Potocki, stoi tu kilka pikantnych szczegółów. Opisane są twoje wybryki, poruczniku, na sejmikach, udział w licznych pijackich burdach, spalenie karczmy, pocięcie szablą jakiegoś Żyda i posądzenie o ojcostwo dziecka pewnej młynarzówny. Pan Grudziński przedstawiony jest natomiast jako utracjusz, lubiący gry w kości i karty, a do tego tchórz, który wycofał się rakiem po wyzwaniu na pojedynek przez Kijeńskiego ze Lwowa. Pułkownik Sobieski to z kolei zdrajca i sprzedawczyk, łopoczący jak chorągiewka w zależności od tego, w którą stronę wiatr zawieje. Przesławia się go jako skąpego i pazernego na pieniądze dorobkiewicza, gotowego porzucić suwerena za garść złota.

– Starczy – warknął Jan i wyrwał z ręki dworzanina pismo. – Czego chcesz?

– Ktoś musi wreszcie pokazać Des Noyersowi, jak okrutnie błądzi. – Medyk zatarł ręce. – Panowie, to szkodniczy intrygant i wesz na królewskim dworze. Trzeba go zgnieść jak najszybciej. Sączy jad do ucha królowej, próbuje nastawić ją przeciw polskiej szlachcie i nieustannie umacnia swoje wpływy. Niedługo dojdzie do tego, że to on faktycznie będzie rządził Rzeczpospolitą. Zróbcie to dla ojczyzny, zabijcie drania! Pewnie jeszcze dziś nadarzy się okazja, w zamieszaniu przy załadunku smoków. Dam znać, gdy znajdzie się sam, bez swoich pomagierów. Wystarczy jeden cios czekanikiem w łeb...

Jan poderwał się od stołu i złapał medyka za kubrak pod szyją. Potrząsnął przerażonym nieszczęśnikiem i wycedził przez zęby:

– Jak śmiesz proponować rycerzowi skrytobójstwo? Myślisz, że damy się wciągnąć w gierki dworskich szcurów? – Pchnął Conrade, aż ten usiadł ciężko na ziemi. – Zatrzymuj dokument, sprawę natomiast załatwimy po naszymu. A teraz idź do diabła, zanim moi kompani otrząsną się i posiekają cię na plasterki.

Medyk rzucił się na czworakach do ucieczki, potem poderwał na równe nogi i kilkoma susami oddalił za róg stajni. W ostatniej chwili, bo Potocki w międzyczasie dobył szabli i przymierzał się do wypełnienia groźby Sobieskiego. Grudziński spokojnie pociągnął łyk piwa i skrzywił się z niesmakiem.

– Co to za błazen? Czemu chciał nas poszczuć na tego Francuzinę? – spytał bez wyczuwalnych emocji w głosie.

– Rozgrywki na szczycie. – Sobieski nieznoszącym sprzeciwu gestem wskazał Potockiemu miejsce z powrotem przy stole. – Dziś rano udało mi się spotkać pannę d'Arquien i odbyć z nią inspirującą rozmowę. Dowiedziałem się między innymi, że fraucymer podzielony jest na dwie zwalczające się frakcje. Jednej przewodzi sekretarz królowej, a drugiej jej lekarz. Właśnie próbowano wciągnąć nas do ich porachunków. Zlekceważyłbym to, gdyby nie ten paszkwil. Czy faktycznie monsieur Des Noyers go przygotował, a jeśli tak, to po co? Czemu zależy mu, by odsunąć nas od królowej?

– Trzeba znaleźć tego upudrowanego dworaka i poważnie z nim porozmawiać – stwierdził

Grudziński.

Wtem gdzieś w oddali rozległ się głuchy grzmot, a po nim kolejny. Powietrze przeszył rosnący gwizd. Żołnierze skulili się odruchowo. Gdzieś przed murem dolnego zamku gruchnęły w ziemię artyleryjskie pociski. Potocki wsunął szablę do pochwy i chwycił miskę z pogardzaną kaszą. Zabawy w grymaszenie ostatecznie się skończyły, możliwe, że miał ostatnią okazję przed bitwą, by napchać brzuch.

– Musimy się pośpieszyć – mruknął, ładując do ust łychę.

* * *

Warsztaty stanowiło kilkanaście drewnianych bud, sprawiających wrażenie skleconych naprędcy, co zresztą było prawdą, i ustawionych w okręgu o promieniu stu kroków. Utworzony w ten sposób dziedziniec wypełniały monumentalne konstrukcje z drewna i żelaza. Każda z nich mniej lub bardziej przypominała ogromnego, groteskowego smoka, z łbem o rozwartej paszczy wykutej z blachy i spojonej nitami. Każdy gad stał twardo na czterech krótkich łapach, masywny korpus opierając o ziemię. Pochylone łby i grzbiety o czterech parach skrzydeł przywodziły na myśl gromadę potworów sposobiących się do ataku.

Między smokami trwała gorączkowa bieganina, kręcili się kowale i mechanicy, ciągle coś poprawiając. Służba ładowała do trzewi bestii kufry i paki, przepychała się między muszkieterami królowej, wnoszącymi na pokłady broń i beczki z prochem. Strefy spokoju i ciszy zapadały tylko wokół przechadzającego się orszaku. Ludwika, odziana w błyszczącą jedwabiem suknię, łaskawie wizytowała plac i podziwiała maszyny. Posłusznie dreptało za nią blisko pięćdziesiąt dwórek, w tym damy z magnackich rodów, które schroniły się u niej przed szwedzkim potopem. Oprawdzał je osobiście Bugattini, spocony i zły, że przeszkadza mu się w tak ważnym momencie.

– Najjaśniejsza pani, przedstawiłem przecież dokładne obliczenia, z których jasno wynika, ile może ważyć ładunek. – Naukowiec wymachiwał rękoma, miotając się między trapami prowadzącymi do smoczych brzuchów. – Dlaczego służba ładuje tyle skrzyń? Przecież maszyny nie oderwą się od ziemi!

– Och, to skarby dziewcząt. – Królowa uniosła brwi jak gdyby zmieszana. – Bezcenne suknie, toalety, biżuterie, różne fatalaszki, z którymi nie potrafią się rozstać. Nie da się ich jakoś upchnąć?

– Prawa natury są nieubłagane. Jeśli będziemy mieli zbyt duże obciążenie, żadna z *machines de Pologne* się nie podniesie.

– Słyszałyście, moje drogie? Kufry zostają w Głogówku – królowa podjęła szybką decyzję. – Wyładować i to już!

Rozległ się szmer niezadowolenia, ale tylko jedna z panien, pochodząca ze starożytnego rodu, *dame d'honneur*, Amata de Langeron, odważyła się głośno zaprotestować. Ludwika pozostała jednak nieugięta, nawet gdy panna wobec konieczności porzucenia pamiątek i drogocennego wyposażenia buduaru, z bursztynowym sekretarzykiem na czele, ostentacyjnie zemdląła. Przyglądające się temu brawurowo zagrzanemu atakowi hysterii trzy młode dwórki złośliwie zachichotały.

– Wreszcie Jej Wysokość przytarła nosa tej zołzie – syknęła Gabriela Morin. – Gdyby tak jeszcze wybrała jej na męża jakiegoś starego i grubego szlachciurę z podolskich borów i wysłała ją w dziką głuszę...

– Pomarzyć zawsze wolno, ale obawiam się, że nic z tego nie będzie – westchnęła Adrianna. – Amata przyczepiła się do królowej jak pijawka i nie puści, dopóki będzie ciekła drogocenna krew. Musimy przywyknąć do jej towarzystwa: z nią przynajmniej da się porozmawiać, nie to co z tą wiecznie rozmodloną jałmużniczką Bichebois de Villers. Zresztą to teraz nieważne. Mario, powiedz wreszcie, czy widziałaś te maszyny w działaniu?

– Tak – przytaknęła panna d'Arquien – ale wieki temu. – Miałam może siedem lat. Świetnie jednak to pamiętam. Mistrz Burattini urządził pokaz w Warszawie, na dziedzińcu zamku królewskiego. Smok wydawał mi się wielki, choć przy tych tutaj sprawiał wrażenie zabawki. Drewniany korpus, skrzydła powleczone świńską skórą. Wyglądał trochę jarmarcznie, trochę jak przerośnięta marioneta, wiecie, jedna z dworskiego teatrum. Mistrz wsadził do niego kota i nakręcił sprężynę. Maszyna zaczęła wściekle łopotać skrzydłami, a kociak przeraźliwie miauczeć. Wszyscy się śmiali, chyba tylko ja byłam przerażona. Smok uniósł się w powietrze i wzleciał na wysokość dachu. Latał jakiś czas, krążył nam nad głowami, ale napęd na mechanicznie nakręcaną sprężynę szybko się wyczerpał i pojazd gruchnął o bruk. Kot wyszedł z tego żywy, choć trochę poturbowany, przestał nawet miauczeć, tylko na wszystkich syczał. Mistrz dostał wielkie brawa, ale zarzucił dalsze eksperymenty, tłumacząc się brakiem odpowiedniego źródła mocy, które pozwoliłby wydłużyć lot i zapewnić bezpieczne lądowanie. Mimo to *machine de Pologne* stała się słynna na cały świat. Pierwszy pojazd, który machaniem skrzydeł unosił się w powietrze. Szczytowe osiągnięcie nauk! I spełnienie odwiecznych marzeń ludzkości o lataniu...

Dziewczęta słuchały, jednocześnie przyglądając się postawnym muszkieterom, którzy – w porównaniu do polskich oficerów – wydawali im się dziś jacyś nazbyt delikatni i przesadnie elegancy. Dopiero po dłuższej chwili dotarł do nich sens opowieści Marysieńki.

– Wysłał w powietrze kota i tyle? – Gabriela stanęła jak wryta. – I po wieloletniej przerwie zbudował od razu całą flotę? Bez wcześniejszych eksperymentów i ćwiczeń? Nie wsiadam!

– Twierdzi, że wszystko obliczył, sprawdził i nawet odbył lot próbny – uspokoiła ją Marysieńka. – Co najważniejsze udało mu się skonstruować serca smoka, czyli źródła mocy pozwalające napędzać mechanizmy *Dragons Volants*, nawet tak wielkich, a co najważniejsze, umożliwi im bezpieczne lądowanie.

– Co to za serca? Mają coś wspólnego z teorią witalizmu, prawda? – niepewnie spytała Adrianna. – Przed wyjazdem do Polski mistrz coś nam o tym opowiadał...

– Tylko wtedy, zamiast słuchać, zajęte byłyście wyśmiewaniem któregoś z jego niezdarnych pomagierów. – Marysieńka pokręciła głową. – Oczywiście, że w oparciu o witalizm. W samym założeniu serca są tym samym co szklane klatki napędzające żelazne psy.

– Dusze. – Gabriela przełknęła ślinę, blednąc w jednej chwili. – Żelazne psy napędzane są energią dusz.

Burattini pokazywał Ludwice pojazd flagowy, o burtach szczelnie okutych blachami i smoczym łbie ozdobionym żelazną koroną. Marysieńka tymczasem wypatrzyła otwartą drewnianą skrzynię, z której kilku podręcznych wyciągało właśnie owalny głaz, wyglądający jak trochę nieregularne jajo. Trzy dwórki zostały z tyłu, gdy orszak powoli oddalał się przez labirynt smoków.

– Patrzcie, dziewczęta, to serce smoka.

– Burattini zaklął w nim ludzkie dusze? – Gabriela cofnęła się, zasłaniając dłonią usta. – To okropne!

– Nie, ależ skąd! Dusze posiadają nie tylko ludzie, ale wszystko, co żyje. – Panna d’Arquien śmiało podeszła do artefaktu. – Wiecie, skąd się wzięła nazwa „żelazne psy”? Szwedzi początkowo montowali w nich szklane klatki wypełnione psimi duszami. Dopiero potem, gdy dowódcą mobilnej artylerii został pułkownik o nazwisku, którego nie jestem w stanie zapamiętać, Szwedzi zaczęli wypełniać klatki duszami zabitych wrogów. Mówi się, że pułkownik ostatnimi czasy zupełnie oszalał i rozkazał napychać je także duszami własnych poległych żołnierzy.

– Potworność. – Adrianna zadrżała. – Po co to robi?

– Ludzkie istnienia niosą ze sobą więcej energii od zwierzęcych, ponoć potęgowanej przez fakt posiadania przez ludzi świadomości. – Marysieńka zrobiła mądrą minę. – Poza samą zwierzęcą witalnością człowiek dysponuje także mocą umysłu. Dlatego ludzkie dusze są tak potężne. Mimo to Burattini nie zdecydował się montować klatek wypełnionych nimi, królowa się nie zgodziła. Wyglądało na to, że *machines de Pologne* pozostaną niedokończonym projektem, aż tu wczesną wiosną dotarły do nas wieści, że w kamieniołomach świętokrzyskich wykopano skamieniałe ciała prawdziwych smoków...

– Słyszałam o tym! – przytaknęła Gabriela. – Przywieziono wtedy kawał szczęki z zębiskami wielkimi jak dłoń. Strach pomyśleć, jak ta bestia wyglądała za życia...

– Mistrz zrobił pomiary i okazało się, że w kamieniu tli się dusza. Należało odnaleźć jak największy fragment ciała smoka i wyekstrahować z kamienia całą istotę. W tych potworach, wielkich jak zamczyska, płonęła ogromna moc. Ich energia życiowa była niezwykle potężna – wyjaśniła Marysieńka. – To dlatego Burattini wyjechał, zostawiając prace przy budowie maszyn. Odnalazł kamienne cmentarzysko i wtłoczył znalezione smocze dusze w granitowe serca, w środku których drzemią kryształy podobne do tych wiążących dusze w klatkach żelaznych psów.

Dwórki westchnęły chórem. Coś takiego robiło wrażenie...

Wtem z oddali dobiegły głucho grzmoty. Robotnicy zaczęli krząć się jeszcze szybciej, gdzieś obok przegalopowało kilku jeźdźców. Muszkieterzy poruszali się już tylko biegiem, na trapach załomotały ich buciory. Rozległy się głosy trąbek.

– Zaczęło się – szepnęła Gabriela. – Szwedzi atakują...

* * *

Gwizd spadających kul mroził krew w żyłach i zmuszał żołnierzy do kulenia się oraz szukania schronienia. Eksplozje gruchotały mur dolnego zamku, rozbiły już bramę i zaczynały spadać na dziedziniec i stajnie. Płonęła trafiona zapalającym pociskiem kuźnia, a z roztrzaskanych szop wybiegły z gdakaniem przerażone kury. Pierwszych rannych znoszono już do kaplicy; medyk na służbie hrabiego Oppersdorffa miał pełne ręce roboty. Husarze i dragoni, wszyscy w pełnym rynsztunku i gotowi do walki, stali przy koniach w oczekiwaniu na rozkaz do ataku.

Tymczasem trzej oficerowie pognali gdzieś bez słowa wyjaśnienia. Przepychali się przez tłum cisnący się do smoczyczych brzuchów. Przy akompaniamencie krzyków, przekleństw i płaczu kłębiła się tu przemieszana zbieranina dworaków – zarówno tych z górnego dworu, łącznie z królewskim kanclerzem, podczaszym, krajczym i koniuszym, jak i tych z dolnego dworu, w którym największy jazgot robiła grupa serwitatorów pod przewodnictwem dwóch grubych kucharzy i kilku kredensowych. Nad wszystkim próbowała zapanować gwardia złożona z

umundurowanych z francuska muszkietierów. Hałas wzmógł się jeszcze bardziej, gdy któryś ze smoków uniósł łeb i rozprostował cztery pary skrzydeł. Łopotał nimi coraz szybciej, wzbijając tumany kurzu i furkocząc ogłuszająco, a po spuszczonej trapie do środka ciągle wbiegali ludzie. Wreszcie maszyna drgnęła, wejście zamknięto i pojazd chwiejnie uniósł się w powietrze. Zakołysał się niepewnie, wywołując krzyki przerażenia wśród pasażerów oraz stojących na ziemi gapiów. Po chwili jednak wyrównał lot i mozolnie wzniósł się nad wierzchołki drzew. Z otworów strzelniczych w jego brzuchu zaczęli wychylać się co śmielsi pasażerowie, machając do ludzi na dole.

– Matko Boska i wszyscy święci... – Rotmistrz Grudziński przeżegnał się z rozmachem. – Nie wierzę własnym oczom!

– Potęga nauki! Coś pięknego! – Potocki dla odmiany wpadł w zachwyt.

– Zamiast gapić się w niebo, szukajcie Des Noyersa, bo nam odleci, ptaszek jeden. – Sobieski popchnął jakiegoś podręcznego, który zastąpił mu drogę, obalając go na ziemię.

Spieszyło mu się, by dopaść francuskiego oszczercę i jeśli nie wygarbować mu skórę, to choć rozkwasić nos. Pułkownik zostawił w związku tym podległe chorągwie sobie samym. Nie zaniepokoiło to jego kompanów, a wręcz przeciwnie – postanowili mu towarzyszyć, by również szukać pomsty. Nawet gdyby trzeba było wyciągnąć sekretarza Ludwika wprost z jej smoka flagowego.

Kolejny żelazny potwór z furkotem i w tumanach kurzu poderwał się w powietrze. Po chwili następny. Tłum zaczął jeszcze żywiej cisnąć się na pokład, dzieciaki służby wrzeszczały wniebogłose, przekrzykując nawet ryk eksplozji i huk unoszących się machin. Zewsząd dobiegały polskie i francuskie kłątwy. Kanclerz dworu, Stefan Wyżga, próbował jeszcze kierować załadunkiem, ale wyraźnie nie panował nad zamieszaniem. Sobieski odepchnął go, dostrzegając wielkiego gada w żelaznej koronie. Przed jego trapem stały trzy dwórki; dwie próbowały wciągnąć do środka trzecią, piękną pannę d'Arquien. Skrzydła królewskiego smoka już się rozłożyły i zaczynały łopotać. Jan pognał do dziewcząt, roztrzając i przewracając ludzi.

– Marysieńko! – Starł się przekrzyczeć hałas. – Nie wierz w to, co o mnie powtarza Des Noyers! To wszystko kłamstwa!

– Ten wielkolud czegoś od ciebie chce. Pewnie porwać w zamieszaniu i zhańbić! – pisnęła Gabriela. – Uciekajmy do środka!

– Puście! Ja zostaję! – D'Arquien szamotała się w uściskach przyjaciółek.

– Jeszcze czego! Królowa by nas zabiła. – Adrianna trzymała mocno. – Przecież traktuje cię jak rodzoną córkę. Właż, do cholery!

– Patrzcie, są też ci dwaj kawalerowie. – Marysieńka chwyciła się ostatniej szansy.

Podziałało. Jedna i druga natychmiast dały jej spokój, nie rwały się też, by same uciec po trapie, za to szybko spróbowały poprawić nieco zmierzwioną garderobę. Wiatr, wzbijany przez smoki, szarpał jednak nieubłaganie sukniami i burzył misterne loczki okalające śliczne buzie. Kawalerowie podbiegli do pojazdu i ukłonili się w pas. Potocki podkręcił wąsa, a Grudziński wyszczerzył połamane zęby w szarmanckim uśmiechu.

– Marysieńko, powiedz królowej, że wszystko, co napisano w tym piśmie, jest nieprawdą. – Sobieski wręczył jej dokument. – Ktoś próbuje oczernić polską szlachtę w oczach jej wysokości. Nie jesteśmy tchórzami, zdrajcami i zbójami. Jeszcze to udowodnimy!

Dwórka przyjęła dokument z nieśmiałym uśmiechem i dygnięciem, jakby oficer wręczał jej osobisty podarek.

– Mamy lądować w Opolu i spędzić tam kilka dni. Może zdążycie do nas dołączyć i wszystko osobiście wyjaśnić królowej – powiedziała. – Ze swej strony spróbuję załagodzić złe wrażenie.

– Des Noyers jest na pokładzie? – spytał Potocki. – Mamy z nim do pogadania...

– Obawiam się, że uda się to wam dopiero w Opolu, za chwilę odlatujemy. Ach, ponoć mamy na chwilę zatrzymać się w pobliskim klasztorze ojców paulinów w Mochowie. Królowa musi odebrać od zakonników jakiś cenny obraz, którym się opiekowali.

– Czego oni chcą? Może i my możemy jakoś pomóc? – zainteresowała się Gabriela, nierozumiejąca ani słowa z rozmowy prowadzonej po polsku.

– Chwałę twe błękitne oczy, głębokie jak studnia, piękna panno – wydukał łamaną francuszczyzną Grudziński i pocałował dwórkę w dłoń.

Gabriela zatrzepotała rzęsami i uśmiechnęła się najładniej jak umiała. W wejściu do brzucha smoka pojawił się oficer muszkietarów w towarzystwie kilku żołnierzy. Zaczął wrzeszczeć po francusku i wskazywać coraz szybciej łopoczące skrzydła. Sobieski objął Marysienkę i na chwilę przycisnął do piersi. Dziewczęta wbiegły po trapie, który natychmiast zaczął się podnosić.

– Do zobaczenia, Janie! – krzyknęła D'Arquien, machając energicznie.

– *Au revoir!* – zaszalutował Sobieski.

Smok powoli uniósł pysk, wiatr wzbijany przez skrzydła przeszedł w huragan. Mężczyźni musieli się cofnąć, osłaniając rękoma oczy. Maszyna majestatycznie wzniosła się w powietrze, żelazny łeb z czarną koroną błysnął w słońcu. Królowa wystartowała!

Cały efekt popsuł narastający gwizd spadającej kuli. Kilka osób rzuciło się na ziemię, żołnierze pochyłili tylko głowy, szykując się na wybuch i grad odłamków. Gruchnęło gdzieś z tyłu. Sześćdziesięciofuntowy pocisk trafił narożną wieżę i wbił się w nią głęboko. Pokruszone kamienie zafurkotały w powietrzu, zadzwoniły o smocze pancerze. Ktoś został ranny, bolesny krzyk przebił się nawet przez huk startujących maszyn. Trapy unosiły się jeden po drugim, pechowcy, którzy nie zdążyli na pokład, miotali się między smokami, krzycząc błagalnie. Tymczasem trafiona wieża, dudniąc złowieszczo, przełamała się w połowie i z potwornym łomotem zwała na bruk dziedzińca. Smoki podrywały się jeden za drugim, kołysały, wznosiły i opadały chaotycznie. Jakimś cudem żaden nie gruchnął z powrotem na ziemię. Wkrótce wszystkie bezładną chmarą podążyły za oddalającą się królową.

– Słyszeliście, panowie? – Potocki wziął się pod boki. – Królowa, zamiast wracać jak najszybciej do jego wysokości Jana Kazimierza, leci po jakiś obrazek. Pewnie nastrojowy widoczek Paryża lub coś równie banalnego. Ech te baby, wszystkie są takie same!

– Same więdźmy, tak jak mówiłeś. Widzieliście te gładkie lica, te biusty. O Chryste – zacharczał Grudziński. – Dziwne, że lecą machiną Burattiniego, a nie na miotłach!

– Z bliska dwórki robią wrażenie, prawda? – Sobieski uśmiechnął się. – Ale na takich chwatów pewnie uroku nie rzuciły?

– A skąd! – Potocki podkreślił węża na samo wspomnienie panny Adrianny. – Na pohybel więdźmom!

– Tfu! – zawtórował Grudziński. – Ohyda!

Stali bez słowa na zawalonym porzuconym dobytkiem placu, patrząc na oddalającą się powietrzną flotę. Szwedzkie armaty grzmiały nieustannie, bombardując zamek. Porucznik Potocki wreszcie westchnął głośno i uśmiechnął się do kompanów:

– Rozprawmy się z tymi cholernymi Szwedami i jedźmy czym prędzej do Opolu.

– Oczywiście tylko po to, by dopaść Des Noyersa i zmyć plamę na honorze – dodał Grudziński.

Sobieski skinął niby to poważnie głową.

– Oczywiście, to jedyny powód.

* * *

Marysienka dotarła do obszernego kokpitu tylko dzięki uporowi. Musiała pokonać siedzący na pakach i skrzyniach tłum dworzan oraz oburzone spartańskimi warunkami damy dolnego dworu. Potem minęła muszkietarów, montujących broń na forkietach przed otworami strzelniczymi, i ich rozdrażnionego kapitana. Wreszcie przepchnęła się do kabiny na smoczym grzbiecie z obszernymi, bardzo szerokimi oknami, za którymi przesuwano się niebo i tkwił tył gadziego łba na długiej szyi. Królowa stała obok jednego z ludzi Burattiniego, trzymającego nietypowe koło sterowe. Prócz obracania nim na boki mógł je pochylić do siebie lub pchnąć w przeciwnym kierunku, regulując w ten sposób wznoszenie lub opadanie maszyny. Kilka kroków za jego plecami w podłodze znajdowała się dwuramienna kłapa, zamknięta na kilka skobli. Burattini skakał po całym pomieszczeniu, przepychając damy honorowe, by dokręcać lub odkręcać zawory znajdujące się w oplatającym całe pomieszczenie orurowaniu. Całość maszynierii sprawiała wrażenie zupełnej improwizacji, które dodatkowo pogłębiała surowość kokpitu pozbawionego ozdób lub choćby osłon maskujących toporne urządzenia.

Królowa przysłuchiwała się trajkotaniu Burattiniego, omawiającego działanie maszynierii i narzekającego, że zabrakło mu czasu na sprawdzenie masy rzeczy i odbycie większej ilości lotów próbnych. Nie zostały ustalone żadne sposoby nawigacji ani porozumiewania się z innymi smokami lub ziemią. Obawy budziła też sprawność pojazdu, który nie przeszedł ani jednej próby wydajnościowej. Same obliczenia, choć zaprzężono do nich wszystkie trzy należące do królowej Pascaliny, nie mogły zastąpić fizycznego przetestowania *machines de Pologne*.

Ludwika miała już chyba dość męczącego marudzenia naukowca, bo wreszcie zauważyła przestępującą z nogi na nogę pannę D'Arquien; natychmiast przywołała ją do siebie.

– Coś się stało, moje dziecko?

– Najjaśniejsza pani, wręczono mi ten oto ohydny paszkwil z prośbą o wstawiennictwo. – Maria dygnęła przed Ludwiką i podała jej pismo otrzymane od Jana. Królowa rozwinęła je i mrużąc oczy, przejrzała pobieżnie. – Opisani w nim rycerze czują się dotkliwie skrzywdzeni tymi oszczerstwami i błagają, by Wasza Miłość nie dawała im wiary.

– Ach, już to czytałyśmy. Zwykle badanie przygotowane przez Pierre'a. – Ludwika wzruszyła ramionami. – Zazwyczaj jest bardzo rzetelne, dlaczego miałybyśmy w nie nie wierzyć?

– Ja nie wierzę! – zawołała Marysienka. – To szlachetni i dzielni rycerze, te opisy zupełnie do nich nie pasują. Z całą pewnością badanie zostało sfalszowane i to w odrażający sposób. Wróg próbuje do reszty skłócić Waszą Wysokość z polską szlachtą. Musimy to powstrzymać! Proszę nie odtrącać tych rycerzy!

– Uspokój się, proszę. – Królowa przekazała dokument stojącej obok ochmistrzynie fraucymeru. – Ile prawdy tkwi w tym badaniu, dowiemy się już niebawem. Mam nadzieję, że ci trzech chłopcy nie są tylko narwanymi, podgolonymi łbami, ale faktycznie zasługują na miano rycerzy. Cierpliwości, dziecko.

Marysienka ukloniła się, pokornie spuszczać wzrok. Audiencja została zakończona.

– Ufam waszej mądrości, najjaśniejsza pani.

Pokład nagle się zakołysał i przechylił. Rozległy się okrzyki wzburzonych i wystraszonych dam, ale to tylko sternik robił zwrot. Królowa została poprowadzona do fotela przymocowanego do podłogi, a Burattini w jednej chwili przestał się miotać i doskoczył do największego, przedniego okna.

– Niżej, jeszcze niżej! – Rozkazał sternikowi. – I zwolnij, zwolnij, cymbale jeden!

Marysienka poleciała w przód, razem z całym tłumem. Złapała się żelaznej rury przebiegającej wzdłuż ściany. Metal był przeraźliwie zimny, jakby przewód wypełniał sam lód, ale dziewczyna nie puszczała. Księżna Radziwiłłowa runęła jak długa, panna Durent przeleciała przez cały kokpit i uderzyła we framugę okna. Na wytworną suknię bryznęła krew ze skaleczonego czoła. Kobieta krzyknęła rozdzierająco, a potem zakłęła po francusku, szpetnie i zupełnie nie dworsko. Na pomoc poszkodowanej rzucił się któryś z serwitörów Burattiniego, ale smok znów się zakołysał i mężczyzna upadł na kolana. Jedna z dziewcząt zaczęła szlochać spazmatycznie, inna wyć na cały głos. Zakrwawiona panna Durent nie zdążyła dobrze się rozplakać, gdy tuż obok jej głowy z brzękiem rozbryznięła się szyba. Dama rzuciła się na ziemię, przerażona, ale cała. Kula, wystrzelona ze szwedzkiego muszkietu, ominęła ją i trzasnęła w sufit. Kolejne pociski zadudniły o brzuch smoka, zagwizdały wokół maszyny.

– Jesteśmy nad pozycjami nieprzyjaciela – niepotrzebnie oznajmił kanclerz Wyżga.

– Mistrzu, zniszcz ich – lodowatym tonem rozkazała Ludwika.

Burattini dał znak. Komputowi otworzyli skrzynie poustawiane pod tylną ścianą, zganiając z nich wcześniej kilka panien. Wyciągali ze środka metalowe, długie na dwie stopy tuleje, z jednej strony zakończone stożkami, a z drugiej lotkami rodem ze strzał i bełtów.

– Wasza Miłość pozwoli. – Naukowiec uklonił się królowej. – Śmiałem nazwać te nowoczesne bomby, przeznaczone do ataków z powietrza, na waszą cześć. Oto Gniew Królowej!

Dwóch komputowych otworzyło klapy w podłodze. Do środka natychmiast wdarł się wściekły huk łopoczących skrzydeł i porywisty wicher niosący gryzącą woń dymu. Marysienka mocniej przywarła do rury, ale po chwili wychyliła się, by lepiej widzieć. W otworze przesuwająca się ziemia, leżąca jakieś dwieście stóp niżej. Między drzewami przemykały maleńkie postaci kirasjerów, a drogą, niczym czarne chrząszcze, ciągnęły masywne cielska żelaznych psów. W głowie dziewczyny zakołowało się od tego widoku, a przerażenie ścisnęło jednocześnie gardło i pęcherz. Damy zaczęły zawodzić, piszczeć i mdleć.

– Spokój! – huknęła królowa. Harmider ucichł w jednej chwili.

– Niżej! Lotem ślizgowym! – rozkazał Burattini, podbiegając do żołnierzy ze szpulą wyciągniętego ze skrzyni lontu. – Zapalcie pochodnię!

Chwiejąc się nad ziejącą pustką dziurą, zaczął odcinać nożem kawałki lontu o odpowiednio – i niepokojąco – niewielkiej długości. Komputowi wtykali je w otwory z tyłu bomb i układali na podłodze obok rozwartego luku. Muszkieter podał mistrzowi zapaloną pochodnię.

– W przyszłości pomyślimy nad jakimś specyfikiem, który będzie wybuchał od samego uderzenia. – Burattini spojrział na królową nieomal przeprasząco. – Teraz muszę sam podpalić. Mam nadzieję, że dobrze oszacowałem długość lontu, naszą wysokość i prędkość spadania bomb...

Wyrzał przez wylot, kiedy smok znów przechylał się, robiąc zwrot. Naukowiec zachwiał się, omal nie wypadając, i ostrożnie przyłożył pochodnię do końcówek lontów. Komputowi natychmiast wyrzucali skwierczące bomby. Gniew Królowej spadał z rosnącym basowym buczeniem, ciągnąc za sobą smugę dymu. Maria wstrzymała oddech, czekając na efekt.

Zagrzmiało. I to potężnie. Smokiem wstrząsnęła cała seria ogłuszających eksplozji. Pokład zakołysał się gwałtownie, do środka wdarły się kłęby dymu i ognia.

– W górę! – wrzasnął Burattini do sternika. – Mówiłem natychmiast w górę, pusty łbie!

Pokładem bujało coraz bardziej. Przez jedno z okien Marysieńka spostrzegła, że co najmniej dwa smocze skrzydła płoną, a dwa kolejne są tylko trzepoczącymi bezowocnie kikutami. Potworem trzęsło i kołysało coraz bardziej, damy piszczały i płakały. Spowiednik królowej i jałmużniczka padli na kolana i zaintonowali psalm pokutny:

– Zmiłuj się nade mną, Boże...

Tylko Ludwika zachowała kamienny spokój i siedziała zupełnie nieporuszona, jedynie groźnie marszcząc brwi. Tymczasem smok bujał się coraz mocniej, nie mogąc ustabilizować lotu. Marysieńka zacisnęła powieki...

* * *

Neogotycka wieża, stojąca w północnym skrzydle zamku, nie straciła w ostrzale nawet jednej blanki. Trzej oficerowie wbiegli na szczyt, zanim bombardowanie przerwał nalot smoków. Chmara maszyn, łopocząc wściekle, przeleciała nad miasteczkiem, wykonała zwrot i zniżyła się nad drogę, na której zatrzymały się żelazne psy. Sobieski i kompani byli przekonani, że Szwedzi zostaną choćby ostrzelani przez muszkietarów królowej. Z góry, chronieni smoczym pancerzem, mieli znaczącą przewagę. Żelazne psy nie zostały przystosowane do prowadzenia ostrzału w niebo, pozostawały więc zupełnie niegroźne.

Jednak to, co wykonali dworzanie Ludwiki, zupełnie zaskoczyło zarówno Szwedów, jak i przyglądających się wszystkiemu Polaków. Oto bowiem na pozycje oddziałów pułkownika Törnskjölda wprost ze smoczych brzuchów posypał się grad bomb. Wnet widok przesłoniły kolumny ognia i dymu, w których znikły latające maszyny oraz kłębiące się na dole szwedzkie oddziały.

– Niech mnie kule biją! – Potocki obiema rękoma zapałł się o mur, jakby chciał w ten sposób powstrzymać się przed skokiem w dół i rzuceniem się w wir walki. – Co się tam dzieje?

Z czarnej chmury, ciągnąc za sobą ognistą smugę, wynurzył się smok w żelaznej koronie. Ogień i dym spowijały skrzydła i grzbiet. Wkrótce pojawiła się jego świta, w niewiele lepszym stanie. We wszystkich maszynach najbardziej ucierpiały delikatne skrzydła – odłamki i kule z muszkietów podziurawiły je i potrzaskały.

Nagle skrzydła jednej z bestii załopotwały nierówno, w trzewiach smoka zadudniło głucho, z wewnątrz buchnęły kłęby dymu. Maszyna przechyliła się na bok, z furkotem obróciła się wokół własnej osi i grzmotnęła bokiem w mijającego ją kompana. Darty i gnieciony metal zazgrzytał boleśnie, brzęk i chrzęst przetoczyły się po okolicy, jakby zderzyły się ze sobą chorągwie ciężkiej jazdy. W dół posypały się kawały podartej blachy, strzaskanego drewna, skrzynie, beczki prochu i wrzeszczący ludzie. Pierwszy smok odbił się i wykonał jeszcze kilka obrotów, siejąc wokół odłamkami, aż wreszcie z ogłuszającym hukiem gruchnął o ziemię. Druga maszyna zakołysała się, gdy piloci rozpaczliwie próbowali wyrównać lot, przechyliła

się jednak i poszybowała w dół. W jej boku ziała kopcąca dziura, przez którą wychylali się przerażeni muszkietrzy. Kilku w panice skoczyło w dół, chcąc ratować się z opresji.

Wtem na skład amunicji w maszynie padła zabłąkana iskra. Eksplozja wstrząsnęła niebem i ziemią, a smok na chwilę zmienił się w ognistą kulę, jakby oto wzeszło drugie słońce.

– Bogu dzięki, że to nie smok naszych panien! – ryknął Grudziński. – Chciałem powiedzieć – zmitygował się – tych rzucających uroki wiem.

– Smok flagowy też oberwał, ale jakoś się wznosi – mruknął Sobieski. – Tylko dlaczego leci na zachód? Opole jest na północy!

– Może musi lądować i szuka miejsca jak najdalej od Szwedów? Albo Jej Wysokość mimo wszystko kieruje się na klasztor w Mochowie, by odebrać ten obraz! – Potocki aż podskoczył z emocji. – W takiej chwili! Jakiś tam zakichany obraz! Och, infantylność i bezmyślność Francuzek jest porażająca... Co robimy, panowie?

– Zgodnie z rozkazem mamy bronić zamku i rodziny Oppersdorffów – odparł chłodno Sobieski. – Bombardowanie pewnie zniszczyło część żelaznych psów i przeredziło kirasjerów, ale wrogów nadal jest siła. Powinniśmy siedzieć i czekać, ewentualnie wysłać podjazdy.

– To nie uchodzi, Janie. – Grudziński odruchowo złapał za szablę. – Królowa może znaleźć się w niebezpieczeństwie. Powinniśmy ruszyć z pomocą!

Sobieski milczał. Marszcząc brwi, patrzył na oddalające się smoki, za którymi ciągnęły się smugi dymu. Większość maszyn chybotwała się, niektóre opadały i wznosiły się z trudem, ale wciąż podążały za królową. Smok flagowy też tracił wysokość, wyglądało na to, że pożar na jego ogonie się rozprzestrzenia. Jan zacisnął pięści. Co z panną d'Arquien? Czemu Ludwika zdecydowała się atakować Szwedów? Czy po to, by ratować swoich śląskich przyjaciół i pokazać polskiej szlachcie, jak potrafi walczyć kobieta?...

– Dlaczego nie wracają do zamku? – mruknął na głos. – Dlaczego nie zawrócili, przecież i tak daleko nie zalecą?

– Królowej okrutnie zależy na tym obrazku. – Grudziński też nie odrywał spojrzenia od smoków.

– Głupie baby – warknął Potocki. – Głupie, wstrętne wiedźmy. Doigrały się, cholery... No co tak patrzycie? Będziemy stali na tej wieży jak bisurmańscy muezini, czy ruszamy damom na pomoc?

Sobieski obrócił się na pięcie i rzucił przez ramię:

– Idziemy!

* * *

Ledwie wybiegli na dziedziniec, gdy drogę zastąpiło im dwóch towarzyszy husarskich, trzymających pod ramię upudrowanego dworaka. Przy dwóch wąsatych szlachcicach w błyszczących pancerzach mężczyzna w filetowym kubraku, białych spodniach i nieco zmierzwionej peruce sprawiał nader wątle wrażenie. Spostrzegłszy trzech oficerów, szeroko się do nich uśmiechnął.

– Kogo widzę? – złowrogo ucieszył się Sobieski. – Toż to pan Des Noyers!

– Czy będzie politycznie, jeśli od razu rozwalę mu łeb? – spytał przez zęby Grudziński.

– Pohamuj się, Adaś. Najpierw nam ptaszek wszystko wyśpiewa – wycedził Potocki. Bez ceregieli złapał Francuza za kaftan i uniósł wysoko. – Kto ci kazał nas oczerniać,

perfumowany pajacu? Kto ci płaci?

– Co to ma znaczyć! Proszę mnie puścić, jestem królewskim podczaszym, piastuję wysoki urząd! Jeśli spadnie mi włos z głowy, odpowiecie przed królem! – Des Noyers szamotał się niezdarne w żelaznym uścisku husarza.

– Czemu nie zabrałeś się z królową? – spytał Sobieski.

– Nie mogę latać. Cierpię na pewną wstydliwą przypadłość...

– Problemy z kuśką? – zatroszczył się Grudziński.

Francuz się zaczerwienił.

– Lęk przed wysokością – wybąkał. – A teraz proszę łaskawie mnie puścić. Wszystko wyjaśnię. Nie oczerniłem panów złośliwie czy dla zysku. Opisałem was szczerze i rzetelnie, na podstawie listów, które otrzymałem od waszych sąsiadów i przyjaciół.

Zapadła niezręczna cisza. Potocki postawił szlachcica z powrotem na ziemię i wyraźnie zmieszany spojrzął na kompanów. Grudziński rzucił pod nosem kilka klątw na sąsiada, z którym jego rodzina od lat miała na pieńku. Sobieski pokręcił tylko głową.

– Czyś waćpan się urodził wczoraj czy co? – zwrócił się do Francuza. – Nie wiesz, że największy wróg każdego Polaka to jego rodak? Jeden nie daruje drugiemu powodzenia, czy to w boju, polityce, czy interesach, i będzie na nim psy wieszał. Nie należało opinii naszych przyjaciół traktować dosłownie...

– Niby szczwany dyplomata, a w takich sprawach zupełnie jak dziecko. – Potocki pokręcił głową. – Traktujesz poważnie doniesienie mojego sąsiada, któremu nie raz gębę obiłem? I który chytrze spogląda na moje gospodarstwo, zazdrości, knuje, jak je zagarnąć? Wiadomo, że wygadywał będzie na mnie same kalumnie i świnię podkładał.

– Przecież w wielkiej polityce robicie dokładnie tak samo! – dodał Grudziński. – Udajecie przyjaciół, kłaniacie się, szczerzycie zęby w fałszywych uśmiechach, a za plecami knujecie przeciw sobie i przy byle okazji sypiecie truciznę do wina. Tfu! Pogardzamy takim wojowaniem i brzydzimy się nim z całego serca. Dlatego nie próbujemy nigdy się bronić przeciw takim świństwom i odpowiadać tym samym. To nie przystoi rycerzom!

Sobieski zadumał się, pogładził wąsy, wreszcie chrząknął ze złością pod nosem.

– A może popełniamy błąd? Może powinniśmy tak samo? Dziś różne gnidy knują przeciw nam, szkodzą nam bezkarnie. Jutro zaczną knuć przeciw Rzeczypospolitej! Jednego dnia, dajmy na to, wyciągniemy pomocną dłoń do Habsburgów czy Romanowów, a nazajutrz ci nieboracy wspólnie wsadzą nam sztylet w plecy. Może powinniśmy zapomnieć o rycerskim honorze i zniżyć się do ich poziomu?

– Nigdy! – ryknął Potocki.

– Za nic! – zawtórował Grudziński.

Tym razem Francuz się zmieszał i po chwili wahania zaczął się kajać. Trzej szlachcice przyjęli przeprosiny, a na znak, że nie chowają urazy Potocki przyjacielsko poklepał Des Noyersa po plecach, omal nie posyłając go przy tym na ziemię. Sobieski uznał sprawę za załatwioną i zajął się wydawaniem rozkazów. Po chwili na dziedzińcu zawrzało. Husarze i dragoni, którzy nie mogli już doczekać się bitki, wsiadali na konie, przekrzykując się w podnieceniu.

– Atakujecie Szwedów? – zaciekał się Des Noyers.

– Jako żywo! Najpierw jednak spróbujemy odnaleźć królową – odparł Sobieski. – Obawiam się, że Jej Wysokość jest w niebezpieczeństwie. Jedziesz waćpan z nami?

Sekretarz spojrzął niepewnie na wielkich, silnych mężczyzn pobrzękujących ryszunkiem i

radośnie gotujących się na nadchodzącą walkę. Jak odnaleźć się w tym tłumie brutalnych wojów? On, człek wykształcony i obyty, ma iść w bój razem z tymi nieledwie barbarzyńcami?

– Jadę. Pozwólcie tylko, że wezmę swój rapier i pistolety – powiedział wbrew sobie.

* * *

Klasztoru w Mochowie nie postawiono jako twierdzy – składał się tylko z kościoła i jednego domu, w którym mieszkali ojcowie paulini. Niski mur obronny natychmiast po wylądowaniu obsadzili muszkietierowie. Większość latających maszyn ugrzęzła na łące za klasztorem, na placu przed kościołem wylądowały tylko trzy ornitoptery, w tym flagowy smok królowej. Po pobieżnej kontroli przeprowadzonej przez Burattiniego okazało się, że większość pojazdów wymaga napraw i dalszy lot trzeba przełożyć o kilka dni. Jednak zanim dwór ulokował się w klasztorze, a naukowiec ze swoimi pomocnikami zabrał się za robotę, na drodze pojawili się kirasjerzy. Powitała ich salwa z muszkietów, po której Szwedzi cofnęli się na bezpieczną odległość, wyraźnie czekając na wsparcie.

Prowincjał zakonników, ojciec Bronowski, kazał bić w dzwony i ruszył do kościoła, by odprawić modły w intencji ocalenia królowej. Ledwie zabrzmiał dzwon, gdy powietrzem wstrząsnął głuchy grzmot, a po nim rosnący gwizd. To nadlatywała armatnia kula, siejąc przerażenie w sercach zgromadzonych. Na chwilę cały fraucymer i gwardia królowej zamarły w oczekiwaniu.

Najpierw gruchnęło w kościelną wieżę. Dzwon spadł na ziemię z metalicznym hukiem i łomotem sypiącego się gruzu. Tumany pyłu wzbily się wysoko, ogarniając kościół i biegających po dziedzińcu ludzi. Rozległy się krzyki żołnierzy, wrzaski i jęki rannych. Szwedzi atakowali!

Muszkietierzy ustawiali się w szeregu za kościelnym murem, szykując broń do strzału. Dwórki doskoczyły do okien klasztoru; każda chciała zobaczyć zbliżającego się wroga. Może to tylko szwedzkie niedobitki? Może da się ich powstrzymać?

Z metalicznym chrzęstem żelazne psy pojawiły się na drodze z Głogówka. Napędzające je dusze zawodziły żałośnie, koła łomotały na nierównościach drogi. Czarne, masywne korpusy wyglądały z daleka niczym pełzające, ogromne żuki. W otwartym włazie pierwszego z pojazdów siedział pułkownik Törnshjöld, chudy mężczyzna z posklejnymi łojem długimi włosami i opaską na pustym oczodole. Twarz miał upiornie bladą, pozbawioną jakichkolwiek emocji.

Uniósł rękę. Pojazdy stanęły, dusze umilkły w jednej chwili, zapadała upiorna cisza. Szwedzki pułkownik siedział dłuższy czas bez ruchu, patrząc na klasztor.

Królowa obserwowała go z okna domu klasztorowego. Nikt nie ośmielał się jej przeszkadzać. W milczeniu siłowała się wzrokiem ze szwedzkim zabójcą. Wreszcie Törnshjöld dał znak i dusze uwięzione w sercach żelaznych psów znów zawyły pod niebiosa. Pojazdy ruszyły powoli, unosząc lufy armat. Za nimi dreptały dwa szwadrony kirasjerów.

Żadna ze zgromadzonych przy Ludwice dam nie ośmieliła się wpaść w histerię czy choćby głośniej zaszlochać. Kilka uklękło razem ze spowiednikiem Franciszkiem de Fleurym, by się modlić, inne sięgnęły do ukrytych w sukniach sztyletów i zatrutych szpil. Panowały powaga i skupienie. Damom nawet przez myśl nie przeszło, że królowa mogłaby się poddać i udać do szwedzkiej niewoli. Wszystkie czekała ostateczna walka, w której wdzięk i kobiece sztuczki na niewiele się zdadzą. Szwedów czekała jednak niespodzianka – większość dam potrafiła

posługiwać się bronią i zamierzała walczyć do końca.

Do komnaty weszły ramię w ramię polskie i francuskie dwórki, tym razem bez podziału na górny i dolny dwór. Panna Katarzyna Zamoyska, Magdalena Konopacka i księżna Czartoryska przyniosły naręcza pistoletów i szable, a Suzette Tuven, Domicela Jose i Charlotte Des Essarts przytargały dwa arkebuzy i kilka rapierów. Rozpoczęło się uzbrajanie fraucymeru.

– Ci mężczyźni w czarnych kirysach wyglądają koszmarnie – szepnęła Gabriela do przyjaciółek. – Szwedzi są oślizgli, zimni i bladzi niczym brzuchy śledzi.... Słyszałam o zbrodniach i okrucieństwach, jakich dopuszczają się na wojnach. Obawiam się, że gdy wpadniemy w ich łapy, spotka nas coś potwornego. Pewnie nas zhańbią, zamordują, a na koniec wepchną nasze dusze do swoich żelaznych maszyn! Ogromnie żałuję, że nie ma przy nas polskich rycerzy...

– W porównaniu do tych potworów wydają się tacy czyści i szlachetni – przytaknęła Adrianna. – Jeśli ujdziemy z tego z życiem, przysięgam, że sama poproszę, by królowa wydała mnie za jednego z nich. Najlepiej za tego zawsze uśmiechniętego, z jasną czupryną. Sprawiał wrażenie takiego, co to potrafi zapewnić kobiecie bezpieczeństwo.

– Na razie pozostaje nam się modlić, by ci szlachcice naprawdę okazali się godni noszenia miana rycerzy – westchnęła panna d'Arquien. – Oby ich opisy, przygotowane przez Des Noyersa, rzeczywiście miały się z prawdą.

Zagrzmiały szwedzkie armaty. Ogluszające eksplozje rozerwały mur i rozrzuciły ciała muszkieterów. Amanta de Langeron nie wytrzymała napięcia i tym razem zemdląca zupełnie bez udawania. Królowa nadal stała w oknie i patrzyła w dal. Törn skjöld się nie śpieszył, żelazne psy zwolniły i wymierzyły w budynek klasztoru. Czarne otwory luf patrzyły wprost w okno królowej. Dym rozwiął się na wietrze. Zapadła absolutna cisza. Wszyscy wstrzymali oddech, czekając na morderczą salwę.

Wtedy rozległ się szum i basowe dudnienie. Załopotwały proporce na uniesionych kopianach. Husaria wyłoniła się z lasu za plecami kirasjerów. Stopniowo rozpędzała się do galopu, w równych szeregach, z każdą chwilą nabierając tempa. Ludwika uśmiechnęła się z ulgą. Szwedzi próbowali ustawić się do odparcia szarży, ale Polacy już gnali cwałem, już opuszczali kopie i zwierali szyk, zamieniając się w zwarty mur ostrzy i grotów.

Uderzyli z łomotem, chrzęstem i hukiem. Kwik koni i wrzask mordowanych ludzi zlał się w jedną straszliwą, wojenną arię.

Za husarią pędzili dragoni, w locie dobijając rannych Szwedów. Po chwili zmienili kierunek jazdy i po szerokim łuku uderzyli w zawracające żelazne psy. W otwarte gardziele pojazdów pomknęły pociski z bandoletów i granaty, ciągnące za sobą zapalone lonty. Zanim psy zdążyły wypalić z armat, eksplozje granatów zapaliły ładunki prochowe w ich ładowniach. Ciężkie maszyny wybuchały kolejno do wtóru wycia uwalniających się dusz.

Królowa odwróciła się od okna i z tajemniczym uśmiechem przebiegła wzrokiem po dwórkach. Wszystkie wyprostowały się, stając niczym szkolona armia. Znały to spojrzenie. Ludwika zdecydowała, że trzech młodzi szlachcice zdali egzamin. Staną się jej wiernymi pretorianami, zwolennikami francuskiej frakcji. Teraz szukała narzędzi, które ich do tego ostatecznie przekonają – pięknych i mądrych Francuzek, potrafiących łamać polskie serca.

* * *

Sekretarz królowej drżącą ręką otarł krew z twarzy. Na szczęście nie należała do niego,

tylko do kirasjera, któremu rapierem rozorał gardło. Des Noyers pierwszy raz w życiu brał udział w tak gwałtownym starciu i nie było to doznanie, które chciałby kiedykolwiek powtórzyć. Nie potrafił zachować się w walnej bitwie, czego omal nie przypłacił życiem. Kiedy husarze uderzyli we wroga i wywiązała się bezładna rąbanina, sekretarz królowej kilkakrotnie skrzyżował ostrze z rapierami kirasjerów i cudem nie stracił głowy. Na szczęście Potocki miał na dworaka oko i nieraz ocalił mu skórę, odpierając ataki napastników. Po bitwie Francuz zsunął się z siodła i na uginających się kolanach podreptał do oficera, by mu podziękować. Znalazł go na dziedzińcu przed kościołem o pogruchotanej i dymiącej wieży, gdzie Potocki stał razem z Sobieskim i Grudzińskim. Szlachcice przyglądali się zakonnikom wynoszącym z wnętrza lektykę z jakimś przykrytym płótnem przedmiotem.

– Dla czegoś takiego królowa ryzykowała życie? – oburzył się rotmistrz. – Ja chyba śnię. Wszystko przez jakiś zakichany obraz! Te baby są niespełna rozumu. Dla świecidełek i błyszczących szpargałów gotowe są na wszystko. Ech, od początku mówiłem, że francuskie białogłowy to samo zło...

– Nie przesadzaj, Adasiu. – Potocki wskazał na królewską świtę, wychodzącą właśnie z domu klasztornego. – Może to i więdźmy, ale za to jakie powabne! Nie można wzroku oderwać!

Des Noyers ukłonił się oficerom i już zabierał się za wygłoszenie długich i patetycznych podziękowań, ale porucznik zbył je machnięciem ręki. Sekretarz zrozumiał, że Potocki nie przykładają specjalnej wagi do uratowania komuś życia na polu bitwy, za to nie życzy sobie, by przeszkadzano mu w oglądaniu panien. Uśmiechnął się pod nosem. Przyłączył się do rycerzy i wziął udział w bitwie nie dla przyjemności, ale by bliżej poznać młodą polską szlachtę. Dla tej wiedzy opłacało się zaryzykować, wszak tacy jak ci młodzieńcy niedługo będą rządzić krajem. Sekretarz będzie musiał razem z królową opracować sposoby wpływania na im podobnych, a teraz wiedział, że prócz wysokiego poczucia własnej godności, wolności i honoru, dodatkowo młodzi rycerze wykazują sporą bezinteresowność i bez troskę. To się może przydać. Ukłonił się zatem bez słowa i posłusznie odsunął, by nie utrudniać oficerom podziwiania fraucymeru.

Tymczasem królowa i jej dwórki stanęły przed zakonnikami niosącymi obraz. Prowincjał Bronowski kazał paulinom opuścić lektykę i osobiście odsłonił płótno, by zaprezentować nieuszkodzony w czasie ostrzału skarb. Oczom wszystkich ukazała się niemal zupełnie czarna ikona przedstawiająca Maryję z dzieciątkiem. Ludwika uklękła przed obrazem i pochyliła głowę; za nią uczynił to samo cały fraucymer.

– Święty obraz – jęknął Sobieski. – To Matka Boska Częstochowska, którą król ledwie miesiąc temu ogłosił Królową Polski i której powierzył opiekę nad Rzeczpospolitą.

Rotmistrz tylko przełknął ślinę, a potem huknął się w piersi, aż echo poszło po okolicy.

– A myśmy posądzali Jej Wysokość o płocze przywiązanie do świecidełek... – ciągnął Sobieski. – Myślałem, że święty obraz jest na Jasnej Górze.

– Przeniesiono go z obawy, by nie wpadł w szwedzkie ręce – oświadczył Des Noyers. – Po wyjeździe Jana Kazimierza odpowiedzialność za ikonę spoczęła na królowej. To płótno nie mogło wpaść w ręce wroga, nawet jeśli Jej Wysokość musiałaby poświęcić życie w jego obronie.

Oficerowie uklękli, a chwilę później, zdejmując hełmy i czapki, zrobili to wszyscy znajdujący się w okolicy husarzy i dragoni.

– Dlaczego nam nie powiedziała? – spytał szeptem Sobieski.

– Nie wiedziała, czy może wam ufać. Przecież do niedawna walczyłeś, pułkowniku, pod szwedzkim sztandarem. Dwaj waćpana kompani też nie szczycą się dobrą opinią. Musieliśmy sprawdzić, czy naprawdę jesteście wierni prawowitemu władcy, czy Rzeczpospolita znajdzie w was oparcie – spokojnie odparł Des Noyers. – Dlatego też zostałem w Głogówku, musiałem was obserwować.

– Myślałem, że tej har... Jej Wysokości zależy tylko na sfrancuzeniu naszej ojczyzny – mruknął Grudziński.

– Wszystko, co robi najjaśniejsza pani, ma służyć stworzeniu z Polski wielkiego imperium. Uwierzcie, ona naprawdę kocha ten kraj. – Sekretarz królowej przeżegnał się z rozmachem i wstał, otrzepując poplamione krwią pantaloney.

– Przygotujesz nowy opis naszych osób? – spytał zadziornie Potocki.

– Nie ma takiej potrzeby. Królowa sama widziała, ile jesteście warci. Wasze losy już zostały przypieczętowane. – Francuz uśmiechnął się.

* * *

Wieczorny wiatr rozwiał wreszcie smród spalenizny unoszący się nad klasztorem. Uprzątnięto też ciała poległych w potyczce, na łące zostały tylko poczerńiałe korpusy spalonych żelaznych psów, rzucające długie, ponure cienie. Jeden z ojców paulinów odprawił przy nich modły w intencji dusz, które przez długi czas tkwiły uwięzione w napędach maszyn. Przeżegnał się też nad poczerńiałymi zwłokami pułkownika Törnaskjöldda i jego żołnierzy, których razem z kirasjerami wrzucono do jednej, głębokiej mogiły. Królowa nie zezwoliła na ekstrakcję ich energii życiowej, co koniecznie chciał przeprowadzić Burattini. Nie życzyła sobie eksperymentów na ludzkich duszach.

Maria d'Arquien siedziała na framudze otwartego okna i patrzyła na plac przed kościołem, wdychając świeże, pachnące wiosną powietrze. Słońce ledwie wystawało nad wierzchołki drzew pobliskiego lasu; za chwilę klasztor pogrąży się w ciemnościach. Na polu z drugiej strony muru łomotały młoty rzemieślników zatrudnianych przez Burattiniego. Trwała naprawa jego latającej floty, mającej stanowić załazek niezwyciężonych sił powietrznych Rzeczypospolitej. Jednak wzroku Marysienki nie przyciągali muszkietrzy i parobkowie krzątający się przy smokach, a przechadzające się po dziedzińcu panny, którym towarzyszyli polscy oficerowie.

Gabriela chichotała z żartów rotmistrza Grudzińskiego, choć może bardziej z tego, jak zabawnie kaleczył francuski. Wcale go to jednak nie peszyło, gdy z pasją opowiadał pannie swoje barwne przygody i nieustannie silił się na koślawe komplementy dotyczące urody dziewczęcia. Tuż obok Potocki posyłał płomienne spojrzenia zarumienionej Adriannie, która cierpliwie udzielała mu lekcji francuskiego. Porucznik odwdzięczał się jej wpajaniem podstaw polskiego.

Marysienka uśmiechała się smutno, patrząc na przyjaciółki. Została całkiem sama. Miły jej sercu rycerz odjechał w stronę zachodzącego słońca. Królowa rozkazała mu natychmiast odprowadzić chorągiew husarską do Jana Kazimierza. Tak cenny oddział nie powinien pozostawać zbyt długo poza targaną wojną Polską.

– Czemu się smucisz, moje dziecko? – Marysienka usłyszała tuż za swymi plecami znajomy głos.

Ludwice nie towarzyszyła żadna, najmniejsza nawet świta. Królowa najwidoczniej

przechadzała się po klasztorze zupełnie sama. Objęła Marysienkę, powstrzymując ją przed wykonywaniem ukłonów, i wyjrzała przez okno.

– Ach, o to chodzi. – Pokiwała głową. – Sobieski zawrócił ci w twojej młodziutkiej główce.

– Raczej wdarł mi się w serce, Wasza Wysokość – westchnęła dziewczyna. – Dlaczego został ukarany i odesłany precz? Ja... My... Ja z nim...

– Ukarany? Dostał listy polecające do króla. Radzę w nich, by powierzył mu jakiś wojskowy urząd. Na początek może uhonorował, nadając tytuł chorążego wielkiego koronnego.

– Jednak spodobał się Waszej Wysokości! – ucieszyła się Marysienka. – Dlaczego zatem, najjaśniejsza pani, zabroniłaś mi z nim rozmawiać i choćby się pożegnać?

– Nie podoba mi się afekt, który do siebie czujecie. Widać go na pierwszy rzut oka. – Ludwika pokręciła głową. – Ludzie o naszej pozycji nie mogą kierować się uczuciami, moje dziecko. Wybij go sobie z głowy, dobrze ci radzę. Nie zostaniesz żoną zwykłego żołnierza, zmarnowałbyś się tylko. Ten młodzieniec, choć dobrze sobie radzi w bitwie, niczego wielkiego nie osiągnie. Jesteś prawdziwą perłą w naszym fraucymierze, przeznaczyłam cię do innych, wyższych celów. Szykuję dla ciebie wojewodę Zamoyskiego, będziesz prawdziwą panią, żoną wielkiego i potężnego bogacza. Takich właśnie ludzi potrzebuję w mojej frakcji i dopilnujesz, by twój mąż stał się mi wierny i posłuszny. Oni wszyscy są niczym maszyna, *machine de Pologne*, która robi, co się jej każe, wzniesie się nawet ponad chmury, pokona największe przeciwności. Trzeba tylko umieć nią sterować. A ty umiesz, uczyłam cię tego przez całe życie.

Marysienka opuściła głowę i przełknęła rosnącą w gardle gulę.

– Jak rozkażesz, Wasza Wysokość. – Dygnęła.

Ludwika ujęła ją za brodę i pocałowała w czoło.

– Nie becz! Nie zapominaj, że jesteś francuską arystokratką – powiedziała ciepło, lecz stanowczo. – Uśmiechnij się, no już. Nie pora na smutki, masz się radować jak wszyscy, którzy przeżyli dzisiejszy dzień. A miłość do tego żołnierza możesz w tajemnicy sobie pielęgnować, tego ci nie bronię. Tylko sza, niech nikt się o tym nie dowie. Idź, napisz do niego list.

Panna d'Arquien ukłoniła się i odeszła z wysoko poniesioną głową. Tylko raz, niezbyt szlachetnie, pociągnęła nosem. Na korytarzu spotkała zakonnika i poprosiła go o papier, pióro i atrament. Potem zaszła się w klasztornej kaplicy, jedynym miejscu gdzie panował spokój, i przy pełgającym świetle łójówki napisała list do Jana.

Pierwszy z tysiąca.

wieś Powązki – wieś Pieńków, wrzesień 2011

GLOSSARIUSZ

Pewnie pogna na skargę do tej francuskiej harpii!

Królowa Ludwika (1611–1667), choć miała szczerą intencję uczynienia z Polski kraju nowoczesnego i potężnego, pozostała do końca życia znieawidzona przez szlachtę. Jej postawa w czasie potopu szwedzkiego, kiedy stanęła dzielnie w obronie przyszywanej ojczyzny, została szybko zapomniana. Niezwykle mądra i doskonale wykształcona przybyszka

z Francji przewyższała intelektualnie swoich dwóch mężów (Władysława IV i Jana Kazimierza) i miała ogromny wpływ na ich działania. Posługiwała się fraucymerem niczym armią do zadań specjalnych, jej dwórki wychodziły za polskich magnatów i czyniły z nich zwolenników frakcji francuskiej. Pasjonowała się także nauką i sztuką, sprowadzała do Polski wszystkie nowinki techniczne.

...jeszcze Italianiec zobaczy i się obrazi

Jednym z dworzan Ludwiki był Tytus Burattini (1617–1681), włoski naukowiec, który zasłynął przede wszystkim jako wynalazca jednolitej miary, zwanej metrem katolickim. Zbudował pierwszą maszynę latającą, ornitopter w kształcie smoka – *Dragon Volant* (Smok Latający). Pierwszy lot, z kotem na pokładzie, maszyna wykonała w Warszawie, w roku 1647. Zasłynęła w Europie jako *Machine de Pologne* i przeszła do historii awiacji.

...trzy należące do królowej Pascaliny

Pascalina to mechaniczny kalkulator skonstruowany przez Pascala. Potrafił dodawać i odejmować, formalnie był więc sumatorem. Wyprodukowano tylko 20 egzemplarzy, na rok przed potopem szwedzkim. Ludwika tak naprawdę zamówiła tylko jeden, ale za to najbardziej skomplikowany, bo liczący aż dziesięć kół, model. Jej egzemplarz znajduje się obecnie w Królewskim Gabinetie Przychodów Matematyczno-Fizycznych w Dreźnie. W zbiorach figuruje pod nazwą: „Queen of Poland”.

Myślisz, że damy się wciągnąć w gierki dworskich szczerów?

Dworzanie, pojawiający się w opowiadaniu, naprawdę znajdowali się w otoczeniu Ludwiki, łącznie z Pierrem Des Noyerssem i medykiem Conrade, którzy prowadzili ze sobą wojnę, ku zasmuceniu królowej. Ocalały prywatne listy sekretarza królowej, w których Des Noyers maluje się jako niesamowity intrygant, czerpiący przyjemność z zakulisowych walk. Skupił wokół siebie część fraucymeru, głównie najwyżej urodzone Francuzki. Z kolei medyk prawdopodobnie miał po swojej stronie spowiednika i damy niżej urodzone oraz pochodzące spoza Francji. Walka toczyła się zarówno w sprawach międzynarodowej polityki, obsadzania stanowisk, robienia interesów na terenie Polski, jak i codziennego życia dworu.

...choć dobrze sobie radzi w bitwie, niczego wielkiego nie osiągnie.

Ludwika nie mogła bardziej się w stosunku do Sobieskiego mylić. Nie chciała wydać za niego Marysienki, uważając, że nie jest dość znaczącą partią, tymczasem młody pułkownik zrobił jej psikus a osiemnaście lat później zasiadł na polskim tronie. Feliks Potocki (1630–1702) został jego hetmanem wielkim koronnym i wojewodą krakowskim, czyli piastował dwie najwyższe godności w Rzeczypospolitej. Mikołaj Grudziński (1636–1704), starosta i krajczy koronny, w Odsieczce Wiedeńskiej dosłużył się stopnia generała artylerii. Był blisko zaprzyjaźniony z Sobieskim, król podawał do chrztu jego dzieci, co świadczyło o wielkiej zażyłości.

Pierwszy z tysiąca.

Marysienka pisała listy do Jana przez kolejnych dziewięć lat, do chwili gdy w tajemnicy się pobrali. Później para kontynuowała korespondencję zawsze, gdy Sobieski wyjeżdżał, choćby na krótko. Związek ten był bardzo rzadkim w tamtych czasach przypadkiem małżeństwa z miłości. Marysienka urodziła Janowi trzynaścioro dzieci, a ten zbudował jej pod

Warszawą piękny pałac otoczony ogrodem, na wzniesieniu, które nazwano Marymontem (Górą Marii).

Monika Sokół

ISKRA BOŻA

Leżące na szczycie góry Horodyszczce miasteczko o tej samej nazwie stało w płomieniach. Uliczkami przetaczały się watahy pijanych Kozaków ogarniętych żądzą zniszczenia. Dookoła wały się trupy mieszkańców. Tylko nieliczni próbowali stawić opór najeźdźcom, na niewiele jednak się to zdało. Ginęli rozplątani szablami, patrząc gasnącymi oczyma na powolną męczarnię żon, matek i córek.

Požoga nie ominęła także dzielnicy żydowskiej.

Efraim Abramowicz ukrył się pomiędzy roztrzaskanymi skrzyniami na podwórzu własnego domu i patrzył, jak opętany żądzą krwi Kozak jednym cięciem szabli śmiertelnie rani jego jedyne go syna. Opoдал kilku innych brudnych siczowców gwałciło synową. Pod ścianą domu leżała niespełna roczna wnuczka Efraima, wyrwana z ramion matki i rzucona jak szmaciana lalka.

Mistrz Konstruktor Efraim spoglądał na to wszystko z przerażeniem. Jedyne, czego teraz pragnął, to przeżyć. Za wszelką cenę.

Nagle wszystko zwolniło, zszarzało, a dźwięki rozmyły się, stając się ledwie słyszalnym szmerem. Z oświetlonego pożarem nocnego nieba spłynęła postać jarząca się silnym błękitnym blaskiem. Olbrzymie, metaliczne skrzydła uderzały dostojnie, gdy anioł zawisł nad konającym Jozuem Abramowiczem. Młody mężczyzna wyszeptał coś i wydał ostatnie tchnienie. Bose stopy anioła dotknęły ziemi. W tej samej chwili skrzydła złożyły się ze zgrzytem, przyjmując formę niewielkiego pakunku na plecach.

Anioł uklęknął przy ciele Jozuego i zanurzył na pół materialne dłonie w jego klatce piersiowej. Gdy je wyjął, Efraim dostrzegł pomiędzy przezroczystymi palcami złoty płomień. Anioł dmuchnął – płomień wzbił się w górę, w kierunku nocnego nieba. Boska istota wstała i spojrzała Efraimowi prosto w oczy. Trwało to tylko mgnienie oka, jednak moc, jaką Konstruktor ujrzał w głębi spojrzenia, sparaliżowała go. Anioł nie poświęcił Efraimowi dłuższej uwagi, skupiając się całkowicie na kwilącej cicho Sarze. Podeszedł i przyjrzał się jej uważnie. Po chwili ukląkł, wziął dziecko na ręce i ucałował w czoło. Obserwujący to zdarzenie Efraim przysięgłby, że przez piękne usta znikającego z dzieckiem we wnętrzu domu anioła przemknął uśmiech.

Gdy wrócił, był sam. Stał na środku podwórza i lekko uderzył się w pierś – skrzydła rozpostarły się na całą szerokość. Zagarniając powietrze leniwymi ruchami, wzbił się w niebo. Po chwili nie było po nim śladu. Wróciły za to kolory i dźwięki.

* * *

Nie minęło wiele czasu, a wytwarzane przez Abramowiczów golemi wezwane ostatnim Słowem umierającego Jozuego zabiły wszystkich Kozaków w Horodyszczce. Nie przeżył nikt, kto mógłby zanieść w świat wieść o tym, co spotkało jego kompanów. Tym sposobem jednak chrześcijanie dowiedzieli się o istnieniu żydowskiej sztuki powoływania do życia sztucznych istot. Ocaleni mieszkańcy miasteczka za ratunek i za zemstę wdzięczni byli Efraimowi, gdyż

wierzyli, że to on złamał przysięgę milczenia i wezwał na pomoc te dziwne stwory. Lokalną legendą stało się też cudowne ocalenie wnuczki Konstruktora, którą po dwóch dniach znaleziono zamkniętą w brzuchu jednego z domowych golemów. Abramowicz doszedł do wniosku, że skoro tajemnica i tak się wydała, to należy ją wykorzystać jako szansę, by poprawić swoją pozycję, zarobić dużo pieniędzy i zapewnić sobie bezpieczeństwo, co na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej nie było rzeczą łatwą.

Zaczął od tego, że wysłał golemy do pomocy przy odbudowie częściowo spalonego Horodyszcz. Niedługo potem w okolicznych folwarkach i posiadłościach spotkać można było dziwne konstrukcje ze stali, drewna czy gliny; karmione ogniem i wodą – młóciły, miały i rżnęły, ułatwiając pracę w stodołach, młynach czy tartaku.

Machiny uruchamiano zazwyczaj w nocy, by nikt niepowołany nie odkrył sekretu dobrobytu Horodyszcz i okolic, co mogłoby się skończyć porwaniem cennego Żyda. Od chłopca po burmistrza ludzie wiedzieli, dzięki komu żyje im się łatwiej i dostatniej, i nie zamierzali z tego przywileju rezygnować.

Pomimo ostrożności informacje o tym, co dzieje się w Horodyszcz, dotarły do wojewody. Kilka tygodni po napadzie do miasteczka zawitał niewielki oddział zbrojnych z panem podkomorzym Kropielnickim. Zaufany wojewody miał za zadanie osobiście wy badać intrygujące doniesienia szpiegów. Podkomorzy pojechał prosto do domu Efraima. Wszedł stamtąd dopiero wieczorem, a następnego dnia o świcie cały oddział wrócił tam, skąd przybył. Wkrótce do pracowni Efraima zaczęły przyjeżdżać wozy pod silną eskortą, po brzegi wyładowane skrzyniami. Opodal Horodyszcz powstała stacja obsadzona przez silny oddział dragonów. Nikt nie wątpił, że to wojewoda zadbał o swoje interesy z żydowskim Konstruktor. Musiały być znaczne, skoro zarządził budowę stacji w pobliżu. Dzięki temu mieszkańcy Horodyszcz mieli świadomość, że dzięki watahy dobrze się zastanowią, zanim napadną na chronione miasteczko.

Pan Kropielnicki odwiedzał Efraima Abramowicza średnio dwa razy w roku. Po trzech latach przywiózł swojemu panu niewielkie pudełko z rzadkiego czarnego drzewa. Gdy wojewoda uchylił wieczko, wyszedł z niego złoty chrząszcz-jelonek wielkości połowy dłoni, o pięknie ornamentowanym pancerzu i rubinowych oczach. Zatrzepotał skrzydełkami, jakby chciał je rozprostować. Nieśmiało wszedł na rękaw żupana wojewody, gdzie wyglądał jak przepiękna wielka brosza. Co chwila kręcił łebkiem, niby badając okolicę. Chrząszcz, by wieść swoje sztuczne życie, nie potrzebował żadnego paliwa.

Wojewoda pokiwał głową z zadowoleniem.

* * *

Efraim nie był jedynym Konstruktor wśród Żydów. Niektórym członkom Narodu Wybranego dane było urodzić się z tym niezwykłym talentem. W takim wypadku cała gmina zobowiązana była zapewnić przyszłemu Konstruktorowi odpowiednie wykształcenie, wysyłając go do Mistrzów, co nierzadko wiązało się z daleką wędrówką ku odległym krajom. Wśród Żydów powszechnie hołubiono dar pozwalający na tworzenie sztucznych istot, których cel istnienia stanowiła pomoc człowiekowi. Najsłynniejszym Konstruktor był pochodzący z Poznania praski rabin Jehuda Loew ben Bekalel. Niestety sława nie przyniosła mu niczego dobrego, gdyż chrześcijanie zaniepokojeni potencjalną władzą, jaką mógł zyskać żydowski Konstruktor, dowodząc armią sztucznych ludzi, uśmiercili go. Śmierć rabina nie do końca

uspokoiła prażan, którzy na wszelki wypadek dokonali pogromu, by pokazać Żydom, gdzie ich miejsce. Od tamtej pory Konstruktorzy jeszcze staranniej ukrywali swoje umiejętności przed niepowołanymi oczyma.

Powoływanie do życia golemów, zwłaszcza na podobieństwo ludzi, miało swoich przeciwników także wśród samych Żydów. Rabini i cadykowie toczyli we własnym gronie dysputy dotyczące tego, czy tworzenie sztucznego życia jest, czy też nie jest świętokradztwem. Wszak tylko Bóg ma do tego prawo. Prawdziwe kontrowersje budziły jednak nie prymitywne golemy napędzane parą, ani nawet te bardziej skomplikowane, czerpiące siłę z substancji alchemicznych, ale legendarne golemy tworzone przez najwybitniejszych Konstruktorów w historii Narodu Wybranego, którzy posiadli moc budzenia sztucznych istot do życia Słowem Bożym.

Wiele wskazywało na to, że należał do nich Efraim Abramowicz. To właśnie jego sława sprawiała, że do Horodyszczu ściągali wybitni filozofowie i znawcy Tory, którzy w szkołach przyświątynnych toczyli zażarte spory.

Początkowo golemy wykorzystywano sporadycznie, w domach najbogatszych kupców żydowskich, do wykonywania prac w szabat. Tego dnia Izraelici nie mogli wykonywać czynności, które prawo Halacha uznawało za pracę, jak chociażby rozpalanie ognia w piecu. Obecność golemów pozwalała należycie święcić ten dzień, nie narażając się na grzech.

Tańsze modele golemów opalane były drewnem i stosunkowo często należało dokładać do metalowych kotłów umieszczonych w ich trzewiach. Natomiast droższe, zasilane paliwem alchemicznym, mogły funkcjonować nawet cały dzień na jednej jego porcji. Ogień z płynu, którego tajemnicy strzegł zazdrośnie każdy z Konstruktorów, palił się równomiernie przez wiele godzin, pozwalając golemowi stabilnie pracować. Według plotek istniały też golemy natchnione Słowem Bożym, które raz ożywione nie potrzebowały więcej paliwa, by funkcjonować. Wierzono także, że takie golemy prędzej czy później popadały w szaleństwo i unicestwiałały same siebie.

* * *

Po ujawnieniu istnienia golemów Efraim i jego uczniowie mieli mnóstwo pracy. Jednocześnie Konstruktor rozpoczął poszukiwania u najsłynniejszych żydowskich kabalistów wyjaśnienia, czym był złoty płomień w rękach anioła. Interpretacji nie brakowało, jednak najbardziej prawdopodobną wydawała się teoria, że płomień jest Iskłą Bożą – znakiem obdarowania człowieka przez Boga niezwykłymi umiejętnościami. W rodzie Abramowiczów taką umiejętnością mogło być właśnie konstruowanie golemów. Kabaliści twierdzili też, że czasami płomień geniuszu można przekazać potomstwu, gdyż Iskra Boża była szczególnie silna w niektórych rodach. Wśród przodków Efraima dosyć regularnie pojawiali się mniej lub bardziej utalentowani Konstruktorzy. Teraz jednak Jozue nie żył i linia została przerwana. Konstruktor nie brał pod uwagę wnuczki, gdyż była kobietą, a to automatycznie wykluczało ją z dziedziczenia talentu. Postanowił więc spłodzić dziedzica, by przekazać mu dar i swoje umiejętności. Miał tylko nadzieję, że śmierć niewątpliwie utalentowanego Jozuego nie sprawiła, że Iskra zniknęła bezpowrotnie. Poza tym ktoś musiał zająć się małą Sarą.

Efraim wziął więc sobie żonę. Bez kłopotu znalazł kandydatkę, bo bogactwo i względnie młody wiek czyniły z niego dobrą partię. Po dwóch latach, gdy dziecka wciąż nie było, uznał, że to wina żony i odesłał ją do rodziców. Ożenił się kolejny raz. Niewiele to pomogło, a

Efraim frustrację zaczął wyładowywać na nowej wybrance. Pewnej zimy znaleziono ją zamarznąłą za bramami miasta. Nie wiadomo, co tam robiła, ale też nikt nie żądał wyjaśnień. Uznano ją za jeszcze jedną ofiarę srogiego mrozu.

Kandydatek na trzecią panią Abramowiczową nie pojawiło się już tak wiele. Efraim zdecydował, że zamiast młodej panny weźmie sobie za żonę kobietę, która już urodziła dzieci. Wybór padł na wdowę Esterę. Nie była jeszcze stara i miała dwóch synów, co potwierdzało jej płodność. Efraim ożenił się z nią, ale pasierbów nie chciał widzieć na oczy. Chłopców odesłano na wychowanie do rodziny ojca.

Nie trzeba było długo czekać, by okazało się, że ze związku z Esterą dzieci też nie będzie. Efraim musiał wreszcie przyznać sam przed sobą, że to nie wina jego żon. Wyglądało na to, że Iskra Boża w rodzinie Abramowiczów została bezpowrotnie utracona. Pewnego dnia jednak spojrzenie Konstruktorza padło na wnuczkę. Doznał olśnienia. Istniała jeszcze szansa, że Iskra objawi się u syna Sary. Pozostało tylko czekać, aż dziewczyna dorośnie i będzie można wydać ją za mąż.

Estera, traktowana przez męża jak zło konieczne, całe swoje uczucia macierzyńskie przelała na małą Sarę. Do tej pory dziewczynką opiekowały się głównie służące, przedstawiała więc sobą obraz nędzy i rozpacz. Kobieta zajęła się nią, jakby była jej własną córką, ale gdy Sara miała dwanaście lat, zmarła.

Efraim cierpliwie czekał. Snując pajęczynę intryg, przygotowywał grunt do realizacji swojego największego marzenia – marzenia o potędze.

* * *

Wgospodzie stojącej w pobliżu bramy prowadzącej do kwartału żydowskiego zatrzymało się kilku przyjezdnych szlachciców, robiących zamieszanie za cały regiment dragonów. Miejscowi siedzieli cicho i pili piwo, starając się nie rzucić przyjezdnym w oczy. A nuż będą szukali zwady i bez przyczyny zaczną rozwalać łby każdemu, kto się nawinie? Lepiej nie zwracać na siebie uwagi, a w razie kłopotów szybko czmychnąć.

Awanturnikom odpowiadała lękliwość mieszczan. Czuli się bezkarni, zwłaszcza że jeden z nich miał bardzo możnych protektorów. To właśnie jemu wpadła w oko dziewczyna wychodząca z pomieszczenia za szynkiem i pogrążona w rozmowie z karczmarzem.

Zwrócił na nią uwagę, bo była zupełnie niepodobna do dziewczek, jakie można zastać w karczmach. Miała delikatne rysy twarzy, duże ciemne oczy i czarne włosy luźno związane na karku. Ciemnozielona suknia i peleryna, którą właśnie zakładała, były proste w kroju, ale wykonane ze znakomitego sukna. Do takiej słodkiej twarzyczki nie pasował mu tylko goszczący na niej wyraz powagi i skupienia.

Dziewczyna zaintrygowała młodego szlachcica, a że niedługo miał się żenić, nie zamierzał ograniczać się w kosztowaniu niewieścich wdzięków. Wstał i nieco chwiejnym krokiem zaszedł drogę ciemnobrewej ślicznotce.

– A dokąd to, moja panno? – spytał. – Może dotrzymałabyś towarzystwa zacnym kawalerom, którzy zawitali z wizytą do waszej miejsciny? Do głowy by mi nie przyszło, że można tu znaleźć tak piękne kwiaty. Aż żal je marnować dla tutejszych łyków!

Sara spojrzała na niego zaskoczona, jakby dopiero teraz dostrzegła, że ktoś jeszcze przebywa w gospodzie. I w rzeczy samej tak było, gdyż głowę zaprzętała jej sposób udoskonalenia starego golema, który od lat pracował w tutejszej kuchni. Właśnie obejrzała go

na prośbę starego znajomego, karczmarza Anzelma, i zamierzała iść do domu, by zastanowić się, co jeszcze można wycisnąć z rupiecia skonstruowanego przez jednego z uczniów Efraima.

– Człowiekowi honoru nie godzi się zaczepiać nieznajomej panny – odparła z godnością. – Przepuść mnie, waszmość, bo czasu nie mam.

– Ejże, panno. – Zastąpił jej drogę, gdy próbowała go ominąć. – Nie zamierzam cię nigdzie puszczać. Ktoś musi mnie ogrzać tej nocy.

– To idź do chlewa, pijanico – warknęła gniewnie. Nie znosiła użerania się z podchmielonymi mężczyznami dybiącymi na jej cześć niewieścią. Na szczęście w Horodyszczce nie było wielu samobójców. Tutaj ludzie ciągle pamiętali, ile zawdzięczali jej rodzinie, więc jakakolwiek próba napaści mogłaby skończyć się dla natręta bardzo źle.

Ten jednak nie zamierzał odpuścić. Złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie z lubieżnym uśmiechem. Nagle zamarł, czując na przyrodzeniu ukłucie. To Sara przytknęła mu do szarawarów mały, ostry jak brzytwa szpikulec, którego używała w warsztacie.

– Na twoim miejscu grzecznie wróciłabym do kompanów i zapomniała o zwierzęcej chuci – poradziła, czując, jak mężczyzna puszcza jej rękę.

Oblicze wykrzywiła mu wściekłość.

– Nic mi nie zrobisz tą wykałaczką – warknął. – Gdybyś chociaż mnie drasnęła, to z kompanami zachędożylibyśmy cię na śmierć, głupia dziewczko. Jeśli zaraz zabierzesz nóż, to uda ci się przeżyć tę noc.

Jego oczy zdradzały dziewczynie, że nie są to puste groźby. Ją jednak trudno było przestraszyć.

– Skoro i tak mnie to nie ominie, to będę miała chociaż tę satysfakcję, że nikomu więcej takiej krzywdy nie wyrządzisz. Jak ci go utnę, wnet się wykrwawisz.

Wydawało się już, że to sytuacja bez wyjścia, gdy wtem za plecami szlachcica otworzyły się drzwi i wpadł oddział zbrojnych. Anzelm, widząc na co się zanosi, wysłał chłopca kuchennego po pomoc. Ten na sąsiedniej ulicy natknął się na straż, która czym prędzej przybiegła na ratunek wnuczce Konstruktora Efraima.

– Odsuń się waszmość od dziewczyny! – zawołał dowódca. Strażnicy odepchnęli szlachcica drzewcami halabard, umożliwiając Sarze schowanie się za ich plecami.

– Ty łyczku jeden, masz czelność grozić mnie? – W głosie niedosłego gwałciciela zabrzmiała nieskrywana groźba. Jego kompani wstali, posyłając straży złowrogie spojrzenia.

– Działamy w imieniu jaśnie wielmożnego pana wojewody, który dał nam prawo nakładać areszt także na szlachciców, gdyby sprawiali kłopoty – oznajmił hardo kapitan. Nie pierwszy raz miał do czynienia z butną, pijaną szlachtą, która jednak zamknięta na kilka niedziel w wieży szybko pokorniała. Zgodnie z rozkazami pana wojewody, miał się nie patyczkować z warchołami, zwłaszcza gdy w grę wchodziło bezpieczeństwo któregoś z Abramowiczów.

Jeden ze strażników nachylił się do Sary.

– Nic pannie nie jest? – spytał troskliwie. Przecząco potrząsnęła głową. – Proszę wracać do domu, panno Abramowiczówno...

Ku konsternacji obecnych, słysząc miano dziewczyny, młody szlachcic roześmiał się głośno, dając jednocześnie znak swoim towarzyszom, że nie potrzebuje ich pomocy.

Sara nie czekała, co będzie dalej – wyszła szybkim krokiem, ale echo gromkiego śmiechu ścigało ją jeszcze długo na zalanej listopadowym deszczem ulicy.

Dopiero tam dziewczyna pozwoliła sobie na odrzucenie maski. Schowała się w jednej z bram i ukryła twarz w trzęsących się dłoniach. Była twarda, bo taka musiała być. Od

najmłodszych lat towarzyszyła jej pogarda ze strony dziadka i obojętność służących. Tylko Estera obdarzyła ją prawdziwym uczuciem, mając przy tym żal do losu, który tak wielki umysł zamknął w kobiecym ciele. Sara buntowała się przeciw temu, przyrzekając sobie udowodnić wszystkim, że to nie płeć decyduje o inteligencji. Kontakty z uczniami Efraima utwierdzały ją tylko w tym przekonaniu, gdyż żaden z nich nawet nie zbliżał się do jej poziomu. Jako dziecko zostawione samo sobie, często włóczyła się po miasteczku i okolicy z innymi dziećmi. Nie raz musiała też walczyć o właściwe miejsce w dziecięcym „stadzie”, więc na widok przemocy nie mdlała jak jej rówieśniczki z dobrych domów. Tym razem jednak, chociaż tego nie okazała, przestraszyła się agresji i okrucieństwa czających się w oczach napastnika. Była pewna, że gdyby nie zdecydowana postawa kapitana straży, ten incydent mógłby źle się skończyć. Dla niej.

Wreszcie wzięła się w garść i pobiegła do domu.

* * *

Wraz z Efraimem, którego nigdy nie nazywała dziadkiem, Sara mieszkała w wielkim domu, z daleka dającym do zrozumienia mieszkańcom gęsto zaludnionego kwartału żydowskiego, jak bogaty jest jego właściciel. Jednak poza budzącą respekt fasadą niewiele w nim było cennych lub chociażby tylko ładnych przedmiotów. Wszystkie wnętrza urządzone zostały z niemal spartańską surowością. Prócz Abramowiczów w kamienicy na stałe mieszkali tylko dwaj służący zajmujący się stajnią i rozładunkiem cennych surowców wykorzystywanych przy produkcji golemów. Wszyscy uczniowie Efraima mieszkali na stacji u różnych mieszkańców kahału.

Z tyłu głównego budynku znajdował się spory dziedziniec, do którego przylegały stajnie, warsztaty i pracownia alchemiczna, gdzie opracowywano nowe mieszanki napędzające. Konstruktor chciał uzyskać paliwo, które chociaż w przybliżeniu mogłoby funkcjonować jak Słowo Boże. Nigdy jednak nawet nie zbliżył się do uzyskania takiego efektu. Natomiast Sara mogła pochwalić się w tym względzie dosyć obiecującymi wynikami.

Zazwyczaj dziedziniec roił się od ludzi, ale nie dzisiaj. Dzisiaj Efraim spodziewał się wyjątkowych gości, których wizytę chciał utrzymać w możliwie największej tajemnicy, z tego też powodu kazał swoim uczniom iść wcześniej do domów. Sara domyślała się, że przyszedł czas na wizytę kontrolną pana Kropielnickiego. Kucharka jak zwykle na tę okazję przygotowała najlepsze potrawy i zostawiła w piecu, by nie ostygły. Sara miała przypilnować kolejności, w jakiej dania trafią na stół. O całą resztę zadba golem kuchenny jej własnego pomysłu. Kilka ramion wychodzących z metalowej kuli zwolniło ją z codziennego obowiązku pomagania kucharce. Sprytnie rozwiązanie z drobnych mosiężnych pierścieni zachodzących na siebie jak łuska nadawało odnóżom golema giętkość, a gdzieniegdzie porozmieszczane przeguby pozwalały w pełni panować kuchennej ośmiornicy nad ruchami. Zresztą właśnie to bajkowe zwierzę, jakie Sara widziała na jednej z rycin, zainspirowało ją do stworzenia dziwnego golema. Efektem było pełne zadowolenie kucharki uważającej, że Octopus dużo lepiej sprawdza się w kuchni niż dziewczyna myślami wciąż będąca w warsztacie.

Dzięki Octopusowi Sara miała więcej czasu na eksperymenty w pracowni. Efraim z niechęcią patrzył na te działania wnuczki, które uważał za naruszenie boskiego porządku – kobieta powinna siedzieć w kuchni i rodzić dzieci. Najchętniej w ogóle zakazałby jej pracy przy golemach, ale dziewczyna miała poparcie rabbiiego, a rabbiemu nawet Efraim

Abramowicz nie chciał się narażać. Przynajmniej na razie.

Sara zyskała w rabbim Salomonie oddanego sprzymierzeńca po tym, jak zaprojektowała dla jego częściowo sparaliżowanej żony specjalne mechaniczne łóżko, które ułatwiało opiekę nad nią i przenoszenie na specjalny fotel z zamontowanymi przez Sarę kółkami od taczek.

Pewnego dnia do Konstruktora przyszedł rabbi i podczas rozmowy nieśmiało zasugerował zbudowanie czegoś, co ulżyłoby cierpieniom jego małżonki. Spotkał się ze zdecydowaną odmową. Efraim uważał, że kobieta jest użyteczna tylko wtedy, gdy może pracować. Jeżeli jednak do niczego się nie nadaje, to im prędzej się o niej zapomni, tym lepiej.

Rabbi nic na to nie odpowiedział, ale poczerwieniał z ledwie powstrzymanej wściekłości. Spędził ze swoją Ryfką czterdzieści lat i chociaż często bywało ciężko, to zawsze go wspierała i nigdy nie usłyszał z jej ust złego słowa. Bardzo ją szanował i oburzyło go potraktowanie żony jak zużytego golema.

Bez słowa skierował się ku drzwiom. Złapany w ciemnej sieni za rękaw usłyszał: „Ja to zrobię”.

Po tygodniu do domu rabbiego zapukała czternastoletnia Sara Abramowicz. Obok niej stał wózek pełen elementów konstrukcji zaprojektowanej dla jego żony.

Gdy dwa tygodnie później Sara wniosła do rady kahalnej skargę na uniemożliwianie jej przez dziadka rozwijania talentu konstruktorskiego, ta – z rabbim na czele – przyznała jej rację i nakazała Efraimowi, by nauczał wnuczkę. Talent konstruktorski był tak rzadki i tak ceniony, że w tym względzie społeczność żydowska przymykała czasami oko na wiek i płeć przyszłego adepta sztuki konstruktorskiej.

Sara, żeby zapewnić sobie przychyłność rady, już od kilku miesięcy – pomna rad nieżyjącej Estery – budowała swoją sieć wpływów. Niemal każdy członek rady kahalnej został w mniej lub bardziej widoczny sposób przez nią przekupiony. Zazwyczaj wystarczały wytworzone przez nią drobne cuda poparte świadomością utarcia nosa najbogatszemu i najbardziej aroganckiemu Żydowi w Horodyszcze.

* * *

Do wrót ktoś załomotał. Parobek skoczył, by otworzyć. Ucieszył się, że goście przyjechali, bo oznaczało to dla niego wolny wieczór mile spędzony w karczmie.

Na dziedziniec wjechało dwóch jeźdźców, a dwóch zostało przed bramą. Sara zerknęła na przybyszów z okna kuchni, ale przez grube szklane płytki widać było zaledwie zarys postaci. Domyśliła się tylko, że cień wychodzący z domu i witający gości to Efraim. Cała trójka zniknęła wewnątrz. Ciekawa była, kto tym razem przybył z panem podkomorzym. Kazała Octopusowi włożyć przygotowane potrawy do dźwigowej skrzynki i spuścić je na dół, do jadalni. Sama szybko zeszła, by osobiście podać kolację zmarzniętym i przemoczonym podróżnym. W pewnym stopniu żywiła nawet sympatię do pana Kropielnickiego, który od momentu gdy zobaczył – dzięki starannie zaaranżowanemu przez Sarę „przypadkowi” – kilka jej golemów, traktował ją nie jak głupią dziewczynę, ale jak obiecującego młodego konstruktora.

Tego wieczora jednak Sara chciała jak najszybciej podać jedzenie i wrócić do pustego warsztatu, by w spokoju popracować nad nowym pomysłem. Uwinęła się więc szybko i zanim goście zdążyli wejść do izby jadalnej, już pomknęła przebrać się w roboczą suknię, która – krótsza niż obyczaj nakazuje i wykonana z grubej, szorstkiej tkaniny – idealnie nadawała się

do pracy w warsztacie. Tam nad przyzwoitość Sara stawiała wygodę i swobodę ruchów. Włosy starannie ukryła pod chustką, pamiętając doskonale zdarzenie, gdy koniec jej warkocza wpadł do kadzi z wrzącą mieszanką. Efekt był intrygujący i uznała zdarzenie za pouczający eksperyment, ale włosy i tak trzeba było obciąć.

W warsztacie miała swój wydzielony kącik, gdzie tworzyła własne sztuczne istoty, zupełnie różne od tego, co produkował jej dziadek, a powielali jego uczniowie. Obecnie pracowała nad golemem, w którym chciała zastosować nowy pomysł wykorzystania żywych roślin w połączeniu z metalową konstrukcją. Sercem ażurowego szkieletu splecionego z cienkich pręcików wykonanych ze stopu przypominającego spiż, lecz łatwiejszego w obróbce, był pełny korpus z licznymi otworami i drzwiczkami prowadzącymi wprost do kotła. Cały, za wyjątkiem kotła i mechanizmu, wypełniony był ziemią, do której Sara wsadzała przez otworki maleńkie roślinki. Golem nieco cuchnął krowim nawozem, który dziewczyna wymieszała z ziemią, by na początku jak najlepiej odżywić sadzonki.

Na razie jej konstrukt nie wyglądał specjalnie imponująco. Nie o to jednak chodziło. To był prototyp. Sara chciała przekonać się, czy jej pomysł, by rośliny w połączeniu z mechanizmem zegarowym stanowiły źródło napędu, ma szansę się sprawdzić. Prawdziwym wyzwaniem dla dziewczyny było sporządzenie substancji pobudzającej rośliny, a także sposoby komunikacji z tak niezwykłym, odmiennym od innych golemem. Nikt inny tego przed nią nie próbował, a dziadek, widząc, czym się zajmuje, krzywił się pogardliwie. Dla niego jej eksperymenty były tylko stratą czasu i materiałów.

* * *

Jestem zmęczony i taki samotny... Łańcuchy z gwiazdowego metalu krępują mi ręce i nogi, a obroża wpija się w szyję. Dookoła ciemność.

Czuję, że ten zwyrodnialec znów się pojawi, i wiem, że będzie to ostatni raz. Więcej już nie wytrzymam. Wyssie ze mnie resztkę duszy i przestaną istnieć. Na całym ciele mam ślady po dziwnym mechanizmie, który kropla po kropli wysąca ze mnie istotę bytu. Umrę. Tym razem jestem pewien.

Wiem, że nic połączenia pomiędzy mną a Nią nie jest jeszcze wystarczająco mocna, ale nie mam wyboru – muszę zaryzykować. Ona jest naszą ostatnią nadzieją. Nie pozwolę, by Ją skazili.

* * *

– I co macie dla mnie, Efraimie? – spytał pan Jan Kropielnicki. Spożył już wieczerzę i ogrzał się przy ogniu po paskudnej podróży; teraz patrzył przenikliwie na starego Konstruktora.

– Moja praca już niemal dobiegła końca – oznajmił z dumą Żyd. – Teraz mogę tylko modlić się, by Bóg zechciał natchnąć golemę życiem. Pozostaje także kwestia uzbrojenia, ale o tym, co proponuję, porozmawiamy, gdy zobaczysz, panie podkomorzy, moje dzieła na własne oczy. Jest jeszcze sprawa umowy ze strony waszmości i Jego Miłości pana wojewody.

– Wszystko już ustalone. Rodzina mojej żony przypuści was do herbu, a ten tu oto młodzieniec – wskazał na drugiego przybysza – jest gwarantem umowy. To on poślubi waszą wnuczkę.

– Kiedy?

– Kiedy tylko zobaczę nasze zabaweczki i jeżeli będę z nich zadowolony. Przygotowaliśmy także wszystko, co niezbędne do ceremonii waszego przejścia na łono kościoła rzymskiego.

– Na razie nikt nie może się o tym dowiedzieć, panie podkomorzy – zaznaczył Efraim.

– Cała sprawa objęta jest ścisłą tajemnicą. Kiedy otrzymamy golemy?

– Gdy urodzi się pierwszy syn Sary.

– A jeżeli się nie urodzi?

– To po trzech latach. Pamiętaj, panie podkomorzy, że dziecko będzie należeć do mnie – zastrzegł Efraim.

Kropielnicki przypatrywał się uważnie Konstruktorowi.

– Efraimie Abramowiczu, powiedzcie mi, po co wam to dziecko? – spytał wreszcie. – Nie za starzy jesteście, żeby bawić się w niańkę?

– Nie do zabawy mi on, ale by przekazać mu całą moją wiedzę. Inaczej zabiorę ją ze sobą do grobu.

– Ponoć wasza wnuczka ma talent do konstruowania niezwykłych golemów. Dlaczego jej nie nauczycie wszystkiego, co sami umiecie?

Efraim prychnął pogardliwie.

– Siedzi tylko w warsztacie i wymyśla swoje pokraczne, bezużyteczne stwory. Myśli, że taka jest mądra! I chociaż dziewczucha powinna siedzieć w kuchni i zajmować się tylko tym, co niewieście przystoi, ona nastawiła cały kahał przeciwko mnie, który zażądał, żebym udostępnił jej warsztat. To obraza Najwyższego i obyczajów! Tfu! – Splunął na drewnianą podłogę.

– Dziwne, Efraimie, że to właśnie wy mówicie o obrazie waszego Boga i waszych obyczajów, skoro sami zamierzacie się wyrzec wiary ojców. – Głos podkomorzego był zimny jak lód.

– To nie wasza sprawa, panie Kropielnicki – warknął Żyd, posyłając mu wrogie spojrzenie. – Ja chcę chłopca i to jak najszybciej.

– Skoro tak wam zależy, to może już dzisiaj zabiorę się za przysparzanie wam dziedzica? – odezwał się milczący dotąd młody mężczyzna.

– Konstanty! – Podkomorzy już wychylał się, by zdzielić go po głowie, gdy zatrzymały go słowa Konstruktor.

– Możesz zacząć już dzisiaj. Byleby potem był ślub. I herb.

Starszy szlachcic zmełł w ustach przekleństwo, ale młodszy tylko uśmiechnął się lubieżnie.

– Zapewne macie jeszcze wiele spraw do omówienia. Nie będę więc wam przeszkadzał swoją ignorancją w tych kwestiach. Gdzie w takim razie mogę znaleźć przyszłą panią Wielińską? – spytał.

Chwilę później szybkim krokiem zmierzał w kierunku izby zajmowanej przez Sarę. W dłoni niósł szal, który miał być prezentem dla narzeczonej. Kosztowna tkanina lśniła złowrogo w chwiejnym świetle kaganka. Gdy dotarł do właściwych drzwi, zdmuchnął płomień, odstawił kaganek i zapukał.

– Kto tam? – rozległ się zaskoczony głos dziewczyny. Nikt nigdy jej o tej porze nie odwiedzał.

– Twój dziadek zachorował, panienko. Ledwie dycha! Pan Kropielnicki przysłał mnie po ciebie. – Konstanty mówił z przejęciem, starając się wypaść przekonująco. Widocznie udało mu się ta sztuka, gdyż po chwili drzwi uchyliły się z cichym skrzypnięciem.

Na to czekał. Pchnął je ramieniem tak mocno, że impet odrzucił Sarę w głąb izby. W

mgnieniu oka znalazł się przy niej i szalem mocno zakneblował usta. Nie zlekceważył rady starego Efraima, który ostrzegł go, że jeżeli dziewczyna będzie miała czas wezwać na pomoc domowe golemy, to cały incydent może się dla niego bardzo źle skończyć.

Teraz stał, trzymając Sarę za nadgarstki, i przyglądał się jej w blasku świecy stojącej na zarzuconym projektemi stole. Uśmiechał się do dziewczyny, ale nie był to przyjemny uśmiech.

– Przecież mówiłem ci, kwiatuszku, że ogrzejesz mnie tej nocy – powiedział łagodnie, ale wyraz oczu przeczył tonowi głosu. Przycisnął ją mocniej do siebie. – I tak za kilka dni mamy wziąć ślub, więc nic złego się nie stanie, gdy trochę przyspieszymy noc poślubną. Tydzień w tę czy tydzień w tę nie robi wielkiej różnicy, prawda? Twój dziadek zgodził się na takie niewielkie odstępstwo od zwyczajów.

Jej szamotanie i nienawiść w spojrzeniu rozbawiły Konstantego i sprawiały, że krew zaczęła szybciej krążyć mu w żyłach. Przyparł ją do ściany i chwyciwszy za obydwa nadgarstki, wolną ręką próbował podnieść suknię.

„Niedoczekanie twoje!” – pomyślała z wściekłością i podciągając wysoko kolano, kopnęła go tam, gdzie, jak uczyła ją Estera, należy kopać natrętów.

Mężczyzna z jękiem zatoczył się w tył, uwalniając ręce Sary. Sięgnęła, by jak najszybciej zerwać szal z twarzy. Nie zdążyła jednak. Uderzenie rzuciło ją na podłogę.

– Ty suko! – wrzasnął ze złością Konstanty. – To tak traktujesz swojego przyszłego pana?

Ponowny cios.

– Powinnaś się tu czołgać z wdzięczności, że polski szlachcic chce wychędożyć tę twoją żydowską piczkę! A teraz poznaj rękę pana, suko!

Nie zdążył uderzyć jej ponownie, bo nagle coś z olbrzymią siłą zacisnęło mu się na szyi, pozbawiając oddechu. Równie niespodziewanie pęto poluzowało się i zsunęło, pozostawiając po sobie poszarpaną ranę, tryskającą krwią.

Niczego nierozumiejący mężczyzna osunął się na kolana przed Sarą. Po chwili leżał na drewnianej podłodze martwy.

Dziewczyna podniosła wzrok. Nad zwłokami stał jej roślinny golem, którego z trudem przyprowadziła do swojej izby, żeby jeszcze nad nim popracować w nocy. Z ramienia zwisał mu pęd dzikiej róży z olbrzymimi kolcami. To one rozerwały gardło niedoszłemu gwałcicielowi.

Sara nie potrafiła zrozumieć, w jaki sposób golem mógł sam się poruszyć. Ta bardzo uboga mieszanka, dzięki której ledwie doszedł do tej izby, dawno się wypaliła. Nie ona więc pozwoliła mu działać. Po dokładniejszych oględzinach Sara zauważyła wokół golema delikatną błękitną poświatę. Czyżby to było legendarne Słowo Boże? Według traktatów, do których dotarła po kryjomu, tak w przybliżeniu wyglądała reakcja na coś, co mistycy nazywali „Słowem Bożym”. Sama Sara uważała, że pod tą nazwą kryje się jakieś niezwykle paliwo, dające golemom świadomość i nieskończoną energię. Czyżby więc przez przypadek udało jej się coś takiego stworzyć?

Nagle przypomniała sobie o trupie. No tak, martwy mężczyzna leży na podłodze jej izby, a ona zastanawia się nad zasadą funkcjonowania golema. „Muszę przestać myśleć jak konstruktor, a zacząć jak złoczyńca”, nakazała sobie. Była pewna, że zostanie oskarżona o morderstwo, którego nie popełniła. Bezradnie spojrzała na zwłoki leżące w kałuży krwi. Co ma teraz z nimi zrobić? „Nie dość, że chciałeś mnie zgwałcić, psi synu, to teraz mnie przez ciebie powieszają”, pomyślała ze złością. „Mam nadzieję, że smażysz się już w waszym katolickim piekle”.

Sara z doświadczenia całego swojego życia u boku znieawidzonego Efraima wiedziała, że najlepszym sposobem, by nie oszaleć, jest zmieniać rozpacz w gniew, który dodaje energii i motywuje do działania.

Niespodziewanie golem podszedł do stołu i na jednym z projektów nagryzmołił węgielkiem kilka słów. Sara pochyliła się i odczytała: „Uciekaj. Nie bój się. Pomogę. Zaufaj”.

Wokół jej nadgarstka delikatnie owinał się pęd róży. Zamiast kolców pokrywały go drobne, blad różowe kwiaty. Nie stawiała oporu, gdy golem pociągnął ją w stronę drzwi, ale gdy mijala ciało Konstantego, przystanęła i z pogardą splunęła na trupa.

Różano-spiżowy golem bez wahania prowadził ją pogrążonymi w ciemności i ciszy korytarzami. Tego wieczora dom był wymarły. Sara zastanowiła się, gdzie też mogą podziwiać się Efraim i jego gość.

Dotarli wreszcie do drzwi prowadzących do pracowni Efraima, przylegającej do głównego warsztatu. Nikt, nawet ona, a może zwłaszcza ona, nie mógł tam wejść. Drzwi zamykano za pomocą skomplikowanego mechanizmu, a klucz miał tylko Konstruktor. Dziewczyna nigdy nie odczuwała potrzeby otworzenia zamka. Stosunki pomiędzy nią a dziadkiem były wystarczająco napięte.

Golem wsunął do dziurki od klucza jeden ze swoich pędów. Po serii zgrzytów drzwi stanęły otworem. Sara zawahała się, przekraczając próg. Teraz już nie było odwrotu.

Pracownia zastawiona była mnóstwem najróżniejszych urządzeń. Sara domyślała się przeznaczenia części z nich, ale pozostałe stanowiły dla niej zagadkę. Teraz uświadomiła sobie, jakim prymitywnym sprzętem sama musiała się posługiwać.

Pod jedną ze ścian w groteskowych pozach stały na pół ukończone konstrukty. Było tu ciemno, duszno i śmierdziało smarami; jedyne okno w pomieszczeniu zamknięto na głucho stalowymi okiennicami – nie wpuszczało ani blasku księżyca, ani świeżego powietrza. Sarze udawało się zobaczyć cokolwiek tylko dzięki delikatnej poświacie golema.

Nagle kątem oka dostrzegła ruch. Pomiędzy martwymi golemami zapłonęły dwa czerwone światełka. Jeden z nieruchomych kształtów znieacka ożył, wyprostował się i zrobił krok w ich kierunku. Błękitny blask odbił się w stalowym pancerzu i w dwóch ostrzach sterczących zamiast rąk.

Różany stanął pomiędzy nimi, ale Sara wiedziała, że nie ma najmniejszych szans w starciu ze swoim bojowym kuzynem, którego Efraim musiał pozostawić w pracowni na straży.

Ostrza uniosły się, by przeciąć roślinnego golema na pół, gdy Sara wypowiedziała Tajemne Słowo. Strażnik zawahał się.

– Zaśnij – poleciła dziewczyna i golem posłusznie wrócił na swoje miejsce. Czerwone światełka zgasły.

Jej przewodnik podszedł do najciemniejszego kąta, a jego pędy pokryły ścianę kolczastą siecią. Po chwili Sara usłyszała stuk zapadek i w ścianie ukazał się ciemny otwór wielkości człowieka. Golem, nie zwlekając, wszedł w mrok. Sara, nie chcąc pozostać w całkowitych ciemnościach, pośpieszyła za nim.

Różany czekał na nią na schodach wiodących stromo w dół. Zwiększył natężenie blasku, by dziewczyna mogła względnie bezpiecznie stąpać po stopniach.

Nie wiedziała, jak długo schodzili ku przepastnym czeluściom góry Horodyszczce. Według niej trwało to wieczność. Myślała już, że schody nigdy się nie skończą, gdy w dali zobaczyła złotą poświatę. Ktoś przed nimi oświetlał drogę pochodnią. Chciała zawrócić i uciekać, pewna, że to Efraim wraca do pracowni, ale pęd róży wczepił się w brzeg jej sukni i

stanowczo pociągnął, nakazując iść do przodu. Niechętnie, ale usłuchała.

Gdy zeszli niżej, zobaczyła, że źródło światła znajduje się w przejściu po prawej stronie. Golem zatrzymał się i sprawiał wrażenie, jakby nasłuchiwał. Sara nie przypominała sobie, żeby montowała mu jakiegokolwiek narządy zmysłów, ale już dawno doszła do wniosku, że idea, na jakiej funkcjonuje roślinny golem, przerasta ją i bezpieczniej się nad tym nie zastanawiać.

Golem ostrożnie zajrzał do oświetlonego korytarza, a potem wślizgnął się do środka. Sara poszła w jego ślady. Znalazła się w niewielkim przedsionku, którego wyjście otwierało się na olbrzymią jaskinię. To musiało być serce Horodyszcze.

W polu widzenia nie było nikogo, więc odważyli się chyłkiem wejść do środka.

Jaskinia ukazała im się w całej okazałości. Sara doszła do wniosku, że w tym miejscu zmieściłby się jej dom wraz z warsztatami i stajnią ze trzy razy. Wielką przestrzeń oświetlały rozmieszczone wzdłuż ścian rynny wypełnione płonąca jasno substancją.

Po prawej stronie dziewczyny znajdował się potężny piec, którego komin niknął w pęknięciu skalnej ściany. Przy piecu zbudowano kuźnię i warsztat zaopatrzone w wielkie młoty parowe. Wody dostarczał strumień, leniwie wypływający ze ściany jaskini.

Uwagę Sary przyciągnęły stojące w centrum jaskini golemy. Były gigantyczne, a ich metalowe pancerze lśniły złowrogo w blasku płomieni. Na pierwszy rzut oka dało się poznać, do czego są przeznaczone. Oparte o ścianę kosy z niezwykle szerokimi ostrzami tylko potwierdziły jej domysły. Przed nią stało kilkanaście sztucznych istot przeznaczonych do masowego zabijania. Sam ich widok mógł siać przerażenie w ludzkich sercach.

Poczuła nagłe szarpnięcie. Różany wskazał jej załom skalny. Ukryła się za nim bez wahania. Nauczyła się już ufać swojemu przewodnikowi.

Chwilę później usłyszała zbliżające się głosy i zza golemów bojowych wyszedł Efraim wraz z panem Kropielnickim.

– Co do głównego uzbrojenia, to w oparciu o rady zbrojmistrzów waszmości, doszedłem do wniosku, że kosa będzie bronią najbardziej efektywną. Wziąłem pod uwagę głównie różnicę wzrostu moich golemów i ludzi, obojętnie konnych czy pieszych. Styliska kos są regulowane, więc golemy same mogą dopasować je do oddziałów, przeciwko jakim przyjdzie im stanąć – wyjaśniał Konstruktor, prowadząc gościa do monstualnej broni. W jego głosie wyraźnie brzmiało zadowolenie.

Sara i golem wykorzystali tę chwilę, by bezszelestnie przekraść się do kuźni i ukryć za wysokim murowanym paleniskiem.

Pan Kropielnicki w skupieniu przyglądał się goleom i kosom. Słów Efraima Abramowicza słuchał z uwagą.

– Wszystko to brzmi bardzo pięknie – przemówił wreszcie – ale jak na razie to tylko stalowe kukiełki wybudowane za pieniądze pana wojewody. Kiedy zamierzasz je obudzić, żebyśmy byli pewni, że twoje słowa nie są tylko mrzonką szalonego Żyda? Jego Miłość, pan wojewoda, miewa wątpliwości. Niecierpliwi się.

– Już niedługo – zapewnił Efraim ze złym błyskiem w oczach. Nie lubił jakichkolwiek nacisków. Był jednak świadom, że wojewoda ma do tego prawo, gdyż to on sfinansował realizację jego planów. – Mikstura, którą dla nich przygotowuję, uczyni z nich nie tylko poruszające się golemy, ale istoty niemal żywe, które raz obudzone, takimi pozostaną.

– Żydowskie *perpetuum mobile*?

– Poniekąd.

– Brzmi to zgoła jak bajka, panie Abramowicz.

Efraim nie wiedział, co myśleć. Raz podkomorzy określał go mianem „szalonego Żyda”, a raz zwracał się jak do szlachcica. Czyżby w ten sposób chciał mu uświadomić, że gdy uznają go za Polaka, będzie musiał przyjąć wobec Narodu Wybranego postawę, jaką reprezentuje reszta stanu, do którego zostanie przyjęty?

Kropielnicki kontynuował.

– Jeżeli twoje golemy ożyją i będą posłuszne Jego Miłości panu wojewodzie, to twoja nagroda będzie olbrzymia. A i sława nie mniejsza, jako Konstruktora, który zapewnił zwycięstwo w elekcji nowemu królowi.

Abramowicz uśmiechnął się do siebie. Już wcześniej domyślał się, że wojewodzie chodzi o tron. Teraz zyskał pewność. Podejrzywał nawet, że po koronie Rzeczypospolitej przyjdzie czas na inne ziemie – Siedmiogród, Mołdawię, a może nawet Moskwę czy Cesarstwo Niemieckie. A on będzie Głównym Konstrukтором dostarczającym golemy bojowe dla obecnego wojewody, czy wreszcie – cesarza. Pewnego dnia przyjdzie czas, że on lub jego prawnuk wypowie Tajemne Słowo i wtedy okaże się, że w rzeczywistości świat należy do Efraima Abramowicza. Nikt nie zaakceptuje Żyda na tronie, nawet przechrzczonego. Natomiast jego prawnuk, polski wielmoża, nie będzie musiał zdradzać swoich korzeni.

Konstruktor nie obawiał się czasu. Pod wielką czapą zasłaniającą pół twarzy i workowatym płaszczem kryło się ciało młodego mężczyzny, który czerpał witalność prosto z czystego Słowa Bożego. Jedna kropla na język, a ciało młodniało o ćwierć wieku. Powinien jednakże oszczędzać substancję, by móc obudzić nią do życia swoje stalowe monstra.

Teraz była ta najważniejsza chwila – podkomorzy musi otworzyć mu drzwi do realizacji planów. I to możliwie jak najszerzej.

– Panie podkomorzy. – Przyszły król świata uśmiechnął się fałszywie. – Słyszałem, że lubisz waszmość polować. Mam więc dla ciebie mały upominek.

Zbliżył się do ściany; skała rozstała się, ukazując małą izbę. Efraim wszedł i po chwili wrócił z długim pakunkiem. Po otworze w ścianie nie został nawet ślad.

Konstruktor powoli odwijął płótno. Wreszcie zaciekawionym oczom podkomorzego ukazał się muszkiet z dziwnym mechanizmem w okolicach zamka. Wyglądało to jak trzy soczewki umieszczone w mosiężnych ramkach, które ustawiało się przy pomocy małej korbki i zestawu kół zębatach.

Sara zakłęta w myślach. Stary wykorzystał jej pomysł na wzmocnienie szkła powiększającego, którego używała przy wytwarzaniu drobnych elementów dla golemów. Przeklęty złodziej.

– A cóż to? – spytał Kropielnicki, przyglądając się broni z zaciekawieniem.

– Z tego muszkietu mógłbyś pan, panie podkomorzy, ustrzelić orła w locie.

– Kpisz, panie Abramowicz.

– Nie śmiałbym. Będiesz mógł sam go wypróbować, panie, i przekonasz się, że nie kłamię. Jest twój.

Kropielnicki wziął muszkiet w rękę i oglądał go starannie. Grawerowana kolba idealnie leżała w dłoni.

– Zaiste, królewski to dar – przyznał.

– Moja przyszłość leży w rękach Jego Miłości pana wojewody i twoich, panie.

– Będę o tym pamiętał. A teraz chodźmy, panie Abramowicz, z tej ponurej nory. Młody Konstanty miał wystarczająco dużo czasu, by zatroszczyć się o waszego prawnuka. A nie chciałbym, żeby dziewczynie stała się większa krzywda niż to konieczne.

Efraim skrzywił tylko pogardliwie usta.

Ruszyli w kierunku schodów. Przy wyjściu Konstruktor przesunął dźwignię wystającą ze skalnej podłogi; jaskinię spowił całkowity mrok. Różany przygasił swój blask, by nie zostali odkryci.

Sara zaciskała pięści. Czuła, że zaraz wybuchnie. A więc wiedział. To za jego zgodą ten młody szlachetka miał ją zgwałcić. „Odplacę ci za to, dziadygo wszeteczny”, obiecała w duchu.

Gdy ucichł odgłos kroków na schodach, błękitny blask golema ponownie rozjaśnił smolistą czerń jaskini. Pęd róży owinał się delikatnie wokół nadgarstka Sary, pociągając ją za sobą. Szli bardzo szybko, niemal biegnąc. Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że nie mają zbyt wiele czasu, zanim mężczyźni odkryją trupa. Wołała nie myśleć o tym, co ją czeka, gdyby nie udało jej się uciec.

W nikłej poświacie zamajaczyła tylna ściana jaskini. Golem puścił nadgarstek Sary. W mgnieniu oka powierzchnię skały przed nim pokryła wychodząca z korpusu sieć pędów i kłaczy, gorączkowo badających każdą nierówność. Wreszcie znalazł to, czego szukał – niewielki odprysk skalny, który można było przesunąć. Pod nim znajdował się mały otwór.

Różany chwycił dłoń dziewczyny i nagłym ruchem ukłął ją w opuszkę palca. Zaskoczona szarpnęła dłonią, ale golem trzymał mocno. Poczuła, jak inne pędy uspokajająco gładzą ją po ramionach.

– No dobrze – westchnęła. – Wierzę, że musiałeś to zrobić.

Golem po chwili pokrył się kwiatami. Jeden z pędów wsunął jej krwawiący palec w otwór i po chwili w ścianie otworzyło się małe przejście.

– Hmm... Tylko krew Abramowiczów otwiera przejście? – domyśliła się. – Nie sądziłam, że ten żywy trup łączył konstrukcje z kabałą.

Różany rozkwitł, co wzięła za potwierdzenie. Z niechętnym podziwem weszła za golemem w ciemny otwór.

* * *

Już tu jest. Widzę, jak schodzi po schodach za tą sztuczną istotą, którą ożywiła cząstka mojej duszy. Jakże wyrosła... Jak piękna się stała. A to, co w niej płonie, to nie Iskra, to Pochodnia. Nie myliłem się zatem. To jej szukałem.

Zatrzymała się i patrzy z przerażeniem. No, tak. Nie wyglądam zbyt pięknie.

* * *

Sara weszła do niewielkiej groty, do której prowadziły strome i śliskie schody. Gdy na koniec w niebieskim blasku ujrzała istotę zamieszkującą to miejsce, zamarła.

Przykuta do ściany siedziała postać, którą początkowo wzięła za zwłoki. Wyschnięte ręce i nogi, cienkie jak patyki, opięte były masywnymi kajdanami. Skołtunione włosy opadały szarą masą na twarz i ramiona. Najbardziej przerażające wrażenie sprawiało oko, które patrzyło na nią szalonym spojrzeniem. Zapewne uciekłaby, gdyby nie to, że od zabiedzonej istoty biło intensywne błękitne światło.

Różany zatrzymał się obok więźnia. Chwilę później lśnienie opuściło go, powracając do prawowitego właściciela. Golem zwiądnął, opadły jego spiżowe ramiona. W jednej chwili stał się tym, czym był w rzeczywistości – płataniną pręcików i roślin, pozbawioną życia.

– Nie bój się, Saro. – Głos uwięzionego, w przeciwieństwie do jego ciała, był czysty i silny. – To ja dałem twojemu golemowi życie, by przywiódł cię do mnie.

– Kim jesteś? Dlaczego chciałeś, bym tu przyszła?

– Tylko ty jesteś w stanie mi pomóc. To – potrząsnął kajdanami – zrobił mi twój dziadek.

– Zaczynam żywić wątpliwości, czy ten człowiek rzeczywiście jest moim dziadkiem.

– Domyślam się, co możesz czuć w tej sytuacji, ale muszę cię zmartwić. Rzeczywiście nim jest. Czy teraz mogłabyś mnie uwolnić?

Sara przyjrzała się stalowym obręczom.

– Gdzie tu jest, u licha, mechanizm zamkowy?

– To nie jest zwykły metal – wyjaśnił więzień. – Jedną z jego właściwości, którą odkrył ten potwór, jest zapamiętywanie. Raz wykute w ogniu zapamiętują pierwszą krew. Działają na podobnej zasadzie jak zamek do tego pomieszczenia czy do skarbcza. Musisz dać kajdanom kroplę swojej krwi.

Po chwili był wolny. Sara pomogła mu się podnieść. Ze zdziwieniem zauważyła, że pomimo warstwy brudu nie śmierdział. Wręcz przeciwnie, otaczał go zapach łąki po deszczu.

Mężczyzna zamarł.

– Nie możemy teraz opuścić mojego więzienia – oznajmił. – Szukają cię na górze. Poczekamy.

Po zdjęciu kajdan więzień z każdą chwilą odzyskiwał siły. Wyprostował się, odgarnął splątane włosy na kark, przeciągnął się z zadowoleniem. Jego twarz, chociaż wychudzona, promieniowała eteryczną urodą, natomiast z szarych oczu zniknęły wszelkie ślady szaleństwa. Były zimne, patrzyły trzeźwo. Gdy jednak wzrok mężczyzny spoczął na Sarze, dostrzegła w nim cieplejsze błyski.

Jego blask wzmagął się. Dziewczyna dostrzegła na niemal nagim ciele więźnia dziwne ślady, jakby jakieś olbrzymie stworzenie wyposażone w macki na podobieństwo ośmiornicy regularnie przysysało się do niego. Zauważył jej spojrzenie. Palcem wskazał w górę i wzmocnił swój blask, by oświetlić sklepienie grotu.

Sara zerknęła we wskazane miejsce i dopiero teraz dostrzegła wiszący mechanizm. W tym świetle nie widziała zbyt dokładnie szczegółów, ale w oczy rzuciła jej się olbrzymia ilość elementów – koła zębate, przekładnie, miedziane rurki, dwie wielkie tuby, w których rozpoznała paleniska, a także kilkanaście giętkich przewodów z nieznanego jej materiału, zakończonych złotymi krążkami.

Dwa okazałe paleniska świadczyły, że machina potrzebowała wielkiej mocy; układ przekładni, zaworów i tłoków sugerował, że najprawdopodobniej był to jakiś rodzaj mechanizmu ssąco-tłoczącego. Jednak pomimo całego swojego geniuszu nie potrafiła odgadnąć, do czego ta skomplikowana maszyna może służyć.

– Właśnie podziwiasz narzędzie moich tortur – wyjaśnił spokojnym głosem mężczyzna.

Spojrzała na niego przerażona, nie rozumiejąc, co ma na myśli.

– Jak uważasz, czym jest Słowo Boże? – spytał.

– Jakąś owianą legendą miksturą, której niezwykle skład znają wybrani – powiedziała z wahaniem. – Taką, która zapewnia napęd dłużej, niż ktokolwiek jest w stanie sobie wyobrazić. Podejrzewam, że ma to wiele wspólnego z kabałą i innymi nielogicznymi praktykami...

– Saro – przerwał. – Słowo Boże to prawdziwe Technienie Najwyższego. To esencja wytoczona z tych, którzy bezpośrednio zostali obudzeni do życia przez Boga.

– Bajki.

– Jak myślisz, kim jestem?
– Nieszczęśnikiem wykorzystywanym przez Efraima do eksperymentów.
– Nie mylisz się. – Mężczyzna uśmiechnął się kącikiem ust. – Oprócz tego jestem Wysłannikiem Pana. Aniołem.

Dziewczyna spojrzała na niego zaskoczona.

– Aniołem? – W jej głosie słychać było niedowierzenie. Umysł negował tę ideę, lecz mężczyznę otaczała teraz tak niezwykła aura dostojności i siły, że nie mogła roześmiać mu się w twarz. I jeszcze ten blask, który zaczynał razić w oczy. – Jak w takim razie znalazłeś się w takim położeniu?

– Twój dziadek dowiedział się w sobie tylko znany sposób, że przychodzimy do ludzi posiadających Iskrę Bożą w chwili ich śmierci. Zwabił mnie w pułapkę i uwięził, a potem skonstruował tę potworną machinę i kropla za kroplą zaczął odsącać ze mnie esencję istnienia, moją duszę; Słowo Boże, jak wolisz, które potem wykorzystywał do ożywiania siebie i swoich golemów.

– Trudno mi to ogarnąć. – Sara wierzyła mu, chociaż umysł podpowiadał jej, że to nie może być prawdą. – Wy tłumacz mi, jakim cudem zostałeś uwięziony? Tora mówi nam, że anioły to istoty wszechpotężne. Jak jeden starzec zdołał zakuć cię w kajdany?

– Jesteś pewna, że chcesz wiedzieć?

– Tak.

– Zwabił mnie podstępem do kręgu przygotowanego przez największych kabalistów świata, z którymi korespondował od momentu, gdy ujrzał, jak ratuję ci życie podczas napadu Kozaków. Wykorzystał do tego przynętę, której nie mogłem zignorować: ciebie.

– Mnie?

– Tak. Miałaś wtedy kilka lat i leżałaś pośrodku kręgu, w tej jaskini powyżej, pozostałości po pradawnych mieszkańcach tego świata. Wykrwawiałaś się z podciętych żył na rękach. Przybyłem, by wziąć twoją Iskrę. Umierałaś.

– Dlaczego nie dziwi mnie fakt, że własny dziadek próbował mnie zabić, a moją śmierć wykorzystać ku własnym celom? – Westchnęła smutno. – Jak to się stało, że przeżyłam? Przecież musiałeś być wściekły, gdy zorientowałaś się, że to pułapka.

– Przeżyłaś, bo zawarłem pakt z diabelskim Efraimem. Obiecałem, że w zamian za to, że wezwie do ciebie lekarzy i zaopiekuje się tobą, nie będę próbował uciekać ani go zabić.

Sara patrzyła na niego w zamyśleniu. Skazał się na męki i powolne konanie po to, by ją uratować?

– Dlaczego? – spytała.

– Dlatego, że dostrzegłem w tobie nie Iskrę, a całą Pochodnię Bożą. Zostałaś obdarzona niezwykłym talentem w dziele tworzenia. Czyż nie potrafisz tworzyć ze wszystkiego, co cię otacza? – Urwał, a jego wzrok na chwilę stał się nieobecny. – Ale o tym potem. Wyczuwam, że droga jest wolna. Musimy iść.

Weszli powoli po schodach. Anioł opierał się na niej, oszczędzając siły, lekki jak piórko. Wiedziała, że gdyby doszło do najgorszego, będzie w stanie nieść go na plecach.

W wielkiej jaskini płonęły rynnny z olejem. Ktoś musiał być tu przed chwilą – i w każdej chwili mógł wrócić.

– Wyjdziemy tamtędy. – Anioł wskazał rozpadlinę, do której podłączono komin kuźni. – Mam nadzieję, że wspinaczka cię nie przeraża.

Sara pobłogosławiła w myślach swoje dziecięce zamiłowanie do chodzenia po drzewach i

murach, z którego wyrosła dopiero niedawno. Wielkość i stromizna rozpadliny przerażały ją, ale nie miała wyjścia. Nie mogła wrócić. Czekała ją śmierć.

Chciała ruszyć w stronę ściany, by zacząć wspinaczkę, ale anioł trzymał jej ramię w nadspodziewanie silnym uścisku.

– Najpierw skarbiec – wyjaśnił. – Jest tam coś, bez czego nie uda nam się wymknąć.

Podszedł do ściany jaskini i przyjrzał się jej uważnie. Wreszcie westchnął zirytowany i skinieniem dłoni wezwał Sarę.

– Wybacz, ale znowu muszę cię prosić, byś poświęciła swoją krew. Nie mogę marnować resztki sił, by otworzyć zamek w inny sposób.

– Gdzie jest dziurka od klucza?

Mężczyzna delikatnie ujął jej dłoń i nakierował na właściwe miejsce.

– Zaboli – ostrzegł.

I zabolało. Stalowy kolec przebił jej dłoń na wylot. Jęknęła, zagryzając wargi, ale trzymała dłoń, dopóki kolec nie zniknął z powrotem w skale.

Ściana rozsunęła się i anioł wszedł do środka. Po chwili wrócił z płaskim metalowym pakunkiem owiniętym jedwabistymi taśmami.

– Jesteśmy uratowani. – Uśmiechnął się, czule gładząc zdobycz. – Koszmarnemu Efraimowi nie udało się rozgryźć mojej tajemnicy.

Wbrew obawom Sary, anioł doskonale sobie radził podczas wspinaczki. Wyglądało na to, że każdy krok ku powierzchni dodaje mu sił. Sama cieszyła się z tego, że ma na sobie prostą, roboczą sukienkę, a nie kilkuwarstwowe eleganckie odzienie, w którym zazwyczaj pokazywała się publicznie. Niemniej ręce i nogi, nienawykłe do takiego wysiłku, paliły ją żywym ogniem. Zarówno dłonie, jak i stopy w zniszczonych, dziurawych butach otarła do krwi. Z trudem powstrzymywała łzy. Modliła się tylko, żeby nikt na dole ich nie usłyszał; wystarczyłoby rozpalić ogień w kuźni, by zadusili się dymem. Mogli też czekać na nich u wylotu rozpadliny, a wtedy całe cierpienie i tak nie zdałoby się na nic.

Gdy wyszli z trzewi góry, w dobrze jej znanym jarze za miastem, poczuła na policzkach łzy ulgi. Nikt nie odkrył drogi ich ucieczki, ale wciąż nie byli bezpieczni. W oddali słyszała nawoływania i szczekanie psów. Czarna listopadowa noc chroniła ich mrokiem, ale przed psami obronić nie mogła.

Poczuła uspokajające dotknięcie dłoni.

– Otoczę nas barierą, przez którą nas nie zobaczą, nie usłyszą ani nie wyczują – wyjaśnił anioł. – Niestety, nie jestem dość silny, by utrzymać ją przez dłuższy czas. Muszę zachować dość sił, by dolecieć do pierwszych posterunków.

– A co będzie ze mną? – przestraszyła się.

– Polecisz ze mną.

– Jak polecę? Nie mam skrzydeł.

– Zobaczysz.

Zamarł, nasłuchując.

– Zbliżają się. Pora na barierę. Obejmij mnie – polecił.

Posłusznie opłótła ramionami jego chude ciało. Po chwili noc dookoła zmętniała.

– Teraz możemy porozmawiać. Jestem ci winien kilka wyjaśnień. – Anioł oparł policzek o jej czoło. – Wiedz jedno, bardzo cię potrzebujemy.

– My?

– My. Mieszkańcy, jak wy to nazywacie, Raju.

– Nie rozumiem, jak mogłabym wam pomóc. Ja? Jestem wynaturzeniem, które postępuje wbrew boskim prawom, jak twierdzi wielu bogobojnych Żydów. Jestem kobietą, która pracuje w męskim zawodzie. – W jej głosie wyraźnie brzmiała gorycz. – Gdyby nie mój niezaprzeczalny talent konstruktorski i względna łatwość w knuciu intryg, jak określa to Efraim, dawno zostałabym wygnana z gminy. Nie jestem więc godna, by wam pomóc.

– Czy rzeczywiście wierzysz w te brednie? – spytał zaskoczony anioł.

– Gdybyś od dziecka słyszał takie opinie o sobie, to prędzej czy później byś w nie uwierzył.

– Posłuchaj więc uważnie, co ci powiem. To wielka tajemnica. Otóż co jakiś czas Bóg umiera, Saro. Przez setki, a czasami tysiące lat rozdaje swoją moc pod postacią Słów, Iskier, Tchnień i innych emanacji. Przychodzi jednak moment, gdy staje się tak słaby, że rozplywa się we mgle, wracając do samej istoty wszechświata. Wtedy jak najszybciej musimy zastąpić go nowym, silnym Bogiem. Nigdy nie wiemy, kiedy nasz Bóg odejdzie, dlatego szukamy Jego następców cały czas. Sprawdzamy ludzi, którzy rodzą się z Iskrą, a gdy przejawiają potencjał do rozwinięcia swoich umiejętności, bacznie ich obserwujemy.

Anioł nie powiedział jej jednak wszystkiego. Nie wspomniał o tym, jak Wysłannicy zazdrośnie strzegą przed sobą nawzajem informacji o obserwowanych. Każdy z nich marzył, by stać się pierwszym przewodnikiem nowego Boga, zdobyć jego zaufanie i uszczknąć coś dla siebie z boskiej chwały.

– Ty, Saro, jesteś młodym Bogiem, jeszcze niewyklutym ze swojego złotego jaja. – Jego głos lekko wibrował od skrywanych emocji. – Masz wielkie szczęście, bo obecny Bóg żyje, chociaż jest już bardzo słaby. Może cię wiele nauczyć. A gdy się przebudzisz, zobaczysz, że nic cię nie ogranicza. Będziesz Najpotężniejszą.

– Ja? Bogiem? Nie bądź śmieszny – skarciła go dziewczyna. – Zaczynam się zastanawiać, czy długotrwały pobyt głęboko pod ziemią nie wpłynął niekorzystnie na twój tok rozumowania. Ja nie mogę być Bogiem. Jestem kobietą.

Anioł wydał pogardliwie wargi.

– Ach, te wasze ludzkie zabobony. W rzeczywistości kobiety były Bogiem wiele razy. Płeć nie ma tu nic do rzeczy.

– Wybacz, aniele, ale nie wierzę w ani jedno twoje słowo – oznajmiła Sara. – Opowiadasz mi bajki dla dzieci. I to takie bajki, za które kahał może skazać na chłostę i ciemnicę. A nawet na ukamienowanie.

Anioł roześmiał się cicho.

– Czy gdyby jednak przez przypadek moje słowa okazały się prawdą, to poleciałabyś ze mną do Raju zostać Bogiem?

– Tak – odparła zdecydowanie. – Tutaj i tak nie mam czego szukać. Wszędzie, gdzie mnie zabierzesz, będzie lepiej.

Zadowolony anioł ucałował ją w czoło.

Stali tak objęci, podczas gdy mijali ich zbrojni z psami szukający zbiegłej morderczynie. Dowodził nimi gniewny pan Kropielnicki, chcący za wszelką cenę dopaść dziewczynę, która zabiła jego wychowankę. Nikt jednak – ani psy, ani ludzie – nie wyczuł dwójki uciekinierów ukrytych na dnie jaru.

Gdy niebezpieczeństwo się oddaliło, anioł zdjął barierę. Uderzył w nich lodowaty wiatr zacinający deszczem. Sara zadrżała.

– Musimy wejść wyżej – wyjaśnił anioł, wskazując szczyt pobliskiego pagórka. – Stamtąd

odlecimy.

Sara nic nie odpowiedziała, tylko zaczęła się wspinać na zbocze jaru. Po czasie, który dziewczynie zdawał się wiecznością, dotarli na szczyt pagórka.

– Doskonale – stwierdził anioł. – Jest wystarczająco dużo miejsca.

Założył na plecy pakunek, którego jedwabne taśmy okazały się uprzężą. Po chwili wystrzeliły z niego dwa olbrzymie, metaliczne skrzydła. Anioł poruszył nimi na próbę. Porywisty jesienny wiatr był niczym przy wzbudzonym przez nie podmuchu.

Uśmiechnął się do Sary, która nie mogła oderwać oczu od skrzydeł.

– Niezwykłe! – Piękno maszyny oczarowało ją. – Jak działają?

– Ta wiedza nie jest mi dana – przyznał anioł. – Wyposażył nas w nie jeden z Bogów i od tej pory możemy przemieszczać się o wiele bardziej efektywnie niż wcześniej. To wygodniejsze i szybsze niż chodzenie piechotą. Pośpiesz się – ponaglił ją. – Mój blask widać z daleka. Zaraz ktoś nas zauważy.

Podeszła i objęła go za szyję. Anioł chwycił ją w pasie i wzbił się w powietrze mocnymi uderzeniami skrzydeł. Wznosili się coraz wyżej i wyglądało na to, że uda im się uciec.

Nagle rozległ się huk wystrzału. Dziewczyna zwiotczała, a anioł poczuł, jak coś ciepłego spływa mu po rękach.

– Nie! – krzyknął. – To nie może się tak skończyć!

Spojrzał w miejsce, skąd padł strzał, i dostrzegł postaci Efraima i Kropielnickiego w otoczeniu zbrojnych. Pan podkomorzy jeszcze miał przyłożony do policzka udoskonalony muszkiet – prezent od Efraima.

– Ja tu wrócę, syny wszeteczne – wysyczał ze złością anioł. – A gdy was dostanę w swoje ręce, będziecie się modlić, żeby dane wam było jak najszybciej trafić do Gehinom!

Huknął wystrzał.

* * *

Odzyskał świadomość, leżąc w gęstwinie połamanych gałęzi. Gdy tylko otworzył oczy, pojął, że Sara nie przeżyła upadku. Widział, jak jej Płomień z wolna zamiera. Za wszelką cenę musiał odesłać go „na górę”. Nie miał zbyt wiele czasu – słyszał już ujadanie zbliżających się psów i pokrzykiwania ludzi.

Podczołgał się do ciała dziewczyny. Przy każdym ruchu czuł przeszywający ból rany w boku. Stary diabeł musiał już wcześniej przygotować odpowiednie pociski, bo tylko gwiazdny metal mógł wyrządzić Wysłannikowi poważną krzywdę. Kula w jego ciele wysysała zeń życie. Domyślił się, że pierwszy strzał również przeznaczono dla niego.

Z trudem wydobył z serca Sary gasnącą Iskrę Bożą i odesłał ją do Raju.

Najbardziej bolała go myśl, że był tak blisko. Już niemal widział pierwszy posterunek, prawie sięgnął Bram Raju z młodym Bogiem u boku, świetlista przyszłość znajdowała się w zasięgu ręki. Dwa strzały zniszczyły wszystko.

Głosy przybliżały się. Musiał się śpieszyć. Nie mógł pozwolić, by Efraim znów dorwał go w swoje łapska. Ocali chociaż resztkę swojej duszy.

Rozejrzał się dookoła i nie zauważył niczego, co pomogłoby mu odebrać sobie życie. Poczuł, jak wzbiera w nim panika.

Naraz kątem oka dostrzegł złoty błysk.

Zdjął uprzęż i przyjrzał się skrzydłom. Były poważnie uszkodzone. Nawet gdyby miał

wystarczająco dużo siły, nie mógłby na nich odlecieć. Kalecząc ręce o ostre jak brzytwa i długie na łokieć pióra, wyrwał jedno z nich. Oparł je o ziemię i z uśmiechem tryumfu napał ciałem.

Weszło gładko.

* * *

– Niech to lichu! – podsumował Kropielnicki, patrząc na anioła i sterczące z jego serca złote pióro. Ciało już zaczynało się rozpadać, jakby ulepione zostało z wysuszonej na popiół gliny. – Przepadły nasze marzenia o armii stalowych Żniwiarzy.

– Niekoniecznie... – Efraim klęczał przy skrzydłach, oglądając je uważnie w świetle pochodni. – Nigdy nie udało mi się uruchomić mechanizmu, który otwierał skrzydła. Teraz, chociaż są zniszczone, mogę je rozłożyć na poszczególne elementy i skopiować.

– I w czym nam to pomoże? Czy dzięki temu zachowamy swoje głowy? – prychnął ze złością podkomorzy. – Uprzedzam, że pan wojewoda sam nam je zetnie, gdy dowie się, że długie lata przygotowań i olbrzymi majątek przepadły, bo daliśmy się ponieść złości.

– Pomoże, pomoże – uspokajał go Konstruktor z chytrym uśmiechem na twarzy. – Oprócz skrzydeł dla najlepszych chorągwi husarskich, dzięki którym rozgromi każdą armię, dam Jego Miłości szansę, by na czele oddziału golemów bojowych mógł wkroczyć do nieba. Bo czymże są dobra ziemskie, choćby największe, gdy w grę wchodzi namiestnictwo w Królestwie Niebieskim, służba bezpośrednio samemu Bogu?

Kropielnicki aż zaniemówił, sparaliżowany potęgą roztaczanej przed nim wizji.

– Pomyśl praktycznie, panie podkomorzy. – Efraim nie przestawał kusić. – Każdy anioł to dwa tuziny nowych golemów. Przy takiej armii nikt nie będzie w stanie nam zagrozić, czy to człowiek, czy nie-człowiek. Zwłaszcza, że znamy słabość mieszkańców nieba: gwiazdny metal.

Efraim ledwie mógł ukryć wyraz tryumfu, widząc, jak twarz Kropielnickiego rozjaśnia się w uśmiechu. Zapewne już widział siebie na czele zastępów podbijających Raj.

Efraim Abramowicz widział w Królestwie Niebieskim niekończące się źródło młodości i siły. Nieśmiertelność.

Z ironią myślał o swoich wcześniejszych planach – po co być cesarzem, skoro można zostać Bogiem?

Norwegia, Zachodnia Dolina Gausy, grudzień 2011

GLOSSARIUSZ

...pochodzący z Poznania praski rabin Jehuda Loew ben Bekalel

Jehuda Loew ben Bekalel urodził się około roku 1520 w Poznaniu i tam też zmarł w roku 1609. Był żydowskim uczonym, talmudystą, filozofem, mistykiem, kabalistą, alchemikiem i astrologiem w jednym. Pełnił funkcje między innymi głównego rabina Moraw, Wielkopolski i Pragi. W legendach żydowskich i czeskich przedstawiany jest jako twórca Golema.

...tego dnia Izraelici nie mogli wykonywać czynności, które prawo Halacha uznawało

za pracę

Szabat zaczyna się o zmierzchu w piątek i trwa do zmierzchu w sobotę. W sobotę wyznawcy judaizmu mają obowiązek zaprzestania większości codziennych obowiązków, a zwłaszcza powstrzymania się od szczególnych czynności określonych mianem *melachot* (hebr. praca). Zakazana jest między innymi praca zarobkowa, sprzątanie, rozniecanie ognia, a także podróżowanie na większe odległości. Halacha to nazwa prawa żydowskiego regulującego życie codzienne ortodoksyjnych Żydów.

...golem takie prędzej czy później popadały w szaleństwo

Golem to w tradycji żydowskiej istota utworzona z gliny na kształt człowieka, ale pozbawiona duszy rozumiejącej, a także zdolności mowy. Najbardziej znana legenda dotycząca golema pochodzi z Pragi i przypisuje stworzenie go rabinowi Jehudzie Loew ben Bekalel. Według jednej z wersji legendy o praskim Golemie, po obronie Żydów przed atakami ludności chrześcijańskiej Golem wpada w szal i zaczyna mordować tych, którym służył.

...wniosła do rady kahalnej skargę

Kahał jest słowem z jidisz oznaczającym gminę żydowską, a także radę sprawującą władzę w takiej gminie.

...do ceremonii waszego przejścia na łono kościoła rzymskiego

Zdarzały się przypadki chrztu wśród bogatych Żydów, którzy po przejściu na katolicyzm otrzymywali państwowe urzędy i byli przyjmowani do herbów przez szlacheckie rodziny. Ochrzczeni Żydzi szybko asymilowali się z ludnością polską, zwłaszcza mieszczańską.

...jak najszybciej trafić do Gehinom

Gehinom (znana także jako Gehenna lub Dolina Hinnom) jest w judaizmie między innymi symbolem najniższego poziomu piekła, z którego nie ma powrotu i gdzie potępione dusze trafiają na wieczną mękę.

Agnieszka Hałas

SZATAŃSKI PLAN

1.

Juraj Janosik, powieszony na haku za żebro, konał długo.

Gdy ocknął się w chłodzie świtu, leżał na ziemi i nie czuł już bólu. Dotknął lewego boku, wymacał ranę, która nie krwawiła. Z dziwnym spokojem uświadomił sobie, co to oznacza.

Usiadł, przetarł oczy i zmartwiał, niepewny, czy wzrok go nie myli.

Pod szubienicą stała kobieta.

Była wysoka, odziana w ciężkie, fałdziste, brokatowe szaty, jakby ze świętego obrazu. Rozpuszczone czarne loki spadały jej na plecy. Na odsłoniętym śniadym ramieniu harnaś dostrzegł złotą bransoletę, której końce wyginały się w spirale.

W rękę nieznajoma dzierżyła zawiniątko omotane poplamionym płótnem, a drugą dłonią kreśliła znaki w powietrzu, przemawiając niegłośnie, śpiewnie. Juraj, który ongi pobierał nauki w seminarium, zrazu odgadł jedynie, że słyszy obcą mowę, lecz po chwili kobieta przeszła na łacinę. Tę słowacki niedoszły ksiądz rozumiał; wprawdzie piąte przez dziesiąte, ale zawsze.

„Krew i ziemia, kość i kamień...”

Uniósłszy wzrok, tajemnicza dama napotkała jego spojrzenie.

– Nie żyjesz, kawalerze – wyrzekła po słowacku z leciutkim uśmiechem. Potrząsnęła zawiniątkiem, a Jurze zrobiło się nad wyraz niemiło, gdy odgadł, co jest w środku. – Z tego żebra nie miałbyś już żadnego pożytku. Zabieram je sobie.

Harnaś nic nie rzekł. Popatrzył na wiszące, zmasakrowane ciało i wzdrygnął się na wspomnienie przeszłych na zamku w Liptowskim Mikułaszu. Nie wydał żadnego z kamratów, lecz wątpił, by to docenili.

– Jutro wyprawia ci pogrzeb, nie obawiaj się – rzekła nieznajoma, jakby czytając mu w myślach. Wskazała dwa przedmioty leżące na trawie. – Oto twój pas i ciupaga. Nie lza było dać im przepaść.

Janosik czym prędzej nałożył i zapiął czerwony, bogato zdobiony zbójnicki pas. Choć po karczmach opowiadano, że w tym pasie mieszka jego siła, nie była to prawda, ale harnaś i tak poweselał. Zakręcił ciupagą w rękę, podrzucił ją i złapał. Dzierżąc broń, poczuł się jeszcze raźniej.

– Co teraz? – zapytał hardo.

– Jak to?

– Dokąd mam iść? Do piekła? Do nieba?

Dziwna pani patrzyła na niego z namysłem, wydymając lekko usta.

– Strzelcem byłeś dobrym, nieprawdaż? – zapytała ni z tego, ni z owego.

– Co takiego? – nie zrozumiał.

– Opowiadają w Liptowie, że z dawnej bandy Uhorczyka najlepsze oko miałeś.

– Dobrze prawią! – przytaknął Jura, ukazując zęby w uśmiechu.

– W wojsku austriackim służyłeś?
– Służyłem.
– A węży się boisz?
– Węży? – Wytrzeszczył oczy. Kobieta zaśmiała się cicho z żartu zrozumiałego tylko dla niej, po czym gwizdnęła na palcach tak głośno, że Jura mógłby przysiąc, iż wiszące na szubienicy zwłoki zakołysały się od tego gwizdu.

Z nieba, co już różowiało na wschodzie, spłynął kłęb bladej mgły, migocącej niby gwiazdny pył. Zgęstniała, opadła na trawę i rozścieliła się zapraszająco u ich stóp. Rzekłbyś – dywan.

Nieznajoma spokojnie nań wkroczyła.

– Chodź i siadaj – rozkazała. – Polecimy.

Uśłuchał.

Nie miał nic do stracenia.

Ledwie zajęli miejsca, mgielny dywan poderwał się i wzbił wysoko, aż pod chmury. Poszybowali jak orzeł na wietrze ponad lasami i pastwiskami, co były jak biało-bura mozaika śniegu i zeschniętej trawy, bo zima dopiero przechodziła w przedwiośnie. Harnaś omal nie zgubił kapelusza. Z podziwem zerkał w dół. Spodobała mu się ta podniebna podróż.

– Jak was zowią, pani? – odważył się wreszcie spytać.

Uśmiechnęła się kącikiem ust.

– Jestem Medea. Lecz wątpię, byś znał to imię. Hooo! Którędy to? Niżej!

Mgielny dywan nieco zniżył lot i zakreślił. Polecieli ku szczytom Tatr Wysokich, iskrzącym się śniegiem i lodem.

Był osiemnasty marca roku Pańskiego tysiąc siedemset trzynastego. Próżno byłoby pytać Medeę, córkę Ajetesa, jakie przecucie przywiodło ją na miejsce kaźni Szibeniczki ponad pół wieku przed zdarzeniami, których prócz niej nie przewidywał jeszcze nikt. Odpowiedź znały jeno przybory wróżbiarskie – szklana misa z wodą i deska z piaskiem.

2.

Rok tysiąc siedemset sześćdziesiąty siódmy zaczął się dla Rzeczypospolitej źle. W jej granice wkroczyły wojska rosyjskie, by poprzeć opozycję magnacką. W Warszawie król Stanisław August Poniatowski z obawą patrzył w przyszłość, moskiewski poseł Repnin knuł swe intrygi, a w kraju wrzało jakoby w kotle. Przeczuwano, że zawartość owego kotła rychło wykipi.

Niektórzy szeptali, że na niebie i ziemi pojawiły się znaki złowróżbne. W maju we wsi Jakubowice pod Lublinem krowa tkacza Bartłomieja miast mleka poczęła dawać krew. W czerwcu katolicka szlachta zawiązała w Radomiu konfederację skierowaną przeciwko królowi, a kilka dni później po mieście rozeszła się wieść, że zapłakała rzeźba Maryi Panny w jednym z kościołów. W lipcu żona poznańskiego kupca Burchardta powiła potworka pokrytego czarną łuską, co po niemiecku jął bluźnić okropnie, a potem zmarł. Pod Warką, na polu bitwy z czasów potopu szwedzkiego, widziano o zmroku głowy na pajęczych nogach, jak wylażą z mokradeł nad Pilicą, krążą i węższą, złaknione widać świeżych zwłok...

Świątek nadprzyrodzony nie podzielał jednakowoż niepokoju śmiertelnych. Jak to ujął utopiec Kajetan Febra Moczarski, od lat rezydujący w sadzawce przed pałacem Czartoryskich

w Puławach: „A choćby i wojna, co nam wojna szkodzi?”.

Tydzień po zakończeniu żniw w podziemiach łączyckiego zamku trwała feta na cześć pośła, który przybył z Podhala. Na siedmiu stołach miast obrusów leżały zrabowane ornaty i płonęły niezliczone świece. Ponętne majki i ogoniaste pacholęta roznosiły potrawy. Czegóż tam nie było! Krew czarnego wołu podana w trupich głowach, sałata z palcami wisielców, ślimaki i ropuchy przyrządzone z francuska, jagnięta gotowane w mleku swych matek, pieczona koźlina z szafranem, jelita topielca nadziewane piestrzenicami, bigos paprociowy, poślacane pasztety w kształcie pośladków i członków bezwstydných. Na wety zasię szalej i blekot w cukrze, konfitury z wilczej jagody, chrabąszcze smażone w miodzie, krem z muchomorów i wiele innych specjałów. Wino mszalne oraz piwo obficie zaprawione lulkiem rozgrzały serca i rozwiązały języki.

Gadzi poseł, półczłowiek, półwąż, o kłach jak igły i rozwidlonym języku, w zielonym kontuszu i takimże żupanie, siedział na honorowym miejscu po prawicy gospodarza. Ogon, ozdobiony siedmioma bransoletami skrzącymi się od drogich kamieni, dla wygody przerzucił przez ramię. Jadło chwalił i napitków sobie nie żałował. Wdzięczyły się do niego jasnowłose kózytki i konopielki w kwietnych wianuszkach, jedna ładniejsza od drugiej.

Barczysta sylwetka gospodarza z daleka rzucała się w oczy śród rozbawionej ciżby. Boruta wznosił kielich za kielichem, lecz każdy, kto się mu przyjrzał uważniej, widział, że łączycki diabeł oblicze ma chmurne. Snadź nie otrzymał od pośła odpowiedzi, na jaką liczył.

* * *

Kunegunda Gryzelda z Domuntów Paskiewiczowa, *primo voto* Ulandowska, wygodniej ułożyła się w pościeli. O jej wdziękach Morsztyn i Naborowski mogliby pisać poematy.

– Widzę, mój słodki, że się turbujesz – rzekła przymilnie. – Cóż cię trapi?

Boruta, który poprzedniego wieczora pił na uczcie za dziesięciu diabłów, lecz mógłby wypić i dziesięć razy tyle bez szkody dla siebie, siedział przy rzeźbionym stoliku w koszuli i hajdawerach, przeglądając listy z piekieł.

– Polityka, Kundziu – odrzekł. – Źle się dzieje w Rzeczypospolitej. Na pysk Lewiatana, źle się działo przez całe ubiegłe stulecie, ale teraz to co innego. Miałem plan... a lękam się teraz, że nie zdążę.

Kundzia upiła z pucharaka łyk małmazji. Na jej pąsowych wargach zaigrał ironiczny uśmieszek.

– W czasie potopu szwedzkiego nie tak spieszno ci było ruszać Rzeczypospolitej na ratunek...

– Co, może Jasnej Góry miałem bronić?! – obruszył się diabeł. – Zresztą wcale gracko poradzili sobie sami. A teraz, mówiąc brzydko, w kraju mają... ech, sama wiesz. Zamarzyło mi się wykorzystać sytuację, lecz nie wiem, czy nie zwlekałem zbyt długo.

– I coż takiego wykoncypowałeś, rybeńko?

– Pod Giewontem śpi od wieków oddział niebiańskich rycerzy, których w bitwie nikt nie pokona. Zbudzą się, gdy znajdzie się wódz godzien tego, by ich poprowadzić w bój. Tak postanowił dawno temu Najwyższy. Wiele mógłbym dokonać, mając ten oddział pod swoją komendą. – Pozbawione białek oczy diabła, podobne do wypolerowanych czarnych kamyków, błysnęły. – Rzeczypospolita potrzebuje teraz oręża i silnej władzy, twardej ręki.

– Twojej? – zapytała chytrze kochanka.

– A czemuż nie mojej! – zgodził się Boruta, uderzając pięścią w otwartą dłoń. Zaraz jednak spowaźniał. – Lecz to nie takie proste. Jaskiń pod Giewontem strzeże Aranykigyo, wężowy król, bo do niego należą owe góry i to, co pod nimi. On ma w swej pieczy klucze od pieczar, gdzie śpi zakłęte wojsko, i odda je temu, kogo uzna za godnego. Co to zasię oznacza? Niebiosom chodziło o szlachetnego wojownika o czystym sercu, jakiego polska ziemia jeszcze nie nosiła, bo o świętoszków równie tu trudno jak gdzie indziej. Ale istnieje furka.

Kunegunda w trakcie tej przemowy przesiadła się bliżej na łóżku, tak by móc Borucie oprzeć głowę o ramię. Nie zaprotestował i mówił dalej, od niechcenia bawiąc się jej czarnymi puklami.

– Musisz wiedzieć, że ja wężowego króla znam. Rozmawiałem dawno temu, gdy Jaga z Babiej Góry córki swe wydawała za mąż. Rzekł mi wtedy Aranykigyo nad kufą wędźmięgo miodu, że on sam, ponieważ klucze pod opiekę mu dano, posiada moc, by owych rycerzy zbudzić. A gdym go zaczął dyskretnie podpytywać, wtedy przy szóstym kielichu wyznał, że gdyby go kto w walce pokonał, moc ową by przejął. Całkiem to skądinąd logiczne. Pokonany wszelkie swe moce traci na rzecz zwycięzcy, tak głosi prawo nadprzyrodzonego świata.

– Wiem. Wždy pamiętam, jak to było z Czarnomorem – przytaknęła Kunegunda. W szczegółach znała przebieg owej walki, bo Boruta, jak wszystkie czarty, miał chełpliwą naturę.

– Ano. Nadszedł teraz czas sposobny, ja mam siłę Czarnomora, a w Rzeczypospolitej wrze. Wyłożyłem tedy karty na stół. Miesiąc temu wysłałem wężowemu królowi list, w którym go wyzwałem do walki. Na ubitą ziemię, do upadłego, i niechaj się pokaże, kto lepszy. Zapowiedziałem też – Boruta uprzedził pytanie kochanki – że gdyby odmówił, rozgłoszę na ziemi i w piekle, jakiż to z niego tchórz żółtobrzuchy. A teraz poseł mi przywiózł odpowiedź.

– I?

– Król węży zgadza się na pojedynek, lecz sam szabli ze mną nie skrzyżuje. Majestatem królewskim, imaginuj sobie, się zasłania. Miast stanąć do walki, wystawi wojownika. Kpina to jawna, moja Kundziu. Ale niech mu będzie.

3.

Aranykigyo władał Tatrami od tysięcy lat.

Pilnował, by lawiny nie schodziły zbyt często, by kosodrzewina dobrze rosła, pobierał podatek od miejscowych dziwożon i płanetników. Z ludźmi, dopóki nie próbowali się zapuszczać w głąb jego podziemnego pałacu, żył w zgodzie. Cóż mu szkodziło, że wypasali owce na halach, siali owies, a co zuchwalsi zbójowali na kupieckich szlakach?

Z piekłem utrzymywał, jak to mówią, poprawne stosunki dyplomatyczne. Nie wchodził czartom w drogę, a oni mu nie bruździli na jego terenie. Gdy ich spotykał na neutralnym gruncie, zachowywał się przyjaźnie i z należyтым szacunkiem. Zresztą dokładnie tak samo wyglądały jego relacje ze sługami niebios.

Teraz jednak Aranykigyo miał problem. I nie był jeszcze pewien, jak go rozwiąże.

Milcząc, spoglądał w płomienie, rozważając różne scenariusze, w których co i rusz pojawiała się hańbiące widmo porażki. Diamentowy grzebień na łbie, znak królewskiej władzy, tego wieczoru ciążył mu wyjątkowo.

W pieczarze pod skalnym nawisem ogień trzeszczał i buzował pod kotłem. Dym uchodził

przez prowadzący na zewnątrz otwór, w którym migotały gwiazdy.

Wokół kotła krzątała się córka Ajetesa. Wężowy władca zwinął swe złote cielsko pod ścianą jaskini. Sam przed sobą nie chciał się przyznać, że patrzy kolchidzkiej królowie na ręce.

Trucicielka. Morderczyni. O wszelkich jadach roślinnych i zwierzęcych, a co gorsza także o podstępach i intrygach, wiedziała więcej od niego.

Nigdy nie nauczył się jej ufać. Lecz gdy ponad dwa stulecia wcześniej przyjechała na północ z Siedmiogrodu, gdzie bawiła od upadku Cesarstwa Bizantyjskiego, przywiozła rekomendacje z niebios, a rozkazowi Najwyższego gadzi władca nie mógł się sprzeciwić. Domyślał się, że – zawsze sprytna i zaradna – Medea musiała zadbać o to, by w precyzyjnie skonstruowanym boskim planie, w którym mieściły się wszak także czarty i całe piekło aż do ostatniej kadzi ze smołą, znalazło się miejsce również dla niej. Czemu akurat po tej stronie, nie po tamtej – tego wężowy król mógł się jedynie domyślać. Może źle jej się współdziałało z Lucyferem.

Bądź co bądź od połowy szesnastego wieku żyła w jego podziemnym dominium niczym alchemik na zamku ziemskiego króla. Sprawiała zaś jeszcze mniej kłopotu, bo nie prosiła o złoto.

Aranykigyo nie wnikał, co dokładnie warzyła i dla kogo. Dyskretnie polecał tylko swym sługom, by sprawdzali co wiosna, czy krokusy na tatrańskich łąkach nie kwitną innym kolorem niż zwykle, a kozicom nie rosną dodatkowe głowy.

Gdy teraz, będąc w kłopotcie, postanowił, że poprosi Medeę o pomoc, okazało się oczywiście, że to przewidziała i oczekiwała go. A wywar był już prawie gotowy, jak oznajmiła.

Patrzył teraz, jak sięga śniadą dłonią do woreczka i sypie do kotła czerwony proszek. Może cynober, a może zmielony kamień filozofów – władca nie miał chęci w to wnikać.

– Ale po cóż mu oni? – zapytał retorycznie po raz nie wiedzieć który.

– Kto go wie? Może chce ich powieść w bój, by bronić Rzeczypospolitej, a gdy odniesie zwycięstwo, zająć miejsce króla Stasia, bo i czemuż by nie. Jest w końcu, co by nie rzec, szlachcicem. – Medea uśmiechnęła się kpiąco. – A może chce jeno wywalczyć dla siebie księstwko, które nazwie Borucją, i rządzić nim będzie, jak uzna za stosowne.

Dołożyła do ognia. Zaczęła liczyć pod nosem i w precyzyjnie odmierzonych odstępach czasu dodawała do mikstury kolejne ingrediencje – suszone zioła, owady, półszlachetne kamyki. Niektóre ze składników Aranykigyo rozpoznawał, inne nie. Potem sięgnęła po naszykowane zawiniątko. Patrzył, jak rozmotuje poplamiony jedwab i wyjmuje kość oblepioną przyschniętym, czarnym mięsem.

– Cóż to takiego? – spytał, nie kryjąc obrzydzenia.

– Kość z kości tej ziemi. – Medea w zamyśleniu mieszała w kotle. – A silna to ziemia.

Wrzuciła ohydny przedmiot do bulgoczącego płynu. Plusnęło. Wzbiły się ciężkie, bure kłęby dymu, jak wtedy gdy kto ciśnie na ogień naręcze mokrego siana. Król węży skrzywił się i przesunął swe cielsko dalej od kotła.

– Śmierdzi zbukami i kozią bździną – zasyczał niechętnie. – Kiedyż będzie gotowy ten twój dekokt?

– Będzie gotowy, kiedy skończę – odrzekła wymijająco czarodziejka.

Wąż głośniejszym sykiem wyraził niezadowolenie. Medea odłożyła chochlę i pogładziła go po drobnych łuskach podgardla.

- Nie chmurz się, panie. Jutro podziękujesz swej uniozonej służce.
- Wojownik mi potrzebny – przypomniał jej kwaśno Aranykigyo. – Muszę złote klucze przed diabelską ręką ustrzec. Nie mogą się dostać śpiący rycerze pod taką komendę, bo mnie Najwyższy za karę w żabę zmieni, albo i gorzej. A doniósł mi już Kosma, mistrz planetników, co za kruczek się kryje w tej sprawie. Tej wiosny Boruta pokonał kędyś na Rusi karła Czarnomora, brodę mu obciął i jego siłę zabrał.
- Ot, nowina. – Czarodziejka nie wyglądała na zmartwioną. – A skąd, jeśli można zapytać, Kosma to wie?
- Od łaum litewskich, one zasię od leszego Wasilija Kozodoja, co był niegdyś zausznikiem Czarnomora. A zważ, moja piękna, że i wcześniej Boruta z siły słynał. Któż mu teraz dostoi? Chyba Kościej Nieśmiertelny, ale on tu nie przybędzie na moje wezwanie.
- Czekaj cierpliwie, królu. – Na twarzy Medei pojawił się iście sfinksowy uśmiech. – Skoro świt twój wojownik wyłoni się z kotła.

4.

Na sowych skrzydłach przefrunął Boruta długą drogę z Łęczycy na Podhale. Rozszczękały się owczarki w zagrodach, gdy przeleciał nisko nad wsią Zakopane.

W dolinie Strążyskiej opadł na ziemię, przemieniając się na powrót w barczystego szlachcica, odzianego w szkarłatny kontusz z żółtymi wyłogami, żupan ochrowy na rubinowe guzy zapinany i czerwone buty.

Popatrzył w niebo, na gwiazdy. Północ. Umówiona pora.

Poprawił słucki pas, sprawdził, czy szabla lekko z pochwy wychodzi, i jął się wspinać kamienistą ścieżyną, biegnącą wzdłuż obrośniętego łopuchami potoku. Z mroku dobiegał coraz głośniejszy szum Siklawicy.

W łopuchach coś nagle zaszeleściło, zaszurało, błysnęły blade ślepie. Boruta zawarczał, wyszczerzając zęby. Ślepie zgasły.

W ciemności zapłonął punkcik światła. Przybliżał się dość prędko, kołyszącym torem. Latarnia. Dzierżący ją człowiek schodził szybko, zwinnie zeskakując po kamieniach.

Drobny, żyłasty, w pasterskiej odzieży, w kierpcach i siwej guni. Za pas zatknął ciupagę i pistolet. Spod filcowego kapelusza opadały ciemne włosy, zaplecione w zawadiackie zbójnickie warkoczyki. Popatrzył na Borutę hardo, bez śladu obawy.

– Powitać – rzekł. Po słowacku, co dla diabła, mówiącego wszystkimi językami, jakie kiedykolwiek znała Ziemia, nie stanowiło rzecz jasna przeszkody.

– A ty coś za jeden? – spytał szorstko Boruta. Na końcu języka miał „chamie”, ale się powstrzymał.

– Jura Janosik – odrzekł zwięźle góral. – Powiodę was do króla.

Boruta wzruszył tylko ramionami i ruszył za przewodnikiem.

Podeszli do samej Siklawicy. Janosik huknął po góralsku, aż echo odbiło się od skał. Rozwarło się zbocze góry i wkroczyli do środka. Potem ziemia zamknęła się na powrót, bez rumoru, bez wstrząsu – jak we śnie.

Jaskinia była potężna. Błędne ogniki unosiły się chmarą pod sklepieniem, z którego zwieszały się stalaktyty; z dołu wyrastał las stalagmitów. Wszędzie zaś leżały węże, mniejsze i większe, o łuskach lśniących jak złoto, srebro i diamenty. Łypały na łęczyckiego diabła

ślepiami podobnymi do drogich kamieni. Były to zaczarowane gady, które nigdy nie wychodzą na powierzchnię ziemi, na światło dzienne, lecz w czeluściach pod górami strzegą skarbów.

Aranykigyo spoczywał pośrodku pieczary. Wachlowały go dziwożony cudnej urody, w czerwonych czapeczkach z tureckiego atlasu. Dziewięć zwojów królewskiego cielska lśniło w bladym, drgającym świetle, diamentowy grzebień na łbie skrzył się wszystkimi barwami tęczy.

Hardo popatrzył Boruta po zebranych, a że odpowiedziało mu jeno wyczekujące milczenie, ruszył naprzód. Jego kroki odbijały się echem w ciszy, przerywanej jedynie kapaniem wody. Stanąwszy przed gadzim władcą, skłonił się szybko.

– Przybyłem – rzekł.

– Witaj nam, sługo Lucyfera – odparł Aranykigyo. Boruta zauważył, że dalej za nim, w cieniu stalaktytów i stalagmitów, stoją dwie postacie w pelerynach z kapturami. – I cóż? Stawiłeś się z przyjacielską wizytą czy też nadal chcesz walczyć?

– Chcę walczyć – potwierdził diabeł.

– Twoja wola. Wedle umowy, jeśli wygrasz, dostaniesz ode mnie klucze od jaskiń, gdzie śpi zaklęte wojsko. Oto one. – Król węży zadzwonił pękiem kluczy z litego złota. – A oto twój przeciwnik.

Niższa z postaci wystąpiła naprzód i odrzuciła pelerynę.

– To są kpiny! – wybuchnął Boruta. Wszystkiego mógł się spodziewać, lecz nie młodej góralki w gorseciku i kwiecistej spódnicy.

Wężowe plemię zaszemrało.

– Tyś mnie wyzwiał, czarcie – odrzekł spokojnie tatrzański władca. – Nie chcesz do walki stawać, wolna wola, tedy wracaj do Łęczycy.

– Dobrze – warknął Boruta. Omiótł wzrokiem postać przeciwniczki, raz jeszcze lustrując jej szczupłą kibić, ciemne warkocze upięte w obwarzanki, gładkie liczko. – Dobrze, gadzie plemię. Niech wam będzie.

– Jako wyzwana mam prawo wybrać broń. – Dziewczyna zmierzyła go zuchwałym spojrzeniem czarnych oczu. Mówiła, jak spostrzegł Boruta, nie miejscową gwarą, lecz tak, jakby się wychowała na królewskim dworze, a w jej głosie było coś znajomego, lecz nie umiał rzec co. – Nie będziem się rąbać ani strzelać. Zatańczysz ze mną, panie diable.

– Na Hali Kondratowej – uzupełnił Aranykigyo. – Miejsca tam dość.

* * *

Król węży, jak się okazało, postarał się zawczasu o muzykantów. Trzech płanetników i dwóch skrzydlatych pochwiścili zerkają ciekawie na Borutę, który zachowywał wyniosłe milczenie. Grajkowie w góralskim odzieniu, jakby z chłopskiego wesela wzięci, stanowili kolejny policzek dla jego dumy.

Aranykigyo zasyczał rozkazująco. Południowa ściana Giewontu rozwarła się, a może przeniknęli przez nią czarodziejskim sposobem, i oto znaleźli się na łące. Miejsca, jak słusznie zauważył gadzi król, nie brakowało. Łagodne zbocza Kopy i stok Giewontu tworzyły nieledwie amfiteatr. Pusty, bo wężowy ludek pozostał pod górą; tylko Aranykigyo, Janosik i ta druga, zakapturzona kobieta zajęli miejsca na skałach.

Blady księżyc zawisł nisko ponad granią, jakby i on był ciekaw, jak się to niecodzienne starcie skończy.

Gadzi król dał znak ogonem. Uśmiechając się, diabeł wyciągnął rękę, a dziewczyna ją

ujęła.

Muzykanci zagrali. Zaśpiewały złóbcoki, zafiukały piszczałki, jęknęła basetla, zahuczał bęben z krowiej skóry. Wiatr zaszumił w kosodrzewinie, targnął gałęziami smreków.

Huknął Boruta po czartowsku i porwał partnerkę w tany. Hej! Cóż to był za taniec! Żadne oberki tańczone po karczmach i weselach nie oddadzą tego szaleństwa.

Zakręciła się panna jak fryga, diabeł wyskoczył na kilka sążni w górę. Gdy zatupał, w oddali zabrzmiał rumor osuwających się głazów. A potem już płasali w jednym rytmie. Muzyka wtórowała im, wściekła i dzika.

Dmuchał wicher, przygiął drzewa do ziemi, kilka gałęzi obłamało się z trzaskiem. Wzbili się tanecznicy i pomknęli, wirując, przez powietrze. U-ha!

Pofrunęli nad szarymi halami i czarnym lasem, nad Kalatówkami, nad wsią Kuźnice, gdzie się pienił na kamieniach srebrny potok. Ominęli sterczący nad świerczyną Nosal i pomknęli aż na Skupniów Uplaz, na którym między skalnymi bryłami wiła się wąska perć. A muzykanci za nimi, piskając, piłując i bębniąc z podhalańską werwą.

Rozochocony Boruta opadł na skały i wybił obcasami hołubca. Od Doliny Olczyskiej aż po Kościeliską poniosły się echa, a z dna Smreczyńskiego Stawu wynurzył się przestraszony wodnik, pytając, zali w wąwozie Kraków górale znowu Szwedów biją.

Złóbcoki, piszczałki, basetla i bęben zabrzmiały jeszcze głośniejsze. Panna wiodła Borutę w krąg i w krąg, aż zaszumiło diabłu w głowie jak po najmocniejszej okowicie destylowanej z asfodelowych korzeni, której nie sprzedają w żadnej ziemskiej karczmie.

Otoczył ramieniem kibić partnerki, przyciągnął ją do siebie. Wirowali coraz szybciej, jej chusta i spódnica rozmyły się w barwnym wirze.

I raptem z tego wiru wyłoniły się obrazy.

Oto unosi Kościuszek na krakowskim rynku rękę do przysięgi... Umierają pod Maciejowicami kosynierzy w chmurach prochowego dymu.

W obcym krajobrazie, wśród skał pędzą polscy szwoleżerowie w szaleńczej szarży. Wąską, krętą drogą pod górę, wprost na lufy armat.

Wicher hula po bezkresnej bieli, niesie zimne tumany... Wloką się spod Moskwy niedobitki francuskiej armii, pokonane przez tyfus i srogą zimę.

Oddziały uchodzące z przegranej bitwy przepływają rzekę. W trakcie przeprawy ranny dowódca dostaje kolejny postrzał. Osuwa się w ciemny nurt i tonie...

Śnieg wiruje w podmuchach wiatru... Huczą strzały, niosą się dalekim echem. Znow inne to już czasy, inni walczą zbrojni.

Na polnej drodze chłopci obdzierają zwłoki poległych. Kołują po niebie chmury wron. Kołysze się trup na szubienicy.

Coraz dziwniejsze stają się obrazy, coraz bardziej obce. Oto okopy w buczynie i ludzie w szarych mundurach... Cmentarze na górskich stokach, drewniane krzyże, mogiły, na których kwitnie barwinek...

A potem z głębin nocy wyłania się ostatni obraz, zamazany, drgający tak jak drga rozgrzane, rozpalone powietrze... Jadą czarne maszyny ze sterczącymi lufami. Nurkują, rycząc, metalowe potwory, a niebo rozpala się czerwienią. Znowu ogień... ogień nad Warszawą.

* * *

Przytomniał z wolna. Najpierw dotarło do niego, że leży na ziemi, a dopiero potem, że

przegrał.

Usiadł ciężko, rozcierając czoło, zbyt jeszcze oszołomiony, by zrozumieć, co się stało. Panowała cisza, muzykanci gdzieś zniknęli. Ujrzał, że znajduje się na stoku Upłazu Skupniów. Świtało. Niżej leżało kilka smreków, wyłamanych z korzeniami – pamiątka szaleńczego płasu.

Opodał w milczeniu stali Aranykigyo, Janosik, przeklęta tanecznicą, uśmiechnięta od ucha do ucha (diabeł aż zgrzytnął zębami), oraz ta druga kobieta. Już bez peleryny.

Wysoka, o iście królewskiej postawie, odziana nie na polską, niemiecką ni francuską modłę, lecz w brokatowy płaszcz oraz peplos ze złotawego jedwabiu. Krucze fale jej włosów spływały aż do ziemi. Rozpoznał ją Boruta, bo słudzy Lucyfera dobrą mają pamięć.

– Zdradziecka suko – wychrypiał. – Za ciasne już dla ciebie Grecja i Italia, że na północy wysługujesz się gadziemu plemieniu?

Medea roześmiała się dźwięcznie, jakby kto uderzył w spiżowe dzwonki.

– Nie mierzyć ci się ze mną, słowiański diable. Przyzywałam księżyc z niebios w czasach, gdy tobie prostacy w skórach składali w ofierze pieczoną rzepę i placki z mąki źle zmielonej.

Boruta poruszył wąsami, przetykając zniewagę. Przeniósł spojrzenie na dziewczkę w góralskim stroju, która patrzyła na niego drwiąco.

– Czym ona jest? – spytał cicho, już domyślając się prawdy.

– Kość z kości tej ziemi, z tych skał czerpie siłę, jak dawno temu Anteusz.

Diabeł zamilkł, przeżuwał to, co usłyszał, i próbując poskładać fakty.

– Ale dlaczego? – spytał z jakąś dziwną bezradnością. – Czemu akurat ty...?

– Aby działało się to, co się dziać musi. Nie będziesz zmieniał biegu zdarzeń, co się mają toczyć swoim torem. Strasz dalej po lasach, top podróżnych na mokradłach, a do polityki się nie mieszaj. Wszyscy musimy przestrzegać praw ustanowionych przez niebiosą, inaczej cóż stałoby się ze światem?

Tego już było za wiele dla Boruty. Poczzerwieniał, przygryzł wąsa, aż na koniec nie wytrzymał.

– Co ja słyszę?! – wybuchł. – Ty, wiedźmo, mienisz się strażniczką woli Najwyższego?!

Patrzyła lodowato, a milczenie zebranych stawało się z każdą chwilą coraz wymowniejsze, tak że w końcu śmiech zamarł Borucie na wargach.

– Nie inaczej – rzekła spokojnie czarodziejka.

– Nie inaczej – przyświadczył Aranykigyo.

Pojał łączycycki diabeł, że przegrał z kretelem, a co najgorsze – dał się ośmieszyć. Nic mu innego nie pozostało, jak tylko zachować resztki honoru. Poprawił pas, strzepnął wyłogi kontusza, nałożył z powrotem czapkę i wyprostował się, maskując wstyd dumną postawą.

– Co teraz? – spytał retorycznie. Król węży tylko się uśmiechnął.

– Wracaj w swe strony, sługo Lucyfera. Daruję cię zdrowiem, byś, jeśli Najwyższy pozwoli, za kilkaset lat rozumu nabrał. A śpiący rycerze spać będą pod skałami, póki nie znajdą się ręka i buława dość godne, by ich poprowadzić do boju.

* * *

Oślabły i upokorzony, uciekł Boruta z Podhala i pod postacią sowy zaszył się w najgęstszej kniei.

Wstyd palił go żywym ogniem. Zdawało się diabłu, że cały ludek nieśmiertelny, nie tylko planetnicy, zmory i rusalki, ale nawet dusiołki i mamidła, tałatajstwo polne, naigrawają się z

niego.

Król węży wraz ze swym dworem zniknął w czeluściach gór. A na powierzchni ziemi sprawy biegły swoim torem. Nastąpiła jesień, po niej zima.

W lutym podpisano traktat, na mocy którego Rzeczpospolita stała się protektoratem rosyjskim. Kilka dni później przeciwnicy króla zawiązali konfederację w Barze na Podolu, by bronić wiary katolickiej i niepodległości kraju. Zaczęły się zbrojne walki i trwały z różnym natężeniem przez prawie cztery lata. Wobec przewagi wroga oddziały konfederackie wybierały taktykę partyzancką. Czasem szczęście im sprzyjało. Częściej nie.

I nadszedł w końcu czas, gdy konfederaci walczyli w Beskidach i przegrywali potyczkę za potyczką. Generał Drewicz powoli wykrwawiał słabsze liczebnie oddziały Kazimierza Pułaskiego.

Trzask wystrzałów niósł się echem po lasach nad Izbami, Blechnarką, Muszynką. Wybrzmiewał ponurym preludium do tego, co miało nastąpić jeszcze w tym samym stuleciu.

Odległe, spowite siwą mgiełką, Tatry milczały.

Lublin, październik – listopad 2012

GLOSSARIUSZ

– Jestem Medea. Lecz wątpię, byś znał to imię.

Medea – według mitologii greckiej córka Ajetesa, króla Kolchidy (kraina na wschodnim wybrzeżu Morza Czarnego, u stóp Kaukazu), potężna czarodziejka i trucicielka. Pomogła Jazonowi zdobyć złote runo i odpłynęła wraz z nim do Grecji, gdzie czarami przywróciła młodość jego ojcu, Aizonowi. Gdy mąż chciał ją porzucić i poślubić córkę króla Koryntu, Medea posłała jej w podarunku ślubnym szatę nasączoną trucizną. Zabiła następnie synów, których miała z Jazonem, i na wozie zaprzężonym w smoki uleciała do Aten.

Wdzięczyły się do niego jasnowłose kózytki i konopielki...

białor. *kazytać* – łaskotać. W polskich wierzeniach ludowych kózytki i konopielki to demony polne mające postać chudziutkich dziewcząt, karzące ludzi, którzy depczą uprawy, załaskotaniem na śmierć.

Pod Giewontem śpi od wieków oddział niebiańskich rycerzy...

Baśń „O śpiących rycerzach w Tatrach” w wersji kanonicznej można znaleźć m.in. w zbiorze „Klechdy domowe” (Nasza Księgarnia, Warszawa 1987). Spisana przez Jana Kasprowicza, opowiada, że w jaskiniach pod Giewontem śpi wojsko Bolesława Chrobrego, które pewnego dnia obudzi i poprowadzi do boju mały chłopiec o czystym sercu.

Jaskiń pod Giewontem strzeże Aranykigyo...

węg. *aranykigyo* – złoty wąż. Według legend z różnych regionów Polski, król wszystkich węży i zmij wyobrażany był jako olbrzymi gad w koronie lub z diamentowym grzebykiem na głowie, zwykle strzegący podziemnych skarbów z drogich kamieni i pereł.

Tej wiosny Boruta pokonał kędyś na Rusi karła Czarnomora...

Zły czarnoksiężnik, karzeł Czarnomor, występuje w poemacie Aleksandra Puszkina „Rusłan i Ludmiła” oraz w opartej na nim operze Michaiła Glinki. Jego czarnoksiężska moc kryje się w brodzie, po obcięciu której traci całą siłę.

Od laum litewskich...

Łaumy – żeńskie istoty demoniczne podmieniające dzieci, znane m.in. na Suwalszczyźnie.

Wachlowały go dziwożony cudnej urody..

Dziwożony – w podaniach góralskich z Podhala złośliwe rusałki wodne lub powietrzne. Miały bardzo długie włosy, ogromne, obwisłe piersi i nosiły czerwone czapeczki.

Trzech planetników i dwóch skrzydlatych pochwiścieni...

Planetnik – w polskich wierzeniach ludowych demon czy istota półdemoniczna, mająca władzę nad pogodą, zwłaszcza nad chmurami burzowymi. Pochwiściciel – demon uosabiający moc wiatrów i wirów powietrznych.

...z tych skał czerpie siłę, jak dawno temu Anteusz.

Anteusz, według mitologii greckiej syn Gai i Posejdona, był najpotężniejszym z gigantów. Pozostawał niezwyciężony, dopóki dotykał matki-Ziemi. Mieszkał w Libii i zmuszał podróżujących, by z nim walczyli. Pokonał go w końcu Herakles, unosząc podczas zmagania i trzymając w górze, a więc pozbawiając siły przez oderwanie od Ziemi.

I nadszedł w końcu czas, gdy konfederaci walczyli w Beskidach...

Graniczne pasmo Beskidu Niskiego było dogodnym terenem dla działań partyzanckich konfederatów barskich wiosną i latem 1770r. Powstał tam ciąg ufortyfikowanych obozów. Ze szczytu góry Lackowa nadawano sygnały flagowe, stąd jej zwyczajowa nazwa „Chorągiewka Pułaskiego”. Na początku sierpnia 1770r. Rosjanie rozbili obóz konfederatów pod dowództwem Pułaskiego w bitwie pod Blechnarką. Pozostałości okopów konfederackich można do dziś oglądać w lesie za wsią Muszynka.

Stanisław Truchan

OBSYDIAN

1. Stary Krasocin. Wieża

Z wieży pałacu w Starym Krasocinie doskonale widać było trakt wiodący ku Sandomierzowi. Nawet teraz, w nocy – bo przecież świecił księżyc w pełni. Ze swojego okna messer Girolamo Bonini mógłby zawczasu dostrzec każdego nadjeżdżającego od tamtej strony. Mógłby – lecz wiedział, że nikt nie nadjeżdża.

Jeszcze nie.

Bonini był pewny, że zdąży. Miał dużo czasu na spakowanie dobytku. Konie czekały już gotowe do drogi w stajniach podkomorzego. Szkoda tylko, że imć Hieronim Krasociński przy królu bawił, i to nie w Warszawie nawet, a w Wilnie; wszystko spadło na skołataną głowę jego syna, którego jak raz wielkie nieszczęście spotkało...

Jak raz – choć trudno tu mówić o zaskoczeniu. Messer Girolamo przewidział, że tak się stać może. W medycynie równie był biegły, co w alchemii. A nawet bardziej, bo eliksiru młodości nie uwarzył, ołowiu albo cyny w złoto także nie transmutował – a wyleczył niejednego. Dlatego też, jako doświadczony medyk, z góry wiedział, że niedawno poślubiona małżonka pana podkomorzycy może wyzionąć ducha przy porodzie, a wnuk pana na Starym i Nowym Krasocinie pójdzie w ślad za matką. I stało się. Właśnie teraz.

Chwali się jednak młodemu dziedzicowi, że choć w takiej desperacji, bynajmniej głowy nie stracił. Na wieść o oskarżeniach, wysuniętych pod adresem przybysza z Padwy, natychmiast pomyślał o ratunku. Konie, jako się rzekło, już czekały osiodłane, a Jurko Twardosz, ubogi szlachetka trzymający się pańskiej klamki, też gotów był do drogi. Wyruszyć mieli na godzinę przed świtem. Czyli lada chwila.

I pomyśleć, że jeszcze nie tak dawno temu Girolamo nie spędzał snu z powiek panu Gorzelickiemu, nie zakłócał spokoju wrażliwego cześnikowego sumienia, nie budził podejrzeń o konszachty z siłą nieczystą. Cześnik z otwartymi ramionami oczekiwał jego przybycia w gorzkowskim zamku. Bo pan na Gorzkowie wierzył w transmutację, a złotem nie gardził. Wierzył też w odmładzające kordiały, tudzież w afrodyzjaki wzmacniające męskie siły w dwójnasób – a tych potrzebował, bo owdowiawszy, poślubił niewiastę dwakroć młodszą od siebie. To wszystko miał mu zapewnić przybysz z Italii, syn uczonego, którego na swój dwór zapraszał przed laty sam Rudolf Habsburg...

I nic z tego. Italczyk wzgardził umizgami pana na Gorzkowie, przyjął zaproszenie podkomorzego. A podkomorzy z cześnikiem żyli jak pies z kotem. Zaczęło się od błahostki – zwykłego sporu granicznego...

Przed wielu laty jakiś bezdzielny wdowiec, którego dziad spowinowacony był z jednymi i drugimi, zapisał pradziadom podkomorzego i cześnika wioskę zwaną Piekuty. Do podziału, po połowie. Niestety, pośrodku wsi znajdował się duży staw – i o ten staw wszczęła się kłótnia tak zażarta, iż w końcu przyszło do szabel. Pojedynek zakończył się sromotną klęską obu jaśnie panów: ścierając się na śmierć i życie na brzegu owego stawu, dziedzice pana na Piekutach

wpadli do wody i pewnie byliby potonęli, gdyby nie wyciągnął ich jeden z przypatrujących się starciu parobków... Potem obaj wstydzieli się pokazać we wsi, własnym pańszczyźnianym na pośmiewisko; z kłopotu wybawił ich sam hetman Tarnowski, odkupując od nich wioskę i dzieląc pieniądze po połowie. Wrogość pomiędzy obydwoma rodami wszelako pozostała.

Kiedy więc usiłowania pana Gorzelickiego, by ściągnąć na swój dwór uczonego Włocha, ostatecznie spełzły na niczym, pan na Gorzkowie uknuł wielce przewrotny plan: na złość sąsiadowi oskarżył Boniniego o czary i konszachty z diabłem. Porę przy tym wybrał bardzo sposobną: podkomorzy na Litwie, a niedawno poślubiona małżonka podkomorzycyca odumarała w połogu... Messer Girolamo nie miał wyjścia: musiał uchodzić.

Podkomorzyc zresztą też zamierzał wyruszyć w podróż. Niedawno przyszło jemu i jego ludziom skrzyżować szable z klientami cześnika przed gospodą w pobliskim Karczowie. Poszczerbili się nieco nawzajem, po czym zgodnie uszli przed hajdukami starosty – ale to podkomorzyc pierwszy nie zdzierzył i jał się szabli. A tamci, przez cześnika podtrzymywani w uporze, ani myśleli przyjąć basarunku, który im młody Krasociński chciał wypłacić... Cóż tedy podkomorzycowi pozostawało? Rozgłosił, że na pielgrzymkę rusza, za grzechy pokutować. Wróci, gdy burza przycichnie.

Czy jednak chodzi tylko o przeczekanie tej burzy, którą jego rodzic z pewnością jakoś uciszy, gdy wróci z Litwy? A jeśli tę myśl podsunął młodemu wdowcowi, wkrótce po śmierci pani podkomorzycowej, ojciec Serwacy? Prawdę mówiąc, Girolamo nigdy przedtem nie widział pana Tomasza w takiej alteracji, jak po wyjściu z gabinetu, w którym obaj z jezuitą długo o czymś deliberowali...

Rozmowa to była – czy może spowiedź?

Ale o to mniejsza. Messer Girolamo Bonini lada chwila opuści komnatę w pałacowej wieży i uda się do Niemiec. Jurko Twardosz, choć gołowąs, na pewno bezpiecznie doprowadzi go do granicy; on potrafiłby nawet przez środek tatarskiego czambułu przejść niepostrzeżenie, przy sposobności buńczuk zabierając adze. A tam, w Niemczech, Bonini spotka starych, wypróbowanych przyjaciół nieżyjącego ojca. Z ich pomocą wśród protestantów uda ofiarę papistów, albo może na odwrót. Poradzi sobie. Jego rodzic nie z takich terminów się wydobył w pierwszych latach wielkiej wojny, gdy Habsburgowie ścierali się z „królem zimowym”.

Sakwy już spakowane. Tylko większe zwierciadło musi zostać, bo się nie mieści. Ale to nic – mniejsze wystarczy. A retorty, atanory, alembiki – wszystko dobrze zabezpieczone, by się nie potłukło. Gdzieś, kiedyś, w innym miejscu i czasie, będzie z nich jeszcze pożytek.

2. Villahermosa, Aragonia

Młody szermierz otarł chustką spoconą twarz i ze złością podniósł szpadę. Już przeczuwał, że czeka go kolejna sromotna klęska, ale wciąż jeszcze się łudził. To niemożliwe, powtarzał sobie z uporem, przecież niewolnik nie może być szermierzem lepszym niż on, Luis Antonio Rodrigo de Lara, potomek rycerzy, którzy przed wiekami gromili Maurów! *Indio* po prostu miał szczęście; owszem, nad podziw zgrabnie wyłuskał szpadę z dłoni arystokraty, ale to jeszcze nie dowód jakichś wyjątkowych umiejętności.

Syn markiza, rzecz jasna, zdawał sobie sprawę z tego, że się myli. Nieprzypadkowo przecież pod nieobecność mistrza Benedettiego, którego markiz przed trzema laty ściągnął aż z

Florencji, to właśnie z Miguelem ćwiczył. W żyłach miedzianolicego przybysza z Nowej Hiszpanii chyba rzeczywiście płynęła krew azteckich wojowników – tych, przed którymi żołnierze Corteza uchodzili w popłochu z Tenochtitlanu podczas osławionej *noche triste*. Nikt go nie uczył fechtunku – a chłopak umiał tyle samo, co starszy o dwa lata Luis, a nawet trochę więcej. Widocznie wystarczyło mu podglądać obu panów, ojca i syna, gdy ćwiczyli z włoskim mistrzem, by nabyć jeszcze większej biegłości. Inaczej młody grand nie potrafił sobie tego wytłumaczyć.

„A może – przemknęło mu nagle przez głowę – niezwykła zręczność Miguela nie jest jeno owocem wrodzonego talentu, wspomaganego bystrością oka? Może w tych niedostępnych górskich wąwozach Nowej Hiszpanii, gdzie chłopak spędził pierwsze dziesięć lat życia, potomkowie obrońców Tenochtitlanu w tajemnicy ćwiczyli posługiwanie się białą bronią, by pewnego dnia podnieść bunt?”

Luis natychmiast odrzucił tę myśl. Wydała mu się tak samo niedorzeczna, jak opowieść o podróży z Kadyksu na Hispaniolę w beczce po śledziach, zasłyszana w jakiejś tawernie. Przecież kapitan Arenzano, który poddał tamte okolice władzy wicekróla, naliczył w owych odciętych od świata tubylczych wioskach bodaj cztery tysiące dusz. Z czym tu ruszać na hiszpańską potęgę?

Nieważne. Arystokrata zacisnął zęby i postanowił odplacić słudze pięknym za nadobne. Teraz nie pozwoli sobie wytrącić broni z ręki. Stanie się na odwrót: to kij Miguela zatoczy łuk w powietrzu i upadnie w pokrzywy.

Kij – bo Luis nie dawał słudze broni do ręki. Szpada nie jest dla niewolników. Byłoby *indio*, nawet tak utalentowany, to nie *maestro* Benedetti. Miguel zawsze stawał naprzeciwko pana z kawałkiem dębowej gałęzi w prawicy. Kij był tej samej długości, co szpada młodego markiza. W rękę Indianina stanowił groźną broń. Użyty w prawdziwym pojedynku, mógłby się okazać narzędziem równie śmiertelnośnym, jak szpada czy rapier.

Miguel mocniej ścisnął kij w rękę. Stał na szeroko rozstawionych nogach i nieruchomym, beznamiętnym spojrzeniem patrzył na Luisa.

– Czekam, panie – powiedział, uśmiechając się samymi kącikami ust.

* * *

– Ziąb się zrobił okrutny – zauważył Tomasz Krasociński, ściągając poły dolmana zdobionego wymyślnymi szamerunkami. – A powiadali, że w Hiszpanii ciepło. Kto jeno do nas od strony *Maris Interni* przybędzie, ten od razu narzeka, futrami się opatula, a swoją krainę wychwala...

Jurko Twardosz wzruszył ramionami.

– Jegomość, toć ku zimie idzie! A przytem góry o krok. Stamtąd zimne powietrze ciągnie, jako u nas od Tatrów. Albo i gorzej, bo Tatry na południe od nas są, a Pireneje stąd na północ... Mentyk trza było na dolman zarzucić, jakom radził z samego rana.

– Toż myślałem, że się ociepli – mruknął pan Tomasz, po czym sięgnął po tuleję dyndającą na rzemyku u szyi. Rękodajny poszedł w jego ślady. Przywieziona z Genui perspektywa – taka sama, jakich używali żeglarze wożący złoto z Nowego Świata – bardzo się przydawała w podobnych chwilach. Obaj, i pan, i sługa, z ciekawością przyglądali się młodemu markizowi de Lara, który na łące za strumieniem wytrwale wprawiał się w robieniu szpada. Niestety, od łączki dzieliło ich grząskie bagienko, którego nie chciało im się okrażać, by podejść bliżej. Z

daleka zaś niewiele dało się zobaczyć gołym okiem.

A widowisko było godne obejrzenia. Naprzeciwko aragońskiego granda, potomka jednego z najświetniejszych rodów królestwa, stał niższy odeń o pół głowy pacholek pochodzący z zamorskich krain, do których zagnała Hiszpanów *auri sacra fames*. Nie w żelazo był zbrojny, a w kij – aliści od początku miał w tym starciu przewagę. Szpada Luisa de Lary leżała właśnie w kępie burzanów, niewidoczna nawet dla oka uzbrojonego w wielokrotnie powiększające szkło żeglarskiej lunety. Tylko przygięte do ziemi pędy chwastów znaczyły miejsce, w które przed chwilą upadła.

– Z dziesięci takich zuchów byśmy mieli w Karczowie, lepiej by nam poszło – mruknął podkomorzyc. – Jeno rapiery im dać miast kijów...

– I kijami by poradzili. – Twardosz wzruszył ramionami. – Toć ludzie cześnika do gorzałki jeno zdadni albo do piwa, szablą zasię niby cepem machają. Ten tam Miguel i na czterech by starczył. Choćby i z kijem.

– Aliści ów Koryzna łeb ci krzyne poszczerbił – zauważył pan.

– Wielkie mi co! Płazem mnie jeno trzepnął, a potem mu się ręka trochę omsknęła...

– Dość po temu, obaczmyż, czego jaśnie pan markiz dokaże. – Podkomorzyc wskazał walczących. Syn granda już na powrót dzierżył w prawicy szpadę. Indianin stał naprzeciwko niego w pozie na pozór niedbałej, ale wytrawnemu szermierzowi wystarczyło jedno spojrzenie, by odkryć, że to właśnie pozór tylko.

Markiz zaatakował. Zajadle, z furją. Indianin przyjął szarżę spokojnie, ograniczając się do odpierania ciosów. Stał jeno ślizgała się bezradnie po twardej powierzchni dębowego drewna.

– Nawet ów Benedetti by lepiej tego nie zrobił – stwierdził Krasociński z uznaniem. – Fechmistrz z tego pacholika jak się patrzy!

– Benedetti chorzeje w Saragossie – zauważył Twardosz. – Kiedy wróci, winien by się zmierzyć z Miguelem. Rad bym na to popatrzeć!

– Teraz zaś patrz, co Miguel z Luisem wyczynia! – Podkomorzyc roześmiał się. – Toć markiziątko, choć niemało umie, jeno patrzeć, jak polegnie z kretelem.

Jakoż młody grand w rzeczy samej nie potrafił sobie poradzić z jeszcze młodszym od siebie Indianinem. Niby wciąż nacierał, ale widać było, że to tamten zyskuje przewagę.

– A niech go wciórności! – wykrzyknął z podziwem pan Tomasz. – Widziałeś to?!

– Juźci obadwa na to samo patrzemy – mruknął sługa znacznie spokojniej. – Toć od początku wiedziałem, co się stanie, nijakiej prekognicyjej nie trzeba było...

Szpada Luisa de Lary zakreśliła płaski łuk w powietrzu – Miguel na wszelki wypadek uskoczył w bok, by uniknąć zranienia – i wbiła się ukośnie w ziemię za plecami indiańskiego sługi.

– Aj, jegomość, jegomość! – rozmarzył się Twardosz. – Choćby jego samego było mieć w Karczowie! Jednego, nie dziesięci! Sam jeden by cześnikowych moresu nauczył! Toż by, takie syny, rejterowali z pełnymi hajdawerami, a poznaczeni jak kij karbowego na folwarku u pana ojca waszmości!

Gniew młodego Twardosza na Gorzelickiego był całkiem świeży, nie jak zastarzała wrogość między cześnikową rodziną a rodem Krasocińskich, sięgająca czasów Zygmunta Augusta – ale nie zanosilo się na to, by prędko ostygł. Jurko dobrze pamiętał – choć był wówczas oseskiem nieledwie – że cześnik podważał ongiś szlachectwo jego ojca. Na szczęście zachował się dokument opatrzony podpisem króla Zygmunta Starego i cześnik nic nie

wskórał; dowiedziono bezspornie, że protoplasta Twardoszów, zasłużony się w służbie hetmańskiej pod Obertynem, nobilitowany został i herbem Leliwa obdarzony. Mając jednakowoż tak potężnego przeciwnika jak pan Gorzelicki, musieli się Twardoszowie stać klientami Krasocińskich. Jurko, odkąd jeno zdolny był konia dosiąść, pańskiej klamki się trzymał wytrwale – i nie miał powodów do narzekania.

Płytką raną odniesioną w zwadzie karczowskiej szybko się zabił. Jeśli młody Twardosz czegoś żałował – to jedynie tego, że on i inni ludzie Krasocińskich za słabo przetrzepali hajdawery cześnikowym sługom. I, rzecz jasna, zżymał się na kapryśny los, który sprawił, że Twardoszom przyszło żyć w bliskim sąsiedztwie Gorzelickich, a ci – ongiś siedzący na trzech małych wioskach gdzieś pod Iłżą – przez ostatnie pół wieku bardzo zmoglieli. Choć, oczywiście, przy takich choćby Ossolińskich pan cześnik to zwykły hreczkosiej – ale Twardosze to jednak szaraczki. Zaś Krasocińscy, aczkolwiek może nie bogatsi od tamtych, to lepsza szlachta. Toporem się pieczętują! Toporczycy ród starszy od ruskich Rurykowiczów i polskich Piastów, od samego Kraka się wywodzą, ich praszczur smoka pokonał...

* * *

Don Pedro Enrique Baldovino de Lara mierzył syna surowym spojrzeniem. Luis stał i czekał, aż ojciec w końcu przemówi. A grand się nie spieszył. Z doświadczenia wiedział, że taka przedłużająca się chwila milczenia, pełnego niemej dezaprobaty, najskuteczniej kruszy synowską butę. Tej zaś potomkowi markiza nie brakowało; był przecież nieodrodnym synem swojego rodzica.

Flamandzki zegar w kącie gabinetu nieubłaganie odmierzał sekundy. Napięcie rosło.

– Czy to się godzi – powiedział w końcu markiz głosem brzmiącym jak trzask łamanego patyka – by jakiś *indio* wytrącił szpadę potomkowi pogromców Almanzora?

– Nie godzi się, ojczu – przyznał obojętnym tonem Luis. – Dlatego też ćwiczę ile sił. Przyjdzie czas, kiedy nikt mi jej nie wytrąci.

– Od tego, by cię uczyć robienia szpada, jest Benedetti – warknął ojciec.

– Benedetti nie wróci tak szybko, pewnie dopiero po Nowym Roku. A ja nie chcę tracić czasu. Zawsze mi powtarzałeś, ojczu, że ty w moim wieku...

– To nie powód, by robić z siebie widowisko! – przerwał Pedro de Lara. – Grand Królestwa Hiszpanii pozwala się rozbroić niewolnikowi! Do tego jeszcze w obecności jakichś *polacos*, którzy się tu przyplątali w drodze z Composteli... Po prawdzie nie wiedziałem, że tam do nich chrześcijaństwo dotarło. Toż to gdzieś na końcu świata prawie...

– Oni nie tylko chrześcijanami są, ale i szlachtą – zaprotestował syn. – I nie tylko don Tomás, jego rękodajny też. Odróżnią szpadę od różna, a szlachcica od kucharza. A Miguel...

– Jest tylko niewolnikiem – wszedł mu w słowo ojciec.

– Wbrew Nowym Prawom ogłoszonym już prawie sto lat temu przez Jego Królewską Mość Karola I – przypomniał syn. – Pochodzi zresztą w prostej linii od Montezumy, który władał imperium większym niż Hiszpania.

– No właśnie. Ojciec de Las Casas namącił, wziął w obronę te pogańskie ludy...

Markiz de Lara nagle wstał i zaczął chodzić od ściany do ściany, pobrzękując ostrogami, których nie odpiął po porannej przejażdżce.

– Ojciec de Las Casas – powtórzył. – Dominikanin. Tak jak Torquemada...

Syn spojrział nań ze zdziwieniem.

– Torquemada? Cóż ma do tego Torquemada, świeć Panie nad jego duszą? Moja szpada to moja szpada, moja ręka to moja ręka.

– Ktoś doniósł Inkwizycji, że Miguel, choć przyjął chrzest, potajemnie pogańskimi czarami się para. I czci azteckich bogów.

Luis przez chwilę milczał, patrząc w podłogę i trawiąc złą wiadomość. Z Inkwizycją nie było żartów. W dodatku już przed półtora wiekiem przodek markiza de Lara, uczestnik pamiętnego szturm Grenady, z najwyższym trudem wykręcił się od stosu. Wtedy chodziło o osłanianie pewnego dopiero co ochrzczonego Żyda, który podobno w ukryciu świętował szabat...

Kiedy syn markiza w końcu się odezwał, w jego głosie nie było już ani śladu pewności siebie sprzed chwili.

– Czy oni wiedzą...?

– Że ja wiem? – Ojciec uśmiechnął się pod wąsem. – Nie, nie wiedzą. Mam swoje godne zaufania i bardzo dyskretne źródła informacji, dzięki Bogu.

Syn odetchnął z ulgą.

– W takim razie uda się Miguela ochronić. – Spojrział na ojca z przekornym błyskiem w oku i dokończył: – A jeśli rzeczywiście czci Tezcatlipokę albo innego demona, to Bóg będzie wiedział, jak go ukarać.

– Gadasz, synu, całkiem jak ten polski poeta, o którym ci opowiadał rękodajny don Tomasa. – Markiz skrzywił się wymownie. – Ponoć zatwardziały heretyk.

* * *

Miguel zamknął drzwi na obie zasuw. Wcześniej don Luis powiedział słudze, że w najbliższym czasie nie będzie mu potrzebny. Indianin mógł poczuć się zupełnie bezpiecznie.

Szczypta szarego proszku, zaczerpnięta ze skórzanego woreczka, skrzętnie ukrywanego przed wścibskimi spojrzzeniami, w migotliwym płomyku świecy zamieniła się w ledwo widoczny pyłek czarnej sadzy. Powietrze przesycone zapachem grzyba z trudno dostępnych gór Nowej Hiszpanii zdawało się wypełniać każdą komórkę ciała, każdą drobinę krwi, przenikać aż do kości. Wyostrzone zmysły chwyciły to, co zwykle było nieuchwytnie: obrazy, dźwięki i zapachy... A umysł pozostał jasny i przenikliwy.

– Dzięki ci, o Pani, że natchnęłaś mnie myślą, by właśnie teraz połączyć się ze światem po tamtej stronie! – szepnął Indianin.

Złota blaszka, na którą spoglądał, wypowiadając te słowa, nie zechciała odpowiedzieć. Bo też nie ona była Panią. Była tylko wyobrażeniem bóstwa – takim samym, jak wielokrotnie od niej większe posągi, które przed przeszło wiekiem rozbijano młotami w Tenochtitlanie. Miguel chował wizerunek bogini w cynowym medaliku sporządzonym na wzór tego, który ongiś zerwano z szyi jakiegoś Indianina wiernego Hiszpanom. Cyna – metal Aztekom nieznany – też była zdobyczna. Całość miała służyć ukryciu złotej blaszki przed oczami białych, na wypadek niewoli. Taką maleńką, złotą podobiznę Pani w Wężowej Sukni, przemyślnie schowaną w medaliku, nosił każdy kapłan i każdy arystokrata w ich dolinie.

Miguel nie usłyszał odpowiedzi – ale czuł, że jego słowa dotarły do boskich uszu. I że Pani darzy go swoją łaską. W przeciwnym razie nie ostrzegłaby go przed niebezpieczeństwem.

Ostrzeżenie było darem Matki Słońca, Księżycy i Gwiazd. Ale drogę ratunku musiał

znaleźć sam.

Indianin wstał, ujął kciukiem i palcem wskazującym wizerunek bogini, skłonił głowę z szacunkiem, po czym ostrożnie wsunął tę drobinę złota pomiędzy dwie cynowe blaszki o owalnym, niemal kolistym kształcie. Metal szczęknął, złoto zniknęło. Teraz Miguel trzymał w dłoni medalik z wizerunkiem Matki Boskiej z Guadalupe. Nie tej z Estremadury, ale tej ze wzgórza Tepeyac w Nowej Hiszpanii. Był przecież potomkiem Azteków.

* * *

Ojciec Gaspar de Soto uniósł dłoń do czoła, spojrzął na słońce, po czym zarządził popas. Szczupły orszak inkwizytora zatrzymał się na skraju lasu. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Ludziom już burczało w brzuchach, a kości bolały od telepania się po wertepach. Konie – właściwie nawet nie konie, a chabety – też ledwo zipały. Dlaczegoż dominikanin wybrał drogę na skrót, wymagającą to wspinania się na pagórki, to znów mozolnego schodzenia w doliny po krętych leśnych drózkach? Przecież mogli jechać gościńcem. Mieliby wprawdzie trzy razy więcej *leguas* do przebycia, ale podróż byłaby – mimo wszystko – krótsza.

Stary Lope tłumaczył ludziom, że widocznie wielebnemu zależy na tajemnicy i dyskrecji. Z grandami, przekonywał, trzeba ostrożnie. Ci wielcy panowie są pyszni jak sam diabeł, a tak popędliwi i uparci, że gotowi się nawet z Bogiem pokłócić, byle tylko postawić na swoim. Dla nich jedyne i najwyższe prawo to „moje na wierzchu”. Jeśli więc don Pedro, który wszędzie w tych okolicach ma oczy i uszy, nie dowie się wcześniej, że ojciec Gaspar zamierza uwięzić kogoś spośród jego ludzi, to nie będzie miał czasu, by przemyśliwać, jak by tu – na własną zgubę, a ze szkodą dla królestwa – stanąć w poprzek zamiarom inkwizytora. A otwarcie nie odważy mu się przeciwstawić; ze Świętą Inkwizycją nikt jeszcze wojny nie wygrał.

A przynajmniej nie w Hiszpanii.

Jak było, tak było – a podróż po wertepach wszystkim dała się we znaki. Towarzysze inkwizytora czuli się tak, jakby zwierchnik od samego rana poddawał ich interwencji dla wydobycia zeznań. Sam tylko dominikanin wydawał się nieczuły na trudy wędrówki. Spokojnie przeżuwał wyciągnięty z sakwy suchy chleb – pościł bowiem już od miesiąca – i popijał wodą z bukłaka.

– Człek z żelaza chyba, nie z krwi i kości – mruknął Pablo, najmłodszy z orszaku, spoglądając ze zdziwieniem to na ojca Gaspara, to na Lopego.

– A co, nie wiedziałeś? – odpowiedział stary. – No to teraz wiesz. I jeszcze nie takie rzeczy zobaczysz.

Potem już posilali się w milczeniu, by nie trwonić sił przed czekającą ich drogą. Dominikanin chciał dotrzeć do Villahermosy jeszcze przed wieczorem; wiedział, że zastanie tam markiza de Lara, ale nie miał pewności, czy arystokrata następnego dnia z samego rana nie zechce spakować sepetów i powrócić do swego rodowego zamczyska, pyszniącego się czterema potężnymi basztami i setką dziur po kulach francuskiej artylerii.

Lope spostrzegł nagle, że duchowny z niepokojem zerka na swojego wierzchowca. Zaintrygowany, zaczął się przyglądać zwierzęciu, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Koń zdawał się bez reszty zajęty obrokiem, nie wykazując żadnych oznak choroby ani też niepokoju, jaki wywołać może bliskość drapieznika lub obcego człowieka. Coś się wielebnemu przywidziało, pomyślał stary i zajął się kolejną pajdą czarnego chleba.

– No to ruszajmy w imię Boże – powiedział w końcu inkwizytor, wstając. Podszedł do gniadosza i położył mu rękę na grzbiecie. Zwierzę zastrzygło uszami. Ojciec Gaspar cofnął się i z uwagą, marszcząc brwi i mrużąc oczy, zlustrował wierzchowca od stóp do głów.

– Dziwne – mruknął. – Ale, jako się rzekło, w imię Boże...

Przeżegnał się i wskoczył na siodło. Koń zarżał niespokojnie. Dominikanin uderzył piętami boki wierzchowca, jednak ten, zamiast ruszyć przed siebie, przysiadł na zadzie. Nerwowe rżenie przeszło nagle w przeraźliwy kwik – jakby gniadosza opadło stado wilków. Duchowny poklepał go po karku, ale to nie uspokoiło zwierzęcia. Zdumiony orszak inkwizytora w niemym osłupieniu patrzył, jak spokojny zazwyczaj gniadosz staje dęba, wierzga i łomocze kopytami o twardą ziemię...

Stary Lope podbiegł do zwierznika, ale nie zdążył mu pomóc. Wciąż rozpaczliwie kwicząc, koń gwałtownie ruszył naprzód, by w sekundę później zaryć kopytami w ziemię, zrzucając jeźdźca przez głowę.

Zapadła nagle cisza, którą zmącił jeden głuchy dźwięk, krótki jak trzaśnięcie z bicia. Kopyto wierzchowca trafiło w szczękę jego pana. A zaraz potem Lope i jego towarzysze znów usłyszeli kwik, przechodzący w rozpaczliwe rżenie. Gniadosz ruszył przed siebie na oślep, by o sto sążni dalej runąć ze stromego urwiska, prosto w koryto strumienia.

Lope ukląkł przy nieruchomym ciele zwierznika i ostrożnie dotknął szyi.

– Niech Bóg będzie łaskaw dla jego duszy – szepnął, zdejmując czapkę.

3. Auray, Bretania

Wiejący z południa wiatr był dość ciepły jak na tę porę roku. Wiosna, ku zaskoczeniu Tomasza Krasocińskiego i jego ludzi, tu też zaczynała się wcześniej niż w Polsce; nie tak szybko jak nad Morzem Śródziemnym, ale jednak wcześniej.

Zawędrowali do królestwa Burbonów już po raz drugi. Szlak peregrynacji pana podkomorzycy wiódł najpierw przez Rzym, Loreto i Asyż. Potem – w drodze do Hiszpanii – pan Tomasz modlił się w Saint-Gilles u grobu świętego Idziego, pustelnika, patrona niewiast ciężarnych i karmiących matek. W ziemiach Filipa IV odwiedził Santiago de Compostela i Guadalupe – to w prowincji Estremadura, ma się rozumieć, nie to w zamorskich posiadłościach króla Hiszpanii. Aż wreszcie późną jesienią, przez Aragonię i pirenejskie przełęcze, ponownie udał się do Francji, by spędzić zimę w Clermont, gdzie ongiś papież Urban II wezwał rycerstwo do krucjaty – i oto teraz wystawiał twarz na podmuchy wiosennego wiatru, wędrując bretońskim gościńcem. Przybył tutaj, by pokłonić się babce Zbawiciela w Kerannie koło Auray, a przy okazji objeżdżał okolicę, wypatrując dolmenów i menhirów, które to – jak go zapewniano – już w czasach Juliusza Cezara uważano za wielce starożytne...

Miguel, jak kot, nadal chodził własnymi drogami. Tak było czwartego dnia pobytu w Bretanii, gdy wybrali się do miejsciny zwanej Carnac. W drodze powrotnej Indianin swoim zwyczajem skręcił gdzieś w bok i długo zwlekał z dołączeniem do reszty orszaku. Zbliżając się do Auray, gdzie stali na kwaterze (i gdzie zamierzali spędzić wieczór w gospodzie, racząc się wybornymi francuskimi winami), pan Tomasz i jego ludzie wstrzymywali konie, z niepokojem popatrując ku zachodowi. W orszaku podkomorzycy wciąż brakowało Miguela. Indianin powinien już do nich dołączyć, ale się spóźnił.

– Jegomość, poniechajcież próżnej turbacyjej! – odezwał się w końcu Jurko Twardosz. – Michałek jest jako ten kot, co zawsze na cztery łapy spadnie. Niemożliwe, by takiemu frantowi się co przygodziło!

– Zresztą w szabli i szpadzie niewielu mu wyrównywa – dodał Jacek, najmłodszy z pachołków. – Zda mi się, że choćby ów sławny d’Artagnan nań nacierał, to pan Miguel dostoi. Zresztą nie ma co gęby strzępić, toć jedzie już. – Wskazał dłonią sylwetkę jeźdźca, wyłaniającą się właśnie zza kępy krzaków.

– Nie wiem jeno, po co mu było wracać do tego dolmenu – mruknął pod nosem podkomorzyc. Usłyszał go tylko Twardosz.

„Jegomość i ja coraz częściej to samo myślimy” – przemknęło mu przez głowę.

Przed paroma miesiącami, gdy młody markiz de Lara podzielił się z podkomorzycem niepomyślną wieścią z Saragossy, panu i słudze równocześnie przyszedł do głowy ten sam pomysł. Skoro don Luis i jego wielmożny rodzic nie chcą, by ich indiański niewolnik trafił w ręce Inkwizycji, to pewnie nie pogardzą trzosikiem, którego zawartość wydaje tak miły dla ucha brzęk. A Krasocińskim zapewne się przyda jeden więcej człowiek obdarzony szermierczym talentem. Obaj przy tym – i pan, i jego rękodajny – pomyśleli o Boninim, który z takich samych powodów musiał niedawno uchodzić z pałacu w Starym Krasocinie. Już choćby z tego powodu wytrawny indiański fechtmistrz zdawał im się szczególnie bliski. Dlatego też pan Tomasz bez wahania postanowił potrząsnąć kiesą.

I jak się okazało, młody markiz taką właśnie propozycję zamierzał panu Tomaszowi przedłożyć; dobili więc targu w dwa pacierze, po czym służba podkomorzycy jęła spieszenie pakować sepety...

A Miguel, na odchodnym obdarzony przez Hiszpana ognistym karozem, nie wyruszył wraz z nimi. Miał ich doścignąć na przełęczy. Twierdził, że ma jeszcze coś do załatwienia w okolicach miasteczka Villahermosa. Pojechał tedy załatwiać; oni tymczasem dotarli na przełęcz, a potem – za sobą mając Hiszpanię, przed sobą zaś Francję – kulili się z zimna w podmuchach mroźnego wiatru i czekali.

Wtedy też niepotrzebnie się niepokoił; Indianin dołączył do orszaku, jak zapowiedział. Zapytany przez Jurka, czy przypadkiem nie spotkał po drodze inkwizytora, z kamienną twarzą odrzekł:

– Chyba ducha. Trzy godzinny jazdy od Villahermosy koń zrzucił inkwizytora przez głowę i stratował, tak iż wielebny zaraz ducha wyzionął. Sługi jego zasię wiedzą jeno, dokąd jechał, ale nie wiedzą po kogo. Bo prócz niego wiedział tylko ojciec Antonio, a on tegoż dnia z samego rana do Madrytu ruszył. Zaś onego człeka, co podsłuchał i markizowi doniósł, nie liczę, bo pary z gęby nie puści.

Wtedy Jurko i jego pan znowu pomyśleli równocześnie: „Przecie nie przyzwał na pomoc owych demonów z Nowego Świata? Boć gdyby one takie potężne były, toby Cortez w pięć secin żołnierza całej potęgi imperium nie zmógł!”

Obdarzony bystrym okiem Twardosz zauważył jednak, że Miguel nigdy nie rozstaje się z mieszkem sporządzonym z jakiegoś dziwnego płótna – pewnie z owej kolczastej agawy – a tak małym, że mieścił się w dłoni. I że trzyma go tak, by w każdej chwili móc doń sięgnąć. Że nosi w nim coś jakby ziarenka drobniutkiego grochu. I że oprócz niego ma jeszcze drugi, skórzany...

A czy teraz powrót Miguela po własnych śladach miał coś wspólnego z rosnącymi wokół dolmenu ziołami, którym Indianin wcześniej uważnie się przyglądał z wysokości siodła?

Myśląc o tym wszystkim, Jurko Twardosz nawet nie zauważył, jak znaleźli się u drzwi karczmy. A kiedy weszli do środka, stanęli nagle jak wryci, nie wierząc własnym oczom – te w półmroku łatwo mogły wziąć pozór za prawdę – i nade wszystko uszom.

– I cóż się waść tak dziwujesz, panie Feliksie? – perorował tęgi mąż odziany w najprawdziwszy kontusz. – Pewnie, mogła się święta Anna objawić prawemu szlachcicowi, nie byle chłopu... Jeno weź acan pod rozwagę, że matka Panny Przenajświętszej miała zięcia cieślę...

– I cóż z tego, że cieślę? – zdziwił się młodszy odeń mężczyzna, odziany jak żołnierz autoramentu węgierskiego.

– A ówże Iwo, choć to podłej kondycyjej człek – kontynuował szlachcic w kontuszu – w ciesiołce jest osobliwie zmyślny i z tej przyczyny święta Anna go sobie upodobała. Gdyby zaś objawiła się urodzonemu, ten by musiał do budowy kaplicy cieśłów najmować i wiele czasu by zmitrężył, nim by sposobnych znalazł.

– Ot, waszmości nic jeno krotochwile się trzymają, panie Onufry – mruknął ten drugi, po czym zanurzył wąsy w kielichu.

Podkomorzyc Krasociński nie powstrzymał cisnącego mu się na usta okrzyku „A wszelki duch Pana Boga chwali!” i żwawo podszedł do stołu przybyszów z Polski.

– A cóże waszmościów aż na krańce Europy przygnało? – zapytał zdziwiony, choć równocześnie uradowany spotkaniem. – Waćpana, panie Onufry, zawsze miałem za domatora...

Zagadnięty wstał i kordialnie poklepał pana Tomasza po ramieniu, przyciskając go mocno do pokaźnego brzuszyska.

– Ot, Tomaszu, zachciało mi się na starość francuskich win pokosztować, a *saporem* sprawdzić, by się przekonać, czy w rzeczy samej takie dobre, jak wieść o nich niesie.

– Gdzie tam waćpanu do starości jeszcze, panie Onufry! – zaprotestował podkomorzyc.

– A to – brzuchaty wskazał towarzysza – pan Feliks Szyszkowski herbu Świnka, któremu sam król jegomość pewną sekretną sprawę poruczył.

Miguel od razu wzbudził taką ciekawość pana Onufrego, że podkomorzyc musiał odłożyć na później pytania o wieści z kraju.

– Patrzcie go! – dziwował się grubas. – Z Indyj Zachodnich! Tedy ambaje plotą poniektórzy, iż tameczni ludzie głowy pod pachami noszą! Oni zasię zwyczajnie, na karku... A to i słusznie, bo im wyżej, tym słabiej wino do łba uderza i więcej go wypić można *ad animum confirmandum*. Jeno do Tatara trochę podobny, bardziej nawet niż pan Feliks, choć on prawy Tatarzyn...

– Tatarzynem dziad mój był, mości Onufry! – zaprotestował Szyszkowski. – A jam polski szlachcic z Mazowsza! Babka z Korwinów była, a o matce mówić waści nie muszę...

– A nie musisz acan, toć pan Tomasz słyszał, że siostra stryjny mojej Klementyny Szyszkowska się nazywała, tedy się pewnie domyślił... Świeć, Panie, nad ich duszami, bo obie były niewiasty zacności wielkiej... – Tu szlachcic się wzruszył i łzę uronił, po czym skwapliwie ją wyłogiem kontusza wytarł.

Słuchając pana Onufrego, Jurko Twardosz zauważył nagle człowieka ubranego w strój podróżny, wchodzącego do izby krokiem ostrożnym i jakby skradającym się. Nieznajomy zatrzymał się tuż za progiem i przez chwilę chyba kogoś wypatrywał, po czym znikł niby duch. Siedzący obok Jurka Miguel też zauważył przybysza. Cały czas przyglądał mu się spod zmrużonych powiek, a gdy tamten wyszedł, na mgnienie oka zmarszczył brwi, tak że zarysowały bruzdę na czole skrytym do połowy czarną grzywą. Czyżby zauważył coś

niepokojącego?

Jurko aż przymknął oczy, by się skupić, ale nic z tego nie wyszło. Osobnik poruszający się ostrożnym, kocim krokiem wydał mu się całkiem zwyczajny: ot, przyszedł do karczmy, bo się spodziewał obaczyć jakiegoś znajomka, a nie znalazłszy, poszedł sobie...

Rękodajny podkomorzycyca spojrział ukradkiem na Indianina. Ten zdawał się zaprzątnięty bez reszty własnymi myślami: zmrużone skośne oczy, mars na czole, ściągnięta twarz. Przez chwilę siedział bez ruchu, a potem sięgnął do jednego z dwóch mieszków, z którymi nigdy się nie rozstawał – tego z płótna z agawy. Gdy wydawało mu się, że nikt nie patrzy, ruchem szybkim jak myśl wrzucił sobie do ust coś małego jak ziarno pszenicy albo okruszyna chleba. Jego grdyka poruszyła się – prawie niedostrzegalnie, zupełnie jakby przełknął ślinę.

– A wiesz, Tomaszu – podjął tymczasem Onufry – że gdyby nie kasztelan Bogusławski, którego starego pana Szyszkowskiego wielką estymą darzył, pan Feliks pewnie by pokłony ku Mekce bił, a na Koran się kłął?

– O, jakże to? – zdziwił się podkomorzycyca.

– Bo dziad pana Feliksa, z ordy uszedłszy przed zemstą chańską, z instygacyjnej onego Bogusławskiego indygenat otrzymał. Umyślił tedy król Batory, że mu herb patrona nada, a Bogusławscy, jako waszmościom wiadomo, Świnką się pieczętują. Krzyw był na to pan Szyszkowski, bo dla mahometanina świnia zwierzę nieczyste, ale nijak mu było odmówić. No to wydumał, że się ochrzci, a wtedy już go świnia brudzić nie będzie.

– Tfu! Słuchać hadko! – obruszył się Szyszkowski. – By nie amicycja nasza, trzeba by nam było na szable... Tak sobie z herbu dworować! I to lepszego niżli waścine Wczele, które w herbarzu znaleźć trudno...

– A nie bluźniłbyś waść, bezbożniku!

– Panie Onufry – wtrącił się w te przekomarzanki Krasociński – toż waść nie pozwoliłeś, by pan Feliks dokończył, co zaczął. A miał nam opowiedzieć, co go do Francji przywiodło. Bo, jak rozumiem, nie w pierwszym rzędzie oddanie czci świętej Annie?

– Do świętej Anny z dawien dawna mam wielkie nabożeństwo – Szyszkowski uśmiechnął się – aliści tą razą pod pozorem peregrynacyjnej inny cel się skrywa. Miałem się wywiedzieć po cichu, nim król Władysław *formaliter* poselstwo wyśle, co by się dało zrobić dla uwolnienia królewicza Jana Kazimierza.

– Uwolnienia?! – zdziwił się podkomorzycyca.

– A, prawda, pewnie o tym nie rozprawiają w austeriach, toś acan nie słyszał. Wybrał się był Jan Kazimierz do Madrytu, gdzie mu król Filip ofiarowywał godność stosowną do urodzenia... aliści droga mu przez Francję wypadła. Waszmość, nie ubliżając, jesteś mało znaczny *peregrinus*, to podejrzeń kardynała nie wzbudzasz. Za to królewicz zdał mu się tak groźnym, że Richelieu uwięzić go kazał...

– W jakowymś Koźlim Porcie, tfu, na psa urok! – wtrącił się Onufry.

– I do wypuszczenia mało skory się zdaje – dokończył pan Feliks. – Tedy wyruszył, od króla jegomości zobligowany, by tu na miejscu *furtim* sprawę wybadać. Potem zaś król w poselstwie kogoś znaczniejszego pchnie, by przyjąć bratu w sukurs.

Dalszego ciągu rozmowy – o tym, co w Rzeczypospolitej się przydarzyło w ostatnich czasach, o zamknięciu Akademii Rakowskiej, o buncie Pawluka i innych podobnych sprawach – Jurko słuchał coraz bardziej nieuważnie. Francuskie wino jednak szło do głowy. Nie tylko do głowy zresztą; dwa razy już rękodajny pana podkomorzycyca musiał wstawać i odchodzić na stronę, by pęcherzowi ulżyć... To go zresztą do picia wina nie zniechęciło. Przy kolejnym

pucharku spostrzegł jednak, że dzieje się coś dziwnego: po jego opróżnieniu nie poczuł się bardziej pijany, wprost przeciwnie – trzeźwiejszy zgoła. Zdziwiony takim obrotem sprawy, z namysłem skosztował trunku: nie, nic nie wskazywało na to, by karczmarz tym razem postawił na stole wodę miast wina...

I przysiągłby, nie jeno na patronkę pobliskiego sanktuarium, ale na wszystkich świętych w całym kalendarzu, że Miguel przypatruje mu się z rozbawieniem, a na jego wargach igra psotny uśmiech.

Tymczasem do wnętrza karczmy ponownie zajrzał ten sam osobnik ubrany w strój podróżny. Jurko był pewny, że nieznajomy wymienił krótkie jak błyskawica spojrzenie z mikrym, niepozornym człowieczkiem siedzącym w kącie. W chwilę później konus wstał, rzucił karczmarzowi monetę, po czym chyłkiem ruszył do wyjścia.

Miguel odprowadził go spojrzeniem, a potem niespodziewanie wziął na siebie obowiązki podczaszego. Uniósł dzban przyniesiony przez służebną i sprawnie napełnił wszystkim puchary, począwszy od pana Onufrego, a kończąc na Jurku, jako najmłodszym i mniej od tamtych szacownym.

Przyszła w końcu pora, by opuścić oberżę. Okazało się przy tym, że kwatery panów Onufrego i Feliksa znajdują się także na drugim końcu Auray, o rzut buzdyganem od domu wynajętego przez pana podkomorzycy. Tak więc wypadło im jechać razem. Konie powitały wyprowadzenie ze stajen radosnym rżeniem; widocznie sprzykrzyło im się stanie u żłobu, zwłaszcza że – jak zauważył Onufry – o nich nikt nie pomyślał i wina niebożętom nie nalał. Ruszyli więc wszyscy rażno gościńcem, za latarnię mając księżyc w pełni.

W połowie drogi, na zakręcie, obok długich, nieruchomych cieni drzew wyrosły nagle inne. Też długie, ale aż nadto ruchliwe.

A potem był tętent kopyt i szczęk żelaza.

Ich tylko pięciu – a tamtych bodaj jedenastu, wszyscy konno. Pięć szabel przeciwko siedmiu rapierom, trzem nadziakom i jednemu czekanowi – albo może na odwrót. Zajadła rąbanina w niepewnym świetle księżyca. Stłumione francuskie przekleństwa i rżenie wierzchowców. Zimne błyski stali. I ujadanie psów w pobliskiej wsi.

Kogoś zrzucił koń. Nie było czasu patrzeć: swój czy wróg. Przeciwnicy mijali się w pędzie i zawracali, by nie mieć nieprzyjaciela za plecami. Czyjś wierzchowiec potknął się i runął na ziemię, przygniatając jeźdźca. To któryś zbój, chyba ten z czekanem. Jakiś rapier zafurkotał w powietrzu, wytracony szablą Miguela. Dwóch napastników zważyło się na gościniec...

A potem nagła cisza. Martwi lub nieprzytomni zbóje na bretońskiej drodze, końskie truchło i zimny księżyc na niebie.

* * *

Lewe ramię pana Feliksa, owinięte bandażami, z trudem mieściło się w rękawie. Panu Onufremu, który paskudnie oberwał w łeb czekanem, zakrwawiony opatrunek zakrywał całe czoło i brwi; podkomorzycy dworował sobie zeń, winszując stania się godnym własnego herbu. Pozostali uczestnicy nocnej przygody wyszli z potyczki bez szwanku. O zbójcach, którzy się na nich zaczaili przy gościńcu, nie można było tego powiedzieć. Nad ranem ludzie przewota, powiadomieni przez okolicznych chłopów, znaleźli w miejscu starcia cztery trupy i siedmiu rannych, o których nie wiadomo było, co postanowić: powiesić od razu czy może leczyć, by

zawiśli na szubienicy w pełni sił?

Prewot zresztą wielce się uradował, a należało przypuszczać, że i radość seneszala będzie nie mniejsza. Oto wśród rannych rozpoznano samego Georgesa Lacaille'a, który od pięciu już lat zbójował po gościńcach, a to w Wandei, a to w Bretanii, a to w Normandii, i do tej pory nikomu nie udało się go wytropić. Na przybyszów z Polski spłynął więc nie lada splendor, wart blizny na czole albo na lewym ramieniu.

Trzeba przyznać, że fortuna im sprzyjała. Wracali w dobrych nastrojach, nie spodziewając się napaści, wypiwszy przedtem tyle wina, że w żaden sposób nie mogli się doliczyć opróżnionych dzbanków. Jakim sposobem udawało im się parować sztychy zbójceckich rapierów i zadawać celne ciosy? Polskiemu szlachcicowi nie uchodziło zadać głośno takiego pytania, bo polski szlachcic rodzi się z szablą w ręku – ale od dobrych paru godzin wszyscy się zastanawiali nad tą zagadką i nikt nie znajdował odpowiedzi. Jurko marszczył brwi i zerkał na Miguela, ale nic nie mówił. Wiedział, że cokolwiek powie, tamten zaprzeczy.

Messer Girolamo Bonini, zanim chyłkiem opuścił Stary Krasocin, wspominał coś o jakimś kordiale, którego parę kropel starczy wpuścić do wina, by – wciąż czując radosne upojenie – odzyskać jasność umysłu i pewność ręki. Powiadał, że już lada dzień będzie umiał ten specyfik sporządzić, że już ma potrzebne do tego ingrediencje... a potem, niestety, musiał uchodzić, zabierając sekret do Niemiec.

Czyżby miedzianolice plemiona Nowego Świata potrafiły jeszcze więcej?

Tymczasem pan Onufry po raz trzeci tego dnia zaczął się zachwycać szermierczą sprawnością Indianina.

– Trza by ci, Michałku – mówił, krzywiąc się, bo rana na czole znów mu zaczęła dokuczać – do chorągwi jakiej się zaciągnąć, jak tylko na ziemiach Rzeczypospolitej staniesz. Takie talenta nie powinny się marnować w byle burdach na gościńcu. Choć, owszem, zbója usiec godna rzecz i chwalebna, a Panu Bogu miła.

– A ma owe talenta nie jeno do szabli a szpady – zauważył pan Feliks. – Toż słyszysz waćpan, jak się naszego języka wyuczył! Ileż to? Wszystkiego cztery miesiące z imię Tomaszem wędruje, a gada, jakby gdzie nad Wisłą się rodził!

– Co zaś się tyczy żołnierskiego rzemiosła – wtrącił Jurko – on nie jeno do rąbania a kłucia zdatny. Bo i zwiadowca byłby zeń przedni. Toć od razu spostrzegł owych dwóch, co ich zbójce na przeszeptu do oberży przysłali, i zgadł, co za jedni. Nie tak-że było, Miguel?

Indianin skinął głową w milczeniu.

– Jużci pozwolić nie można, by się talent marnował, skoro człek *in omnibus rebus militaribus* biegły jak mało kto – przytaknął podkomorzyc. – Jeszcze, nie daj Boże, do Kozaków przystanie, a z nimi, jako słyszę, teraz już nie zgadniesz: przy królu jeszcze stoją czy już zbuntowani? Bo choć, nie chwaląc się, ta ręka – uniósł w górę prawicę – dziadowej batorówce ujmy nie przynosi, to nie chciałbym z nim na ostre iść. Zasię do piechoty go szkoda, bo i konno wybornie jeździ. Rzekłbyś, iż się w siodle urodził.

– Jeno nijak nie pojmuję, Michale, jakżeś się uporał z tamtymi dwoma, co mię od pleców zaszli? – Pan Onufry w ostatniej chwili cofnął dłoń, którą zamierzał podrapać się po łysinie, co w obecnym stanie rzeczy okazałoby się mało przyjemne. – Widziałem przecie, ścinałeś się wtedy z tym drabem w dziurawym kapeluszu...

Miguel uśmiechnął się po swojemu, samymi kącikami ust, ale nie odpowiedział. Za to Jurko wiedział, w czym rzecz. Kątem oka zauważył dwa szybkie jak myśl ruchy lewej dłoni i towarzyszące im ulotne błyski światła odbitego w gładkiej, wypolerowanej powierzchni.

– W prawicy zygmontówka pana podkomorzycy, w lewicy zaś nożyki jakoweś. – Roześmiał się. – Małe, ale do serca albo do gardła drogę znajdują. Pokażcie nam, Miguel, owe ostrza straszliwe! Wiem przecie, żeś je wyciągnął z powrotem, bo nieboszczykom nieprzydatne, a i zbrojni pana przewota ich pewnie nie potrzebują.

Indianin pogrzebał w sakwie i wyciągnął dwa niewielkie przedmioty, których zaostrome końce ledwie wystawały z zaciśniętej dłoni.

– Co to jest? – zdziwił się Feliks Szyszkowski.

Miguel położył na stole kawałki kamienia, mieniącego się wszystkimi barwami tęczy.

– To obsydian – wyjaśnił. – Moi rodacy w Nowym Świecie nie znali żelaza ani miedzi, a dobrego miecza ze złota nie wykujesz. Walczyli więc zawsze bronią kamienną. W obsydianowe miecze uzbrojeni byli żołnierze mojego przodka, cesarza Montezumy...

Pan Feliks nagle palnął się zdrową ręką w czoło.

– Prawda, toć już mówiłeś mi wać, mości podkomorzycu, że sławny Montezuma był jego praszczurem! A to okurencja wielce pomyślna...

– Co acan masz na myśli? – zapytał Onufry.

– Zgodzisz się waćpan, że szlachcic, choćby wzięty w jasyr i do tureckiej galery przykuty, szlachcicem być nie przestaje?

– Juźci prawda – zgodził się zapytany. – I nie jeno on, bo i potomstwo w niewoli zrodzone do szlachectwa ma prawo. Tak przynajmniej twierdził jeden jurysta, co zęby zjadł na konstytucyjach.

– Mój zasię dziad – dodał pan Szyszkowski – potomkiem Tochtamysza był. Skoro tedy z chańskiego rodu się wywodził, tedy szlachcie równy...

– Jednym słowem, myślisz waćpan o indygenacie. – Podkomorzyc w końcu zrozumiał, do czego Szyszkowski zmierza.

– O indygenacie – potwierdził sługa królewski. – Jeśli się Michał dla Rzeczypospolitej zasłuży, mając przy tym protekcją...

– Byle jeno się Gorzelicki nie dowiedział, bo będzie bruździł – zauważył Jurko. – A cześnik szkodzić potrafi.

* * *

Szczypta proszku, która kiedyś była niepozornym brunatnym grzybkiem ukrytym wśród mchów zarastających skalne szczeliny, spłonęła w ogniu, napełniając komórkę wonnym, drażniącym nozdrza dymem. Stało się to za ledwie przed chwilą, ale Miguel już czuł jego działanie. Gdyby miał w tej komórce zwierciadło, zobaczyłby w nim pobladłą twarz, oczy o rozszerzonych źrenicach, strużkę potu spływającą po czole w kierunku nasady nosa... Zwierciadła jednak nie miał. Na razie zresztą nie było potrzebne; może kiedyś. Teraz wystarczyło mu to, co czuł: niezwykłą jasność myśli i poczucie siły.

Pan Tomasz i jego rękodajny rozmawiali ścisłymi głosami o dwie izby dalej, Miguel słyszał jednak każde słowo. Słyszał nawet, jak w stajni jego czarny koń przestępuje z nogi na nogę. Słyszał trzepot skrzydeł wróbla, gdy ten zerwał się do lotu, porzucając gałąź jabłoni, na której przedtem siedział. Rozpoznawał te wszystkie dźwięki, ogarniał wyostrzonymi zmysłami całe otoczenie – a równocześnie jakimś innym, dodatkowym zmysłem sięgał dalej i głębiej, ku temu, co niewidzialne.

I wiedział, co za chwilę się wydarzy. Wystarczająco dobrze znał tę, którą nazywał Panią.

Zmrużył oczy. Ściana naprzeciwko zafalowała i odpłynęła w dal, nie znikając jednak z pola widzenia. Bliżej, tuż przed sobą Miguel zobaczył nieistniejącą już osadę w górskiej dolinie – miejsce, w którym spędził pierwsze dziesięć lat życia; miejsce, które jego rodacy uważali za niedostępne dla brodatych najeźdźców zza morza. Widział teraz plac pośrodku osady, wypełniony odzianym świątecznie tłumem. Ludzie stali stłoczeni ciasno, głowa przy głowie. Przepęniało ich radosne oczekiwanie. Miguel od razu domyślił się, na co patrzy. Już przecież raz przeżył tę wielką chwilę.

Oto widzi samego siebie z zewnątrz. Ma dziesięć lat, Europejczyków zna tylko ze słyszenia – i jeszcze nie jest Miguelem. Nosi imię jednego ze swoich wielkich przodków: Tlahuitoltzin. Siedzi na krześle o wysokim, rzeźbionym oparciu, obok swojego ojca Axayacatla, dostojnego tlatoaniego osady. Siedzi i patrzy. Widzi piętnastoletnią dziewczynę tańczącą na placu na cześć wielkiej Coatlicue – Matki Słońca, Księżycy i Gwiazd.

Tancerką jest jego siostra Miyahuaxihuitl.

Córka tlatoaniego jest piękna i porusza się z gracją motyla w locie. Jej twarz promienieje radością. Nie patrzy na tłum, widzi tylko posąg bogini odzianej w suknię z węży i naszyjnik z ludzkich serc i głów, jaguarzymi pazurami u stóp trzymającej w twardym uścisku grubo ciosany blok bazaltu. Wizerunek tej, od której pochodzi wszystko, co żyje. Tej, do której wszystko powraca.

Miyahuaxihuitl tańczy, by pozyskać łaskę bogini dla plemienia, któremu zagraża niebezpieczeństwo. Wraz z nią wiruje w tańcu ośmiu wojowników zbrojnych w obsydianowe miecze.

Taniec staje się coraz szybszy. Jak trzepotanie skrzydeł kolibra. Radość na twarzy córki tlatoaniego zamienia się w ekstazę.

A potem z tym samym wyrazem uniesienia w szeroko otwartych oczach spogląda w górę, w kamienne oblicze Matki Słońca, Księżycy i Gwiazd, nieruchoma już głowa Miyahuaxihuitl, leżąca w kałuży krwi u szponów jaguara.

– Teraz tylko w twoich żyłach płynie krew wielkich tlatoque – słyszy ten, który pięć lat temu był Tlahuitoltzinem. – Wiesz, co powinieneś zrobić, Michale.

Coatlicue jeszcze przed paroma miesiącami wydawała synowi Axayacatla rozkazy w dźwięcznej mowie Cervantesa; teraz mówi językiem poety, którego pan Tomasz nazywa Janem z Czarnolasu. Jest zwiewna jak dym i tak przezroczyta, że poprzez jej postać widać nawet zacieki wilgoci na ścianie – ale prawdziwsza niż kamienne ściany izby.

Tlahuitoltzin-Miguel-Michał schyla głowę z pokorą.

– Wiem, Pani.

– I pamiętaj: kiedyś, przed wiekami, był Tenochtitlan, Texcoco i Tlacopán...

Michał rozumie. Wciąż słyszy rozmowę toczącą się o dwie izby dalej.

– Będę pamiętał, Pani.

4. Nowy Krasocin. Dwór Pod Dębami

Podkomorzyc, który przejął był Nowy Krasocin, by się wprawiać w zarządzaniu majątkiem, właśnie odbył długą rozmowę z ekonomem przysłanym przez ojca. Józef Radlicz zapoznał młodego pana ze stanem rzeczy, powiedział wszystko, co należało, *de gais, boris et graniciebus, kmetonibus, et omnibus rebus, et quibusdam alijis* – po czym odjechał do

swoich zajęć. Teraz oddalał się aleją pięćdziesięcioletnich dębów, bynajmniej nie popędzając srokacza. Koń zresztą zdawał się mało przydatny do szybkiej jazdy i wcale nie przypominał dobrego szlacheckiego wierzchowca. Bo też przy Radliczu nawet Jurko uchodzić mógł za posesjonata całą gębą; ekonom z ostatniej gołoty herbowej się wywodził, powiadano nawet, że przez lat parę u kupca Dawidowicza we Lwowie służywał... Może i prawda to była, bo gdzież, jak nie u kupca, mógł nabrać takiej biegłości w obchodzeniu się z dukatami.

Podkomorzyc odprowadził ekonoma spojrzeniem i odwrócił się od okna.

– Powiadasz, że panna Agnieszka takż jest wielce nadobna? – zwrócił się do Jurka.

Twardoszowi rozbłysły oczy.

– Przecudna! – westchnął. – Niczego, ma się rozumieć, pannie Halszce nie odmawiając. I mniemam, że mi sprzyja... chociaż deklarować się nie deklarowała, bom i ja wprost nie pytał.

– I mnie, i tobie trza z opiekunem obu panien dyskursować, bo sieroty są... – Pan Tomasz podrapał się po głowie.

– Czyli z panem Czarnockim, któren jest klientem imć podkomorzego i nic *contra desiderium* jego nie uczyni – zauważył Jurko.

Podkomorzyc westchnął.

– Co do Halszki, ojciec mój pewnie okoniem nie stanie, aliści rad nie będzie. Napomknąłem mu o tym mimochodem, ot, dwie słowie ledwo... Nie odrzekł ni tak, ni nie. Atoli ukontentowania znać po nim nie było.

– Bo i ekspektatywy na posag nie ma – mruknął Twardosz. – Toż Sokolski był chudopachołek, dwie wioszczyny za ledwie i trzy działy nie większe od mojego. Bez ochyby mnie z Agnieszką szybciej pójdzie, bom panu podkomorzemu ni brat, ni swat, tedy zajedno mu, czy mi substancyjej przybędzie, czy zgoła ubędzie.

– Nie bój się, Jurko, przybędzie ci. – Krasociński roześmiał się. – Niech jeno ojciec mój wygra w końcu proces z cześnikiem o stawy w Kiełpiach i bór nad Krasotką. – Wskazał dłonią kierunek, jakby Twardosz nie wiedział, o który bór jego panu chodzi. Kiełpi, leżących w stronie zgoła przeciwnej, już ręką nie pokazał. – Będzie tam nowa wioska na surowym korzeniu lokowana, ma się nazywać Poręba Krasocińska...

Podkręcił węża i dokończył:

– A może inaczej: Poręba Twardoszwowska, co?

– Do końca życia jegomości dłużnikiem będę! – rozrzewnił się Jurko.

– Jeno mnie po rękach nie boćkaj... Aha, byłbym przepomniał: co ci to Miguel powiedział, jakeśmy ze Starego Krasocina wracali? Że co by chciał?

– Zwierciadło z wieży Boniniego – przypomniał rękodajny.

Podkomorzyc wstał i zaczął się przechadzać po izbie.

– Ciekawość, po co mu ono? I powiadasz, że chciałby je mieć jeszcze przed świętym Mateuszem?

– Ano jużci. Pewnie dlatego, że to tuż przed jego imieninami? Ledwo tydzień i jeden dzień...

Pan Tomasz zatrzymał się nagle.

– A może dlatego, że ekwinokcjum? Wszakż to niezwyczajne zwierciadło, skoro go Girolamo używał. Zasię nasz Michałek... Pewnie nie bez kozery inkwizytor jechał poń do Villahermosy...

Jurko wzruszył ramionami.

– Bonini złota z ołowiu zrobić nie zdołał, Miguel chyba też nie może. A jeśliby jaki urok

rzucić potrafił, to i o to mniejsza... byle jeno w cześnika trafił!

– Juźci świat byłby lepszy, gdyby psubrata owe meksykańskie demony do czeluści porwały
– zgodził się z nim podkomorzyc. – Najlepiej z naszymi pospołu. Borutą, Rokitą albo Mefistofeilesem.

* * *

Miguel poklepał karego po pysku. Koń przejechał szorstkim jęzorem po jego dłoni, a potem czujnie zastrzygł uszami. Zaniepokoiło go swarliwe „pit-pi-lit” kuropatwy spłoszonej przez żeńców, którzy właśnie ruszyli z sierpami na ostatni zagon jęczmienia. Dźwięk się nie powtórzył, więc koń, uspokojony, pochylił głowę i zajął się świeżą trawą na miedzy. Na szczęście w ogóle nie zwracał uwagi na zagon obsiany ziarnami kukurydzy, które pan podkomorzyc przywiózł z Aragonii.

Od tamtego dnia, gdy Miyahuaxihuitl tańczyła na cześć Pani w Wężowej Sukni, kukurydza już zawsze kojarzyła się jej młodszemu bratu z krwią. Ofiary składane bóstwom nazywane były Krwawiącymi Kaczanami Kukurydzy.

Indianin rozejrzał się. Nie, nikt nie patrzy, żeńcy zajęli się swoją robotą; jeśli ktoś go widzi, to z daleka, więc niczego nie zauważy. Tak lepiej, bo nie wiadomo, kto i o co może podejrzewać zamorskiego cudaka o skośnych oczach... Kto zaś wymknął się hiszpańskiej Inkwizycji, ten już zawsze będzie zważał na każde słowo i gest.

Przykucnął i ujął w dłoń wybująły pęd chwastu rosnącego w bruździe obok miedzy. A potem drugi, zupełnie innego gatunku. Nie znał tych roślin, ale wiedział, czego po nich oczekiwać, do czego ich użyć; za oceanem, w rodzinnej dolinie wśród gór, nauczono go rozpoznawać ukryte właściwości wszystkiego, co czerpie z ziemi życiodajne soki – a on okazał się wyjątkowo pojętnym uczniem, dzięki łasce, jaką darzyła go Pani w Wężowej Sukni. Teraz też poznał natychmiast, do czego mogą mu się przydać te dwa badyle, dla tutejszych bezwartościowe.

Obwąchał liście i roześmiał się bezgłośnie. „Tutejsze znachorki mogłyby się ode mnie nauczyć dziesięć razy więcej niż od swoich babek i prababek” – pomyślał. Rozejrzał się jeszcze raz, po czym zerwał obie rośliny i schował za pazuchę.

– No, jedziemy dalej – powiedział, kładąc dłoń na karku konia i zwinnie wskakując na siodło.

Ruszył stępa sandomierskim gościńcem, krok za krokiem oddalając się od Dworu Pod Dębami. Minął niewielki stawek o brzegach zarośniętych trzcinami i sitowiem – tak mały, że gdyby grunt wokół niego nie był zbyt grząski, by się odbić, można by go łatwo przeskoczyć. Ten widok przypomniał Indianinowi dzieje zadawnionej wrogości pomiędzy rodami Krasocińskich i Gorzelickich; tam też poszło o staw...

Na razie nic nie zapowiadało, by zwaśnione familie kiedykolwiek się ze sobą pogodziły. Taki stan rzeczy mógł Miguelowi zaszkodzić, bo cześnik to wróg wielce niebezpieczny. Ale też był w tym wszystkim sposób na przewyciężenie trudności. Zawziętość Krasocińskich da się wykorzystać.

Miguel znajdował się na szczycie płaskiej wysoczyzny, z której rozciągał się widok na całą okolicę. Gdy się obejrzał, widział na zachodzie ciemną plamę świętokrzyskiego boru. Na jej tle bieliły się baszty zameczku w Gorzkowie – siedziby cześnika Gorzelickiego, odwiecznego wroga Krasocińskich. Daleko przed sobą miał dolinę Wisły. Po lewej stronie, w połowie

drogi między szczytem wzgórza a lasem na linii widnokręgu, spomiędzy złotych łąków i szarzejących ściernisk, wyrastała kępa zieleni z małą plamką bieli pośrodku; to był dwór w Czarnotach, rodowe gniazdo Czarnockich herbu Odrowąż...

Zaś od strony Czarnot nadjeżdżała właśnie kolaska, a obok niej dwóch jeźdźców. W starszym z nich Indianin poznał pana tamtejszych włości, Hipolita Czarnockiego, wsławionego niezwykłym męstwem pod Trzcianką. Od razu cofnął konia na sam skraj gościńca; już w Hiszpanii nauczył się nie wchodzić w drogę szlachetnie urodzonym, z konieczności zapominając o własnym pochodzeniu. Gdy jeździec zrównał się z nim, Miguel nie omieszkął zdjąć plecionego ze słomy kapelusza, opuszczając go niemal na wysokość strzemienia. Szlachcic w odpowiedzi jeno niedbale skinął głową.

„Może przyjdzie czas, kiedy nie będę musiał ci aż tak czapkować, panie Odrowąż – pomyślał Indianin. – Niech tylko Krasociński i Szyszkowski znajdą drogę do królewskiego ucha. Może tymczasem na jaką wojnę ruszę, bo król jegomość na Turka się wybiera, a przeciw w szabli lepszy od co drugiego tutejszego pana brata... Wtedy jeno dlatego pierwszy czapki uchylę, żem młodszy i siwemu włosowi winienem respekt, a nie dlatego, żem dla ciebie plebejusz”.

Trzeba tylko usunąć przeszkody. A przeszkodą jest wszystko, co szkodzi Krasocińskim. Jeśli jednak pomoże Matka Słońca, Księżycy i Gwiazd...

Czy podkomorzyc i jego rękodajny potrafią tę pomoc przyjąć? Czy wystarczy im sił?

Na razie jednak Miguel nie miał wiele czasu na takie rozmyślenia, bo oto musiał jeszcze raz sięgnąć do kapelusza. W oknie kolaski zobaczył dwa białe liczka, opromienione aureolą złotych włosów, malowniczo a niesforne wymykających się spod haftowanych nałęczek. Spojrzały nań oczy jak chabry... Ukłonił się więc potomek Montezumy jeszcze bardziej uniżenie niż przedtem, bo wobec szlachetnie urodzonych dam, choćby i niebogaty, należało się zachować dwornie, nie jak jaki gbur – nawet jeśli się było księciem krwi.

Miguel wiedział, dokąd obie panny jadą. Niewielki orszak zmierzał do odległego o parę godzin jazdy klasztoru benedyktynek w Ludwikowie. Życie nie rozpieszczało tych jasnowłosych dziewoi ostatnimi czasy. Najpierw zmarł ojciec Agnieszki Gursztynówny i sierotą zaopiekowali się Sokolscy. Nieco później Sokolski najpierw owdowiał, a potem sam się pożegnał z tym łożem padołem, więc i Agnieszkę, i Halszkę Sokolską zabrano do dworku w Czarnotach. I oto teraz, jakby los się zawział, owdowiał też pan Czarnocki. A nie uchodziło przecież, by panny pozostawały pod jednym dachem z dwoma samotnymi mężczyznami, zwłaszcza że obaj, i pan Hipolit, i jego syn Marcin, niemało grzeszków mieli na sumieniu: a to jakaś mieszcza zbałamucona, a to fernalowa córka... Nie było tajemnicą, że pan Hipolit oddał dwóch parobków do piechoty wybranieckiej nie z miłości do ojczyzny i króla, ale dlatego, że byli jego bękartami, więc nie chciał, by ich karbowy pędził do roboty jak zwyczajnych chłopów. Tak więc, by panny i siebie przed złymi językami uchronić, postanowił oddać je obie pod opiekę pobożnych siostrzyczek; w klasztorze miały pozostać tak długo, aż pan Czarnocki zechce je wydać za mąż.

O pannie Halszce coraz poważniej myślał pan podkomorzyc. Jurko Twardosz zaś chętnie by poprowadził do ołtarza pannę Agnieszkę...

Miguel obejrzał się. Przez chwilę śledził wzrokiem oddalający się pojazd, a potem odwrócił się i powoli, noga za nogą, nie popędzając konia, pojechał w przeciwną stronę, ku Czarnotom. Myślał już teraz o czymś innym – chociaż na swój sposób wciąż o tym samym.

Wspominał teraz opowieści o swoich przodkach, którzy po upadku Tenochtitlanu schronili

się w górach, unosząc z pożogi, niby najcenniejszy skarb, kilkuletniego chłopca zbiegłego z pałacu tlatoanich. Syna jednej z konkubin Montezumy. A oprócz niego troje młodszych odeń jeńców o jasnej skórze i włosach barwy złota.

Prapradziad Miguela miał później poślubić najmłodszą z tej trójki. Pozostali – chłopiec i dziewczynka – stali się pierwszymi w dziejach górskiej osady Krwawiącymi Kaczanami Kukurydzy.

5. Stary Krasocin. Wieża

Podkomorzyc rozejrzał się po izbie zajmowanej ongiś przez Boniniego.

– Zaduch straszny! – sapnął. – Widać, że odkąd Girolamo uszedł, nikt tutaj nie zaglądał.

– Jeno pajęczyn nie widać – zauważył Jurko. – W razie potrzeby nie byłoby czego z chlebem zagnieść i do rany przyłożyć...

Pan Tomasz przez chwilę nad czymś głęboko się zastanawiał.

– Wiesz, może Girolamo potrafił sprawić, by jego izbę pająki omijały? – powiedział w końcu. – Bo przecie, jak powiadają, *est modus in rebus*...

– Zakłębem jakim odstraszył, albo co... – Twardosz jeszcze raz uważnie zlustrował wszystkie kąty. Jednak im bardziej je lustrował, tym bardziej pajęczyn tam nie było.

– Albo medykamenta jakie znał, co swoim odorem plugastwo płoszą, choć człek ani wyczuje. Toć biegły medyk był.

Rękodajny pociągnął nosem.

– Zda mi się, że i teraz jeszcze czuć tu jakoweś ingrediencyje, z których alchemik te swoje dekokty warzył.

– W rzeczy samej, coś czuję – potwierdził po namyśle podkomorzyc. – Ale nie dziwota, wszak Bonini różne substancyje tu trzymał i wielu eksperymentów dokonywał. Jeno żeśmy tu nie na wachanie przyszli...

– Zaś aromat stoletniego tokaju wszelaki fetor zgłuszy – dokończył, śmiejąc się Jurko. – Niech jeno Wojtek z piwniczki wróci, a antałka nie rozwali na schodach. Szkoda by było.

Antałek, którego zawartość pamiętała bodaj czasy wojny kokoszej (a już na pewno Barbarę Radziwiłłównę), dotarł do wieży bez szwanku. Można było spokojnie posiedzieć w niegdysiejszej izbie alchemika, delektując się smakiem przedniego trunku i patrząc przez okno na zalany deszczem sandomierski gościniec. Bo jeśli niebiosy zesłały deszcz – to cóż zostało szlachcicowi, który w taką pogodę nie może zapolować choćby na kuropatwy? Dzban, tylko dzban.

Po pierwszym kubku pan Krasociński – wbrew temu, czego można było oczekiwać – wrócił do sprawy, która gnębiła go od samego rana.

– Źle się stało, że pan kanclerz zachorzał – mruknął, dolewając sobie szcrodre. – Leży w Ossolinie złożony niemocą, a medycy, jako ta babka, na dwoje wróżą.

– Ano, źle – zgodził się Twardosz. – Wždy Toporczyk, jako i waszmość. Znaczy, swój człek, choć panisko takie, że jeno gnij się wpół a czapką zamiataj.

– Ac tam swój – zachnął się pan Tomasz. – Nie te czasy już, gdy to, co na tarczy, tak jednoczyło, jakoby wszyscy bracią byli. Aliści pan Jerzy, nie wiedząc zgoła, co medycy dzziałają, już sukcesora sobie upatrzył, *quod si acciderit*...

– Kogóż to? – przerwał Jurko niecierpliwie i całkiem niepolitycznie.

– Imaginuj sobie, że pono Joachima Wolskiego na pieczętarza forytuje.

Rękodajny zerwał się z miejsca, przewracając krzesło.

– Joachima?! Toż to cześnika protektor!

Podkomorzyc smętnie pokiwał głową.

– Prawdę rzekłeś, cześnika protektor i dobroczyńca. Miejmy nadzieję, że nie jest to prawda, jeno baliwernie jakoweś. Bo Wolski wprowadzie jurysta tęgi, w Padwie nauki pobierał, ale przecie nie z takiego znacznego rodu, by przy hetmanach i wojewodach stawać.

– Tedy na pohybel Gorzelickim i Wolskiemu! – Jurko uniósł kubek napełniony tokajem.

– Na pohybel! – powtórzył Krasociński.

– A teraz popatrzmy na to sławne zwierciadło, co się tak uwidziało naszemu Michałkowi – zaproponował rękodajny. Jego spojrzenie, błędzące po całej izbie, padło właśnie na płachtę, którą Bonini ongiś zarzucił na pozostawione w kącie lustro. Teraz tkaninę przykrywała warstewka szarego kurzu, spod której ledwo widać było jej pierwotną barwę.

Twardosz ostrożnie ściągnął zasłonę. Zwierciadło ukazało się jego oczom w pełnej krasie. Szkło było dobre, chyba weneckie. Gdyby nie rama, rzeźbiona wprowadzie, ale sporządzona z bardzo pospolitego drewna, takie lustro stanowiłoby ozdobę każdego pałacu i każdej komnaty. Nawet tej, w której – wśród bajecznego bogactwa, przyprawiającego zdobywców o zawrót głowy – Cortez uwięził słynnego Montezumę.

Potomkowi indiańskiego władcy bardzo zależało, by je mieć. Ale dlaczego teraz? Przecież Miguel od pierwszej swojej bytności w Starym Krasocinie wiedział, że ono tam jest. A wtedy nawet nie zajrzał pod zakurzoną płachtę, zapytał tylko, co się pod nią kryje. Przypomnił sobie o zwierciadle dopiero w drodze do Dworu Pod Dębami. Ani podkomorzyc, ani jego rękodajny nie potrafili tego zrozumieć; nie wiedzieli też, po co mu to lustro – ale pan Tomasz nie widział powodu, by odmówić prośbie Indianina, a Jurkowi, rzecz jasna, było wszystko jedno.

– Postawię je tutaj – Jurko wskazał półkę na ścianie – i przejrzę się. Obaczę, co takiego panna Agnieszka w mojej gębie ujrzała, żem jednak unikał rekuzy.

– No bo z ciebie prawdziwy gładzysz. – Podkomorzyc roześmiał się. – Trudniejsze do pojęcia, żem i ja czarnej polewki nie dostał. Toć trzy krzyżyki już na karku dźwigam, co pannie Halszce mogłoby się zdać nieomal wiekiem matuzalemowym... Zaś pan Czarnocki, jako mniemam, nie dałby zgody, gdyby panny na nas krzywo patrzyły.

– Pewnie tak – potwierdził rękodajny, po czym przysunął sobie zydel i wpatrzył się w lustro. Pan Tomasz natychmiast poszedł w jego ślady.

– Nie rzeknę, by nam zwierciadło dodało urody – powiedział, podkręcając wąsa. – Aliści...

Urwał nagle i zmarszczył brwi. Dłoń na chwilę zawisła na wysokości prawego policzka, po czym bezsilnie opadła.

Jurko Twardosz, tak samo jak jego chlebodawca, w osłupieniu wpatrywał się w zwierciadło, coraz szerzej otwierając usta.

– O wciórności! – szepnął. – A cóż to?

Spojrzał na podkomorzycyca. Podkomorzyc odpowiedział takim samym spojrzeniem, pełnym zdumienia i niedowierzania, zza których wyzierał niegodny szlachcica strach.

Obaj nagle zdali sobie sprawę, że zapach, kojarzący się nieodparcie z alchemicznymi eksperymentami dawnego lokatora izby, staje się coraz silniejszy. Teraz już zdawał się wypełniać całą izbę, przesycać każdą cząstkę powietrza, każdą deskę podłogi i drobinę tynku.

Twardosz lęklawie się cofnął, odchylił do tyłu – i znów, jak przyciągnięty niewidzialnym

sznurkiem, zbliżył twarz do szklanej tafli.

– *Apage...* – wyszeptał Krasociński z pobladłą twarzą.

Nie dokończył. Tupot kroków na schodach wyrwał z transu i pana, i sługę. Czar przysł.

Jurko potrząsnął głową i zamrugał oczami jak człowiek wyrwany z głębokiego snu, po czym na wszelki wypadek z powrotem przykrył zwierciadło.

Drzwi otworzyły się. Stał w nich Błażej Kurkoć, który od lat sekretarzował podkomorzemu. Wyglądał jak zmokła kura; woda ściekająca z jego opończy zbierała się na podłodze w coraz większą kałużę.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! – wykrzyknął zdumiony Krasociński. – Cóż to, panie Błażeju, stało się coś?

– Przegraliśmy proces z cześnikiem! – wysapał sekretarz. – Pan podkomorzy będzie apelował, atoli juryści twierdzą, że ekspektatywy nie są dobre.

– Co?! Nie może być! – Pan Tomasz zerwał się z krzesła i mimowolnie sięgnął do pasa, jakby spodziewał się tam namacać szablę, a Gorzelicki stał przed nim we własnej osobie.

Kurkoć opadł na wolny stółek i zaczął zdawać relację z procesu. W miarę jak opowiadał, podkomorzyc – wbrew swojej naturze, wbrew temu, czego sam by się po sobie spodziewał – zaczynał się uspokajać. Owszem, ogarniała go coraz większa złość, ale była to złość zimna jak mróz pod Pskowem, który ongiś oblegał jego dziad. Złość, od której krew nie gotuje się jak ukrop, ale jeno szczęki się mocniej zaciskają, a umysł staje się jasny jak mroźny styczniowy dzień w samo południe.

– Tedy już wszystko wiem – rzekł spokojnie, kiedy sekretarz skończył. – Teraz idź waść się przedziać i ogrzać. My także zejdziemy zaraz, za dwa pacierze najpóźniej, o antałku nie zapomniawszy.

Błażej Kurkoć wyszedł, donośnie mlaszcząc przemoczonymi butami.

Krasociński i Twardosz przez długą chwilę spoglądali na siebie w milczeniu. Zwierciadło, znów zakryte zakurzoną płachtą, czekało.

– Nie ma nad czym deliberować – powiedział w końcu rękodajny. – Zawieźmy je od razu do Nowego Krasocina, nie czekajmy, aż będzie sposobność wrócić tu z Miguelem. On już chyba wie, co z nim zrobić. Może nawet lepiej niż Bonini.

– Ano, zabierzmy je – zgodził się z nim podkomorzyc.

Jurko zdjął płachtę i jeszcze raz spojrział w gładką tafel szkla. Tym razem już bez tego wyrazu osłupienia, jaki odmalował się na jego twarzy poprzednio.

– Na razie powieszę na swoim miejscu – powiedział i chwycił obiema dłońmi ramy z sosnowego drewna.

– Uważaj! – ostrzegł go pan Tomasz i na wszelki wypadek podtrzymał lustro, by nie upadło na podłogę.

– Nie całkiem gładkie to drewno na odwrocie, chyba sobie wbił drzazgę w palec. – Twardosz zerknął na swoją lewą dłoń i skrzywił się.

– Chwyc w innym miejscu – poradził mu Krasociński. Gdy Twardosz wykonał polecenie, podkomorzyc puścił ramy...

– A do kaduka! – wycedził przez zęby i też obejrzał lewą dłoń. W skórze serdecznego palca tkwiła gruba zadra.

– Co, jegomość też...? – zdziwił się rękodajny. – O, nawet w ten sam palec!

Powiesił zwierciadło na dawnym miejscu, a potem wyciągnął drzazgę. Pan Tomasz zrobił to samo. Oba kawałki drewna tkwiły dość głęboko; ze skaleczeń sączyła się krew.

– Do wesela się zagoi. – Podkomorzyc machnął ręką lekceważąco.

Podszedł do stołu i uniósł kubek z resztką niedopitego tokaju. Drugi, też nie do końca opróżniony, podał Twardoszowi.

– Na pohybel Gorzelickim! – powiedział po raz kolejny tego dnia.

6. Nowy Krasocin. Dąbrowa Łaszczowicka

Iznów to znane od dawna uczucie: jasność umysłu, wyostrenie wszystkich zmysłów, poczucie siły, której nikt i nic nie zdoła się przeciwstawić... W tym stanie dokonać można rzeczy niezwykłych. Nawet samojeden.

A on przecież nie będzie sam. Z dwóch powodów. Po pierwsze, taki niezwykły stan ciała i umysłu dzielą z nim ci dwaj, z którymi przed niespełna rokiem zaczął wiązać swoje nadzieje. A po drugie – doda mu sił niewidzialna obecność Pani w Wężowej Sukni.

Tamci nie wypytywali o szczegóły. Wystarczyło im, że oto pojawia się sposobność pokonania wroga, a przynajmniej zaszkodzenia mu. Twarze stężałe w gniewie, zaciśnięte usta, twarde spojrzenia – dowodziły, że nie cofną się przed niczym.

Albo prawie niczym. Może gdyby już na początku wiedzieli...

Ale nie wiedzieli. Dowiedzą się w chwili, gdy już będzie im wszystko jedno. Gdy już nie będą mogli się cofnąć. A mówiąc ściśle: gdy już nie będą mogli tego chcieć.

Bo też to było takie zwyczajne: szczypta szarego pyłu spalona w płomyku świecy, parę łyków dekoktu o mdłym, ledwo wyczuwalnym smaku, rozmazany obraz w lustrze... A krwawienie palców, skaleczonych przed kilkanaście dni, bardzo szybko ustało; podkomorzyc i jego rękodajny chyba w ogóle nie zwrócili na nie uwagi.

I oto jechali leśną drogą ku przeznaczeniu. Rozmiękła po deszczach glina mlaskała pod końskimi kopytami, zimne gwiazdy – dzieci boskiej Coatlicue – mrugały na granatowym firmamencie nieba, księżyc obojętnie przyglądał się ziemi pogrążonej w ciemności. Jeszcze chwila – i będą na miejscu, w lesie zwanym Dąbrową Łaszczowicką. A wtedy spłynie na nich łaska Pani w Wężowej Sukni. Na wszystkich trzech.

Posuwali się naprzód w milczeniu. Podkomorzyc i jego sługa zdawali się nie zwracać uwagi na otoczenie – ani na błoto pod kopytami wierzchowców, ani na las, ani na Miguela i na siebie nawzajem. Kątem oka Indianin widział poblądłe twarze i oczy o rozszerzonych źrenicach, promień księżyca raz po raz odbijał się od kropel potu perlących się na czołach, tuż nad mocno ściągniętymi brwiami. Wiedział, że on sam wygląda podobnie. Nie było to dlań niczym nowym; skutki działania proszku, którego zapas przywiózł z tamtej strony oceanu, poznał jeszcze jako dziecko. Jak również efekt działania sporządzonego wieczorem dekoktu – tego, który wypił on sam, i tego, który przygotował dla tamtych. Wszystkiego nauczył się tam, w odciętej od świata dolinie, jeszcze w dzieciństwie.

Wyjechali w końcu na rozległą polanę. Światło księżyca rozbłysło tysiącem tęczowym iskier, padając na wypolerowaną powierzchnię obsydianu. Tym razem to Krasociński i Twardosz trzymali w dłoniach indiańskie noże, które w tamtą wiosenną noc przyniosły śmierć dwóm rozbójnikom na bretońskim gościńcu.

Zsiedli z koni obok starej budy smolarzy, na samym skraju polany. Miguel zabrał się za rozpalamie ogniska, a Krasociński i Twardosz stali obok bez ruchu, czekając. W końcu płomień strzelił w górę, oświetlając krzywy dach kryty omszonym gontem, szerniałe belki

przedniej ściany i mocno wypaczone drzwi. Snop iskier zdawał się tryskać w górę aż ponad korony starych sosen, do samych gwiazd.

Miguel ostrożnie rozwinął szmaty, którymi zabezpieczył zwierciadło przed rozbiciem, a potem sięgnął do sakwy i wrzucił do ognia garść ziół. Powietrze przesycił odurzający zapach. Wdychali je pełną piersią – i czekali.

W końcu wewnątrz szopy wszczął się jakiś ruch. Dało się słyszeć szuranie, jakby ktoś przestawiał krzesło. Wreszcie skrzypnęły drzwi.

W progu budy stanęły dwie wiotkie, białe odziane postaci. Przez chwilę spoglądały w płomienie nienaturalnie rozszerzonymi oczami, a potem ruszyły naprzód, wyciągając przed siebie ręce jak ślepcy.

* * *

Cała służba we Dworze Pod Dębami tego dnia zasnęła. Pan Tomasz nie dbał o to. On sam, po zarwanej nocy, niezbyt ochotnie wstawał z łóżka. A kiedy już zebrał się w sobie i odwrócił twarz od białej ściany, zobaczył porządnie wyczyszczony dolman, w którym minionego wieczora jechał do lasu między Łaszczowicami a Wiechlicą, a potem jeszcze buty wypucowane na wysoki połysk i mokrą szmatę ze śladami błota. Na stole, na białej lnianej ścierce, leżały obsydianowe noże, jakby trochę wilgotne. Nad tym wszystkim stał Miguel z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Jego ciemnobrązowe oczy spoglądały beznamiętnie na gospodarza spod długich czarnych rzęs. Oblicze barwy miedzi odbijało się w zwierciadle Boniniego, ustawionym teraz na parapecie okna i opartym o framugę – w tafli weneckiego szkła zdawało się jeszcze bardziej nieruchome i tajemnicze.

Czy to wszystko... Cała miniona noc, noc jesiennego ekwinokcjum... Czy to zdarzyło się naprawdę? A może to tylko sen?

Obaj, pan i sługa, bez większego zdziwienia odkryli, że mało ich to obchodzi. Niedawne uniesienia, zachwyty i radości stały się nagle jeszcze bardziej odległe niż miejsce, z którego pochodziły noże Miguela. To, co kiedy indziej sprawiłoby, że włos jeżyłby się na głowie, okazało się rzeczą zupełnie zwyczajną (a może jednak było snem albo przywidzeniem?). O wszystkim, w rzeczy samej, rozstrzygnęła chwila, gdy zaraz po tamtym spojrzeniu w zwierciadło Boniniego przybył sekretarz pana Hieronima z niepomyślnymi wieściami... To, co potem – sen czy nie sen – było naturalnym dalszym ciągiem.

Służba ziewała i przecierała oczy, zupełnie jakby spędziła noc w karczmie u Szmula w Starym Krasocinie, a nie we własnych łóżkach. Miguel, z igrającym na ustach półuśmiechem, wyraził supozycję, że to pewnie wina pogody: po gwieździstej nocy nagle się zachmurzyło, tuż przed świtem spadł deszcz, potem przyszedł wiatr, rozgonił chmury, zaświeciło słońce... Wiadomo, że przy takiej zmiennej aurze człowiek staje się ospały i nieruchawy. Jak było, tak było; podkomorzyc nie zamierzał czeladzi popędzać. Nawet nie czuł się szczególnie głodny, choć zazwyczaj śniadanie jadał bardzo obfite.

Tylko Indianin wyglądał tak, jakby przez całą tę noc spał na oba uszy.

Dzień, choć pogodny, był jakiś melancholijny. Wszyscy snuli się po dworku i obejściu jak babie lato w sadzie albo opary mgły nad łąką. Dziwnie rozkojarzonej służbie wszystko leciało z rąk: a to któraś baba upuściła gliniany garnek i z wyrazem zdumienia na piegowatej gębie zbierała skorupy, a to parobkowi w stajni widły się wbiły w dyle i nie mógł ich wyciągnąć, a to pacholik otrząsający jabłoń oberwał owocami w łeb tak, że aż go przyćmiło...

Podkomorzyc, idąc za radą Twardosza, postanowił na zająca ruszyć, by oko poćwiczyć – i nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie kule do ptaszniczek schował... Jednym słowem, czego się tknąć, wszystko od samego rana szło na opak.

A w końcu, około południa, od gościńca dobiegł tętent kopyt i w szeroko otwartej bramie pojawili się czterej konni. „Jak jeźdźcy Apokalipsy” – przemknęło Krasocińskiemu przez myśl.

W jadącym na czele mężu dość mikrej postury podkomorzyc rozpoznał pana Janusza Przyborskiego. Jego towarzysze, wszystko chłopcy na schwał, każdy o głowę wyższy od dowódcy, musieli więc być hajdukami starościńskimi, choć odziali się jak na polowanie.

– Czołem waszmościom! – powitał ich gospodarz. – Czemuż to wizytę niespodzianą zawdzięczam?

Przyborski zsiadł z konia.

– Waćpan jeszcze nieuwiadomiony? – zapytał, witając się z podkomorzycem. Twarz miał poważną, w tej powadze nawet jakby skamieniałą.

– Nie. Stało się coś? – Krasociński poczuł nagle niepokój. Zaraz potem, niby błyskawica, przemknęła mu przez głowę myśl: „Przecież wiem!”.

Czy wiedział? A może jednak to był tylko sen?

– Z ludwikowskiego klasztoru obie panny uprowadzono – wyjaśnił dowódca hajduków. – Siostrę furtiankę znaleziono na posadzce prawie bez ducha. Oczy miała dziwnie wytrzeszczone i coś mamrotała od rzeczy. Nie wiem, czy do tej pory wróciła do przytomności. A śladów nie ma, pewnie deszcz wszystko zmył.

– Któż to mógł uczynić? – zapytał podkomorzyc. – *Raptus puellae* i zarazem *sacrilegium*... Kto się poważył?

Dłoń powędrowała do miejsca, w którym mogłaby się znajdować rękojeść batorówki. Kątem oka pan Tomasz zauważył, że Jurko wykonał taki sam ruch.

– Waszmościowie, jako słyszałem, po słowie są...? – W głosie Oborskiego dało się wyczuć wahanie. Czyżby podejrzewał gospodarza i jego sługę o uprowadzenie obu panien?

– Prawie – potwierdził Krasociński. – Za przyzwoleniem pana Czarnockiego jużesmy wyznaczyli termin zrękowin, zaraz po świętym Michale... A ślub zasię na poniedziałek po Wielkiejnocy.

Spojrzał na Twardosza i dodał:

– Nie delibierujmy tedy, jeno pomyślny, gdzie sprawcy szukać. Przecie daleko z nimi nie odjechał.

– Jeno potem go waszmość katu zostawisz – zwrócił mu uwagę Oborski. – Jak prawo i obyczaj nakazują.

– Raczej hufnalami go podkuć jak konia i wolno puścić, by na przyszły raz wyraźniejsze ślady zostawiał! – powiedział Jurko.

7. Łaszcowice. Dąbrowa Łaszczowicka

Dzień świętego Michała Archanioła był słoneczny i ciepły. Na odpust w Łaszczowicach zwała się kupa ludu. Jedni pobożnie się modlili, innych bardziej zdawała się pociągać zawartość kramów, od samego rana ustawionych tuż za kręgiem stuletnich lip otaczających kościół parafialny – choć po jednej stronie tylko, bo po drugiej znajdował się ołtarz i ambona.

W małym, drewnianym kościółku nie pomieściłaby się nawet jedna dziesiąta przybyłych.

Tomasz Krasociński wybrał się na łaszczowicki odpust w towarzystwie Jurka Twardosza. Dawniej jeździł nań z ojcem, ale ten był wciąż gdzieś daleko, jak nie w Sandomierzu, to w Warszawie, jak nie w Warszawie, to w Krakowie. Okoliczna szlachta witała podkomorzycę poważnymi twarzami i spojrzeniami pełnymi troski, nie szczędząc słów otuchy: odnajdzie się panna Halszka, zapewniano go, porwał ją pewnie jakowyś nieznany nikomu adorator, w desperacji liczący na to, że panna, trzymana w ukryciu, zgodzi się w końcu na potajemny ślub. Podkomorzycę przyjmował kondolencje z posępnym obliczem, potakiwał i dziękował za troskę. Jurko tymczasem, trochę krzyw o to, że jego nikt nie pociesza, uważnie się rozglądał. Dwóch ludzi próbował wypatrzeć: cześnika Gorzelickiego i Miguela.

Miguel już tamtej nocy napomknął, że w najbliższym czasie będzie musiał wyjechać „na parę dni”. Nie wyjaśnił, dlaczego i po co; pytany o cel tej eskapady, powiedział tylko, że udaje się „w stronę Gór Świętokrzyskich”. Wrócić miał albo „w wilię świętego Michała”, albo „na sam odpust”. Skoro wilia minęła, pozostawała już tylko ta druga możliwość.

Gorzelińskiego tymczasem nigdzie nie było widać. I rękodajnego, i jego pana niepomierne to dziwiło. Absencja pana cześnika na odpuscie w Łaszczowicach była rzeczą wprost niewiarygodną. Odkąd pan Tomasz zaczął przykładowo świętować dzień Michała Archanioła, wyprawa na odpust wyglądała zawsze tak samo: Krzysztof Gorzelicki w kontuszu i przy szabli, otoczony zgrają konnych drabów, z góry popatrywał na wszystkich i tylko Krasocińskich z daleka obchodził – a Hieronim Krasociński, także w kontuszu, kordialnie ścisnął dłonie i poklepywał ramiona choćby najmniejszego szlachetki, czapkujących mu chłopów pozdrawiał łaskawym skinieniem ręki, ale Gorzelickiego omijał jak rozbitego zbuka. Wszystko to przez respekt dla świętego miejsca; nie godziło się przecież, by dwaj panowie albo ich słudzy wszczęli zwadę niemal pod samym ołtarzem, na oczach pobożnych pielgrzymów. *Treuga Dei*, *mociumpanie*, *Treuga Dei* – tłumaczył Krasociński hreczkosiejom. A jeśli sam podkomorzy, z powodu jakichś ważnych spraw, na łaszczowicki odpust nie dojechał, jego syn przestrzegał tych samych zasad.

A teraz Gorzelickiego ani jego ludzi nigdzie nie było widać.

Jurko zauważył jakieś poruszenie w gromadce szlachty stojącej pod jedną z przykościelnych lip i ruszył w tamtą stronę. Wydało mu się, że pośród żywo rozprawiających o czymś szaraczków dostrzega osobę niższego stanu, aczkolwiek zdolną kupić każdego z owych szlachetków razem z butami i zardzewiałą szablą; zażywny jegomość w środku kręgu był chyba kupcem Hanuszowskim, który brał od cześnika drewno sosnowe, spławiane później Wisłą do Gdańska. Czyżby przynosił jakieś wieści z Gorzkowa? Bo wieść o tym, że w Ossolinie pan kanclerz wreszcie wstał z łoża boleści i zdaje się szybko wracać do zdrowia, nie była już najświeższą nowiną i z pewnością nie wywołałaby aż takiego poruszenia...

Rękodajny kątem oka dostrzegł, że podkomorzycę idzie w jego ślady. Zanim przedarli się przez tłum, pan zdążył wyprzedzić sługę.

Dłonie hreczkosiejów jak na komendę uniosły się do wyliniałych kołpaczków. Szaraczkowa szlachta w promieniu wielu mil uniżenie czapkowała i Gorzelickim, i Krasocińskim.

– Mości podkomorzycu! – zawołał Jeremi Kwapisz, czerwonołęby szlachciura, któremu potężne brzuszysko ledwo mieściło się w żupanie. – Znasz już acan najnowsze wieści?

Krasociński pokręcił głową.

Kwapisz spojrzał na Hanuszowskiego, a ten wyjaśnił:

– Od wczoraj cześnik bez przytomności leży, apopleksyją rażony.
Krasociński przełknął ślinę. A więc... *Factum est*. Wroga już nie ma. Sprawiedliwości w końcu stało się zadość.

Zerknął na swój serdeczny palec. Blizna po drzazdze jeszcze była widoczna.

Obejrzał się i napotkał spojrzenie Twardosza – oczy drapieżne jak u wilka na sekundę przed skokiem do gardła ofiary, patrzące z twarzy o ustach ściągniętych w wąską, niemal prostą linię. W tym spojrzeniu były złość i triumf.

Pan musiał wyglądać tak samo jak sługa – choć nie mając pod ręką zwierciadła, nie mógł się o tym przekonać.

A obok ramienia Twardosza zobaczył twarz Miguela, nieruchomą jak oblicze sfinksa.

Później, kończąc odpustowe kazanie, ojciec Wenanty z opatowskiego klasztoru prosił wszystkich o modlitwę w intencji ciężko chorego cześnika. Jeszcze później, przed końcowym *Benedicamus Domino*, ogłosił najnowszą wieść: pan na Gorzkowie, nie odzyskawszy przytomności, przeniósł się na łono Abrahama.

– *Requiem aeternam dona ei, Domine, et lux perpetua luceat ei!* – zgodnie wyrecytowała szlachta i nierozumiejące łaciny pospólstwo.

Przy tych słowach pan Tomasz, Jurko i Miguel wymienili krótkie, szybkie jak błyskawica spojrzenia.

* * *

Posilili się w karczmie u Arona, po czym wsiedli na koń i ruszyli w stronę Nowego Krasocina. Jechali wolno, niemal stępa, rozkoszując się ostatnimi zapewne podmuchami ciepłego wiatru. W powietrzu wciąż polatywały nitki babiego lata, na krzakach ostrężyn jeszcze czerniały ostatnie jagody – ale tu i ówdzie liście zaczynały już żółknąć.

Rozmawiali po drodze niewiele. Podkomorzyc był dobrej myśli co do procesu o stawy w Kiełpiach i bór nad Krasotką. Teraz, kiedy Krzysztof Gorzelicki nie żył, apelacja – jego zdaniem – musiała się powieść. W pierwszej instancji cześnik wygrał, ale jego śmierć całkowicie zmieniła położenie obu stron sporu.

– Cześnikowic to chłystek i świszczypała – oświadczył pan Tomasz. – A przy tym nie zechce kauzyperdom dobrze zapłacić i każdemu da odczuć, że waży go sobie lekce. Tedy nasze ekspektatywy są lepsze.

Jurko nie widział powodu, by się ze swym panem nie zgodzić. A Miguel jechał obok nich, nie odzywając się ani słowem, ale z miną człowieka, który wie o sprawie tyle samo, a może nawet jeszcze więcej.

Jechali tak noga za nogą, aż dotarli do Dąbrowy Łaszczowickiej – starego lasu, pełnego okazałych drzew o pniach tak grubych, że niejednego z nich i trzech ludzi nie zdołałoby objąć. I oto na pierwszym zakręcie odsłonił się przed nimi widok, który i panu, i słudze zdał się znajomy: polana, buda smolarzy z zapadającym się dachem, ślady ogniska... Spojrzeli na siebie pytająco. „Chyba byliśmy tutaj ostatnio? – przemknęło im obu przez głowę. – Sen to był czy jawa?”

Zerknęli na Miguela. Indianin patrzył prosto przed siebie nieruchomym spojrzeniem sfinksa.

Tak, to tutaj.

Tym razem polana była pełna ludzi. Czyżby wyprzedziła ich gromada wieśniaków

wracających z odpustu? Ale jak – zwyczajnie, *per pedes*, nie mając wierzchowców ani wozów? Widać przecież, że to chłopi. A na drodze ani śladu bryczki...

Czy zresztą chłop poszedłby na odpust w takim lichym odzieniu?

Z przeciwnej strony, w towarzystwie jednego sługi, nadjeżdżał pan Leon Jagodziński, właściciel Wiechlicy, wsi położonej zaraz za lasem. Chłopi pewnie już zdążyli go powiadomić, że tutaj, na polanie, coś się stało.

Wśród gromady, mocno czymś poruszonej, pan Tomasz rozpoznał sołtysa Wiechlicy. Siwy, zgarbiony chłopina wyciągnął ku podkomorzycowi drżącą dłoń, pokazując dwa przedmioty, zapewne znalezione gdzieś w lesie.

– Ot, jasnie panie, szukalim wszyscy – powiedział, gnąc się w ukłonie – a nikto się nie spodziewał, że trza tu, w dąbrowie...

To, co dyndało na przegubie sołtysa, było niewątpliwie koralami Agnieszki Gursztynówny. Leżący na otwartej dłoni szafir, oprawiony w złoto najwyższej próby, należał do Halszki Sokolskiej; ten naszyjnik pan Tomasz przywiózł dla niej z Sandomierza.

Teraz dopiero podkomorzyc i jego rękodajny poczuli woń rozkładu. Dobiegała od strony wygasłego dawno ogniska.

– Niewiele ostało, krucy i lisi po dąbrowie porozwłóczyli – odezwał się jakiś chłopina w wyszarganej świtce, pozieleniały na twarzy, może ze zgrozy, a może od fetoru, którym przesycone było powietrze. – Ino dziwne, że u obu panien ziobro z lewej strony jakby toporem przerąbane.

– I głowy... nie wiadomo... kaj – dodał drugi, też blady jak śmierć na chorągwi, spazmatycznie łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami.

Podkomorzyc popatrzył na Miguela. Twardosz też. Ich spojrzenia zatrzymały się na niewielkim saczku przypiętym do jego pasa. Tam, jak śmiercionośne żądła, kryły się dwa ostre noże z obsydianu.

Chłopi rozstąpili się, przepuszczając pana Jagodzińskiego. Ten podjechał do podkomorzycy z kondolencjami. Krasociński i jego rękodajny przyjęli je z poważnymi, zasepionymi twarzami. Zaraz potem usłyszeli, że pan na Wiechlicy od razu pchnął gońca do starosty, a ten z pewnością pojawi się osobiście, bo sprawa głośna na całe województwo, zaś z relacji chłopów, którzy przybiegli z wieściami do dworu, wynikało niezbicie, że chodzi o zbrodnię, jakiej Rzeczpospolita nie widziała...

A tymczasem spojrzenia pobiegły ponad ramieniem pana Jagodzińskiego ku skrajowi polany, gdzie coś nagle błysnęło w promieniach słońca. Wiatr, który właśnie powiał, zdmuchnął cienką warstewkę pożółkłych liści – pierwszych, jakie tej jesieni opadły z drzew. Odśłonił prostokąt mieniący się świetlistymi refleksami, sypiący złote skry...

Zwierciadło Boniniego.

Powinno wisieć na ścianie dworu w Nowym Krasocinie. Leżało zaś przed nimi na polance, o dziesięć łokci od nich, może o piętnaście. Z tej odległości nie można się było przejrzeć ani też zobaczyć, co się w gładkiej szklanej tafli odbija. A jednak oni zobaczyli.

Jagodziński mówił, Tomasz i Jurko słuchali, potakując. Równocześnie ponad ramieniem pana na Wiechlicy, w zwierciadle szerokim może na dwie stopy, a zarazem ogromnym jak brama sułtańskiego pałacu, wbrew odwiecznym prawom optyki widzieli niewidzialne.

– Starosta pewnie tu będzie za godzinę, może nawet wcześniej – powiedział pan Leon, mrużąc oczy i spoglądając na słońce.

Krasociński i jego rękodajny skinęli głowami, po czym ich spojrzenia znów pobiegły ku

szklanej taflę. Ku widokowi bezkresnej pustyni, bezkształtnych kolczastych opuncji i niewieściej postaci odzianej w suknię z węży, bezszelestnie kroczącej na kocich stopach.

I ku krwawiącej podgolonej głowie, trzymanej krzepko za czub siwych włosów, teraz już nieskryty pod kołpakiem.

Widziadło znikło. Słońce odbite w zwierciadle, wbrew porze dnia, zapłonęło nagle krwawą łuną. A potem na krótką chwilę rozbłysło siedmioma barwami tęczy, niczym obsydian z niedostępnych gór Nowej Hiszpanii.

Nowa Dęba, lipiec – sierpień 2011

GLOSSARIUSZ

...gdy Habsburgowie ścierali się z „królem zimowym”

„Król zimowy” – Fryderyk V Wittelsbach, palatyn reński, przywódca tzw. Unii Ewangelickiej, w pierwszej fazie wojny trzydziestoletniej powołany na tron Czech, gdzie panował (jako Fryderyk I) na przełomie lat 1619 i 1620.

...podczas osławionej *noche triste*

Noche triste (hiszp. *smutna noc*) – noc z 30 czerwca na 1 lipca 1520r. Tej nocy wojska Corteza zmuszone były wycofać się z Tenochtitlanu, stolicy państwa Azteków, tracąc przy tym ok. 90% zdobytych wcześniej łupów (jak twierdzą kronikarze, zginęli wówczas prawie wszyscy, którzy nie zdecydowali się porzucić złota wynoszonego z miasta).

Oblężenie Tenochtitlanu, zakończone zdobyciem miasta, rozpoczęło się w pierwszą rocznicę *noche triste*. Stolica padła 13 sierpnia 1521r.

Ojciec de Las Casas namącił...

Bartolomé de Las Casas – hiszpański dominikanin, autor *Krótkiej relacji o wyniszczeniu Indian*, obrońca praw tubylców w koloniach hiszpańskich w Ameryce Środkowej i Południowej. Doprowadził do ustanowienia praw (nie zawsze przestrzeganych) chroniących Indian przed samowolą i okrucieństwem ze strony kolonistów.

Leyes y ordenanças nuevamente hechas por su Magestad para la gobernación de las Indias y buen tratamiento y conservación de los Indios (hiszp., pisownia XVI-wieczna) – *Prawa i przepisy nowo ustanowione przez Jego Majestat dla zarządzania Indianami oraz dobrego traktowania i ochrony Indian*; ogłoszony w 1542r. przez króla Karola I z dynastii Habsburgów (bardziej znanego jako cesarz Karol V) zbiór praw opracowanych z inspiracji o. Las Casasa. „Nowe Prawa” zabraniały m.in. niewolnictwa Indian.

...pokłonić się babce Zbawiciela w Kerannie

Keranna (Ker Anna) – bretońska nazwa Sainte-Anne d’Auray w Bretanii (departament Le Morbihan); od XVII w. znane sanktuarium św. Anny.

A ówże Iwo, choć to podlej kondycyjnej człek...

Iwo – Yves Nicolazic, inicjator budowy sanktuarium w Sainte-Anne d’Auray.

W jakowymś Koźlim Porcie, tfu, na psa urok!

Koźli Port – Port-de-Bouc przy ujściu Rodanu. Miejsce uwięzienia przyszłego króla Polski Jana Kazimierza Wazy, zatrzymanego podczas podróży do Hiszpanii (w toczącej się wówczas wojnie trzydziestoletniej Francja i Hiszpania należały do dwóch przeciwnych obozów).

To obsydian – wyjaśnił. – Moi rodacy w Nowym Świecie nie znali żelaza...

Najpospolitszym z występujących w Meksyku rodzajów obsydianu jest tzw. odmiana wstęgowa. Istnieją też odmiany brunatne i czarne. Odmiana mieniąca się wszystkimi kolorami tęczy (rzadko spotykana) to tzw. obsydian iryzujący lub tęczowy.

...obok swojego ojca Axayacatla, dostojnego tlatoaniego osady

Tlatoani (liczba mnoga: *tlatoque*) – tytuł władcy u ludów posługujących się językiem nahuatl (Aztekowie, Tepanekowie); dosłownie „ten, który mówi”, czyli „wydający rozkazy”.

...pan Hipolit oddał dwóch parobków do piechoty wybranieckiej nie z miłości do ojczyzny i króla

Żołnierze piechoty wybranieckiej, formacji utworzonej przez Stefana Batorego, rekrutowani byli spośród chłopów mieszkających we wsiach królewskich.

Antalek, którego zawartość pamiętała bodaj czasy wojny kokoszej...

Wojna kokosza – żartobliwa nazwa szlacheckiego rokoszu z 1537r., skierowanego przeciwko polityce wewnętrznej króla Zygmunta Starego (tzw. rokosz gliniański lub rokosz lwowski). Skutkiem rokoszu miało być wybicie drobiu w okolicach Lwowa w celu zaopatrzenia zgromadzonej tam szlachty w żywność.

Tomasz Kilian

DZIĘCIELINA

Aram zbliżał się od zachodu. Jechał stępa, nie spiesząc się zbytnio; chciał dobrze przyjrzeć się okolicy. Dzień był piękny, słońce nie za mocne, choć stało już w zenicie, ani jednej chmury – taki dzień, jakie tu często na Dzikich Polach bywały, szczególnie właśnie latem. Pięknie śpiewały ptaki, a z nad wody po okolicy niósł się klekot bocianów. Pobliskie pola cudnie obrodziły; kłosa zboża były grube i pełne ziaren, co dobrze wróżyło mieszkańcom. Kolorowe kępy dzięcieliny łagodnie usposabiałały Arama i już nawet zapomniał o tym, co usłyszał, gdy w karczmie zlecenie podejmował... Bo i wierzyć się w to nie chciało, a człowiek skory jest przecie, by rzeczy niewygodne odrzucać.

Pora już była do zbiorów, pszenica aż się o kosę prosiła, a jednak chłopów żadnych po drodze nie widział. Po drodze, czyli od rozstaju, gdzie karczma „Pod Baranem” stała i gdzie po spotkaniu z imię Skrytomirskim plany zmienił i trasę nową obrał.

Wszak dziwiła go ta nagła bezludność, bo wspaniała była to ziemia, niczym wybrana malarzowi na arcydzieło lub poecie na poemat. A i dość odległa od zawieruchy wojennej, co teraz po Ukrainie szalała, więc w spokoju ludzie mogli swoim sprawom się oddawać. Za karczmą dwie wioski bokiem minął, wszakże wtedy jeszcze specjalnie wagi do tego nie przywiązywał i teraz przypomnieć sobie próbował, czy w osadach tych kogokolwiek widział, czy też nie. Gwarów dziecięcych nie zakonotował, także i psów szczekania. Ani prac gospodarskich, a przy obejściu zawsze przecie sporo hałasu się czyniło. I zwierzęcych głosów, muczeń, piał czy rżenia koni – nic z tego mu w pamięci nie utkwilo. Być może jednak zbyt był w myślach pogrążony, by coś dostrzec i usłyszeć. A przynajmniej tak teraz chciał to traktować.

Machinalnie szukał śladów zniszczeń. Po kraju bandy różne się włóczyły, władza królewska była słaba, zajęta wojną i zwłaszcza tu, na Dzikich Polach, wszelka samowola znajdowała ujście. Czy chaty zniszczone mijał? Czy widział strzechy spalone i czuł smród dymu? Czy na to także uwagi by nie zwrócił?

Nic takiego tu nie zastał. Jeny kolory lata, bzyczenie trzmieli i pszczół, kłosa pszenicy i żyta na wietrze poruszane, drzewa owocujące, wszelkie dzieło rąk ludzkich. A człowieka ani jednego.

Przystanął przy szerokim rowie, bo nagle wróciło ku niemu to, co usłyszał w karczmie. Że ostatniej zimy w rowie znaleziono martwe dziecko. Nikt by już może tego nie wspominał, bo nie takie straszności się obecnie wyprawiały, gdyby nie to, iż zaiste niewiele cech miało ludzkich. Rękę jedną tylko, zaopatrzoną w harpie szpony, a głowę wypaczoną tak, że przypominało raczej potwora ze średniowiecznych malunków. Może plotka przydała opowieści barw, lecz ci, co mu przekazali tę nowinę, zarzekali się, iż mówią prawdę, choć żaden nie potrafił powiedzieć, któż dziecko odnalazł. Odradzali mu jednak wizytę w dworku, a każdy się żegnał, gdy o tym mówił. Nikt jednak właściwie nie wiedział dobrze, co tam się dzieje, poza tym co Aramowi już imię Skrytomirski przekazał – że od roku stryj jego, tam właśnie zamieszkały, bogaty a bezdzietny szlachcic (wedle czego bratanek jego majątek dziedziczył) znaku życia nie dawał. Tak on, jak i nikt ze służby, która dotąd często bywała we

wsi. Poszło tam paru, ale nikt nie wrócił, choć ludzie w karczmie nie wiedzieli, czy ruszyli swoją drogą, czy też w posiadłości starego Skrytomirskiego zakończyli żywot. Aram nie dawał wiary tym opowieściom, bo bają takich słyszał już w życiu setki; teraz mu się jeno przypomniało, gdy mijał ten rów. Patrzył tak chwil parę, póki znów nie podjął podróży, lecz myśli jego stały się już mroczniejsze i inaczej teraz spoglądał na okolicę.

Tak skonfundowało go to wszystko, że nawet nie zauważył, jak dotarł do celu. Dom położony na pagórku, schowany za rzadkim brzozowym zagajnikiem, zaiste był ukoronowaniem tej idyllicznej krainy. Nieprzytłaczający, zbudowany ze smakiem, lekki się wydawał i zwiewny, tak przytulny, że aż chciało się choćby na krótko w nim zamieszkać. A jednak dym z komina nie leciał. I to usilne wrażenie, jakby się wszystko wrywało, ściany, dach i fundamenty o ruchu tylko marzyły, aby ożyć i pójść już stąd, byle dalej. Sam pojęcia nie miał, skąd mu się takie dziwności w głowie załęgły, lecz znów myślami wrócił do rozmowy z imię Skrytomirskim i do tego, czego się podjął.

Liczył, że wewnątrz domostwa ktoś mu wyjaśni, cóż do diaska się tutaj dzieje.

Spiął konia i podążył w stronę dworku.

* * *

– ...*ergo* sprawa delikatnej jest natury, a waści, jako żeś przybysz z daleka, łatwiej ją może będzie ogarnąć – prawil Skrytomirski, dolewając miodu. – Powiadają, że ludzie wschodniej krwi do tajemnych rzeczy wikłania i rozwikływania najzdatniejsi... Stryja mojego od dawna nikt nie widział, a ludzie dziwne rzeczy gadają. Jednego waszmościa parę tygodni temu już tam wysłałem, ale nie wrócił i nie wiem, czy strach go zdjął, czy zwyczajnie zamiar odmienił. Miejscowi już wymiarkowali wszystko po swojemu: sił piekielnych to według nich sprawka, bo cóż innego pospółstwo wymyślić zdoła? *Damnans quod non intelligunt*, a dla mnie ta rzecz zbyt jest ważna. *Primo*, że stryja kocham, ojca wcześniej utraconego zawsze mi zastępował, a *secundo*, że nieliche to dobra, dom i posiadłości, kryć nie będę, że jeśli stryj przeniósł się *ad patres*, tedy *successio* po nim na mnie *de iure* przypada. Pierwej jednak dowiedzieć się muszę, cóż takiego się tam dzieje, a płacę sowicie.

Więc czemuż to waćpan sam tam nie pojedziesz, skoro w diabelskie sprawy nie wierzysz? – już miał spytać Aram, ale się powstrzymał. Pieniądzy potrzebował, to i każdą robotę przyjąłby z wdzięcznością. O jedno wszak musiał zapytać:

– Skoro tak pospółstwo gada, może by tam księdza posłać, coby wszystkich uspokoić?

Tego się Skrytomirski przestraszył bardziej niżli plotek o piekle. Oczy wytrzeszczył, brwi namarszczył, przysunął się do Arama i głos ściszywszy, rzekł:

– Niedobry to pomysł. Stryj bowiem po śmierci stryjenki trochę na zdrowiu podupadł i bynajmniej nie o jego powłokę cielesną mi idzie. Wiarę słuszną porzucił i do Braci Polskich przystąpił, bo jak twierdził, Kościół Święty go zawiódł i jakowegoś innego objawienia szukał. A w tych burzliwych czasach wiesz waść, jak jest. Jeśli rzecz się rozejdzie i zła sława do Skrytomirskich przylgnie... *Dictum sapienti sat!*

– W istocie. – Aram skinął głową. – A za ostrzeżenie dziękuję.

– *Praemonitus, praemunitus!* – Skrytomirski ucieszył się niebywale. – A teraz napij się waść miodu jeszcze i zjedz coś. Na mój koszt, rzecz jasna.

Półgęska mu pan Skrytomirski pilnie podsunął, lecz Aram delikatnie się od poczęstunku wymówił. Miodu wybornego wszak sobie nie poskapił.

Drzwi go zdziwiły.

Otwarte na oścież.

Na ganku przywitały Arama niedźwiedzie głowy, wyrzeźbione na filarach. Nie nadto piękne, acz niewątpliwie bardzo starannie wyrzezane. Takie same, choć nieco mniejsze, widniały dalej na poręczy. Zwierz nie zapraszał bynajmniej w gościnę, groźnie łapę szponiastą unosząc. Deski zaskrzypiały głośno i nieprzyjemnie, kiedy Aram po nich stapał, ale nawet o tym nie pomyślał, usilnie wpatrując się w drzwi.

Zaproszenie do domu niedźwiedzia, bardzo nachalne...

Drzwi.

Nic nie blokowało skrzydeł, nic nie przytrzymało, a mimo to wiatr się ich nie imał. Aram spróbował je ruszyć i nie dał rady. Ktoś przy zawiasach musiał majstrować – taka mu się myśl nasunęła – lecz po co? Liczył, że w środku znajdzie odpowiedź.

Zanim przekroczył próg, jeszcze się obejrzał. Nie wiedzieć dlaczego, długo spoglądał na okolicę. Wtem, nieoczekiwanie dla samego siebie, cofnął się, pod płót podszedł i nad kępą dzięcieliny się pochylił. Chwilę przebierał palcami pośród kwiatów, po czym zerwał jeden i za pazuchę schował.

Wreszcie wszedł.

Chciał zawołać, ale się powstrzymał. Po co niepotrzebnie straszyć ludzi? Zaraz pewnie wyjdą ku niemu, dziwiąc się i srożąc, cóż tu robi, a gdy wytłumaczy i od nich również wytłumaczenie usłyszy, wspólnie się pośmieją, wina napiją, pojedzą. Przy tym wszystkim spotka stryja imć Skrytomirskiego, może pogrążonego w chorobie, może jedynie zdziwaczałego, w każdym razie nie znajdzie tam żadnych demonów.

Wiedział, że tak być nie może, że wydarzyć się tu musiało coś znaczniejszego, ale wiedział też, że troska siły odbiera, a tych bardzo teraz potrzebował. Marzył więc sobie, jak po uspokojeniu bratanka wieściami odbierze od niego sowitą nagrodę i pojedzie w swoją stronę.

A potem? Może ku Orientowi się uda, w rodzinne strony. A może po karczmach zapijając będzie ból.

Ale nikt ku niemu nie wszedł.

– Jest tu kto? – krzyknął, jednak nie nazbyt głośno jeszcze. Gdy jednak nie usłyszał żadnego odzewu, powtórzył już z pełną mocą, lecz i tym razem odpowiedziała mu jeno cisza.

Wszedł głębiej.

Pierwej trafił na jadalny. Na stole leżały porzucone naczynia, jakby wstali dopiero co od obiadu, ale nigdzie nie było żadnych śladów stawy. Sprawdził palenisko; ciepło wciąż biło od drewna. Stołki też rozrzucono; nie wiedzieć po co i kto to uczynił, ale tkwił w tym niewątpliwie jakiś zamysł. Bo choćby jeden nie stał na swoim miejscu. Cóż znaczyło to nowe dziwactwo?

Spizarnię przy kuchni zastał pełną – wszystko zdatne do jedzenia, nie tylko wędzonka, ale też świeże sery, i mięsiwa, co przecie musiało znaczyć, że jakoś stąd wychodzili lub że ktoś przywoził im żywność. Nie wyczuł jednak żadnych zapachów towarzyszących zwykle przygotowywaniu posiłków. Nawet to spizarniane jedzenie było jakieś dziwne – niby dobre, ale choć nos prawie przykładął do wędzonych kiełbas, to woni ich wyczuć nie mógł.

Kolejna zagadka do rozwiązania – i nikogo skorego do odpowiedzi.

Zostawił więc kuchnię i poszedł dalej w poszukiwaniu ludzi. Domowników, których tu

uparcie nie było. Ani stryja jego dobroczyńcy, ani służby, pacholców choćby – tylko pusty dom oraz sprzęty czyste i jałowe jak sny pobożnych zakonnic.

Całe domostwo dokładnie obszedł, przyglądając się każdemu kąтови, ale nigdzie nie znalazł żywej duszy, nigdzie żadnej odpowiedzi.

Dotarł wreszcie do schodów prowadzących na poddasze.

I stanął jak wryty.

Znalazł tam dwa poczerńiałe, jakby w kamieniu wypalone, ślady stóp.

Tak mówią... jasna pani Marianna, żona wielmoży Skrytomirskiego, rozum z winy męża postradała i życie sobie odebrała... a niedługo później się pojawił... gorzał i ślady wypalał, gdy szedł... tak właśnie mówią...

Nachylił się. Głębokie były na pół długości małego palca.

Rozejrzał się wokół, lecz odnalazł tylko te dwa, tylko tu przed wejściem na poddasze. Gdy jednak spojrział w górę, zdało mu się, iż parę schodów dalej dostrzega podobne, choć słabiej już zaznaczone w materii kamienia. Jakby ktoś tylko nęcił, aby wejść na schody.

Ta myśl przemknęła Aramowi przez głowę – ale pozwolił jej odpłynąć i zaczął wspinać się na górę.

* * *

Czterdzieści dwa stopnie.

Czterdzieści dwa i korytarz tak długi, że nie widać było końca.

Czy oszalał?

Schody zmierzały najpierw zgodnie z oczekiwaniem, wijąc się spiralnie w górę, lecz nagle zakończyło je nie poddasze, a rozległy i długi korytarz, jakby tunel, choć przecie tunel zawsze dokądś prowadzi, a tu nijak nie mógł nabrać takiej pewności. Wbrew rozumowi pomyśleć musiał, że droga wiedzie donikąd i gdy zbyt daleko nią zawędruje, już nie wróci. Ściany zwążyły się; tak mu się zdawało. Lubił otwarte przestrzenie, tu zaś jakaś duszność się czaiła. O pułapkach na komturskich zamkach słyszał, o takich zasadzkach sobie teraz dumał Wejdz, lecz postaw jeden krok nierozważny, a już nie wyjdiesz. I zdychać będziesz samotnie podstępna strzałą przeszyty lub w dole ukrytym pod zapadnią, z połamanym karkiem, bo nikt ci tu w tej pustelni nie pomoże...

Myśli te niepodzielnie nim zawładnęły, a przemożna chęć zawrócenia sprawiła, iż ponownie postawił krok na schodku. I już miał zacząć schodzić, gdy się opamiętał.

Postał chwilę, aby ochłonać i przyjrzeć się raz jeszcze korytarzowi.

Początkowo sądził, że dziwna jest w nim tylko owa głębia. Podłogę wyłożono gładzonym marmurem, na ścianach rozwieszono arras, z samego zaś początku wisiał ciężki herb, rzeźbiony i inkrustowany szlachetnymi kamieniami.

Były też obrazy przodków rodu, dostojne i zimne portrety malowane na hiszpańską modłę. Żaden z nich nie wzbudzał choćby cienia sympatii, a fizjonomie zdawały się prawie identyczne. Wolał na nie nie patrzeć, wolał iść przed siebie, choć dokąd – nie wiedział. Bo plan początkowy, wyglądający tak udatnie, stracił już na znaczeniu wobec tych nowych, nieprzewidzianych okoliczności.

A im dalej szedł, tym bardziej korytarz się zmieniał. Wszystko tu było, jakby architekt nie potrafił się zdecydować, czegoż chce. Co parę kroków Aram mijał szerokie, przepelnione

ornamentami łuki, które na ścianie łączyły się z zestawionymi w dekoracyjne wstęgi pilastrami. Na obydwu przeciwległych ścianach umieszczono sercokształtne kartusze, jednakże bez żadnego herbu czy jakiegokolwiek znaku w środku, ot same puste formy. Stiukowe rzeźbienia okalały obficie sufit, zaś za kolejnymi kolumnami znalazły się dwa dosyć wąskie wykusze. Wiatru z zewnątrz nie czuł, powietrze stało w miejscu. Znieruchomiał na moment, patrząc na okolicę – to przed siebie, to w dół. Wydawało mu się, że jest tu niebywale wysoko, nienaturalnie wręcz, w porównaniu z wysokością, na jaką wspiał się po schodach. Ledwo cokolwiek odróżniał na trawie pod murem. A na wprost krajobraz rozciągał się niczym zawieszony. I ptaki żadne nie śpiewały, choć ciągle trwał dzień.

Odwrócił się do korytarza.

Było tu przesadnie bogato, rzeczy dobrano niedbale i bez staranności. A i co rusz wystrój się zmieniał. Po parunastu kolejnych krokach Aram już tylko nagie ściany zastał, nawet ozdoby zniknęły. Szedł tak, póki nie napotkał kolejnego dziwu – ściany całej freskami, a właściwie jednym wielkim obrazem pokrytej. Malowidło to znał – widział je niegdyś w Rzymie. Przedstawiało stworzenie Adama, tyle że na kopii zabrakło Boga i kupidynów. Była natomiast wyciągnięta w stronę Adama ręka. Sama ręka, wystająca znikąd, jakby powietrzna złuda. Pokrywało ją gęste futro i z pewnością nie należała do człowieka.

Aram ruszył dalej ze zmarszczonymi brwiami. Ledwo minął fresk, z korytarzem poczęło dziać się coś niezwykłego.

Im bardziej wycęzał wzrok, tym bardziej się dziwił. Filar stał krzywo – kiedy spoglądał na niego z siedmiu kroków, ani chybi uciekał w prawo – lecz gdy się zbliżał, wyraźnie cofał się do pionu. Tuż przy słupie wszystko wydawało się być w porządku. Ułuda niewątpliwa; coś sprawiało, że z odległości inaczej rzeczy wyglądały, bo nie tylko o filar chodziło. Wyginały się podpory, krzywo stała zbroja i szable wisały nierówno. Przetarł oczy raz i drugi; wrażenie nieco osłabło.

Wtem zabiły zegary; cztery, może pięć, dopiero teraz je zauważył, jak i cała reszta krzywo ustawione i zawieszane, poprzekęcane w różne strony. Biły wrzaskliwie, niby na powitanie, a tyle tylko zdołał dostrzec, że na każdym była inna godzina – i to niekoniecznie pełna. Krzyczały jeden przez drugi, wwiercając się w mózg. Nikogo i niczego prócz tego jazgotu tu nie znalazł, a zegary wciąż biły, coraz donośniej. Puścił się biegiem, gdy naraz szabla zaczęła mu się obijać o nogę, jak gdyby przekrzywiły się także rapcie. Ale biec nie przestał, a i serce w nim gnało, niczym rumak galopujący po stepie, i wreszcie, choć nie chciał, musiał się zatrzymać. Czuł, że co najmniej ze dwie staje przebiegł, a tymczasem, gdy spojrzął za plecy, nadal widział szczyt schodów. Wszędzie tylko gęby i zegary, gęby i zegary, a także szable różnorakie i ciężkie, okute znaki herbowe, ściany zdawały się ociekać żelazem...

Zdębiał już całkiem. Nie wiedział, czy zostać, czy wracać, po co tu w ogóle wszedł, co chciał znaleźć?

Nagle kilka kroków dalej ujrzał mężczyznę leżącego pod ścianą.

– Pomóż mi waść...

Ciało miał okaleczone, trzymał się za brzuch, gdzie widać otrzymał ciężką ranę, jednak gdy Aram się zbliżył i ręce mu odchylił, okazało się, że nie jest śmiertelna. Bez pomocy wszelako śmierć niewątpliwie by go szybko dosięgła.

– Ktoś ty? – spytał podejrzliwie Aram. Leżący spojrzął na niego smutno.

– Wołodzimski *sum!* Pewnieś waść o mnie słyszał, jeśli na Podolu mieszkasz...

Wyglądał na zadbanego, wąs miał bujny, lecz schludnie przycięty. Na twarzy dość krągły,

choć bez nadmiernej tuszy, co łatwo by się rzuciło w oczy, jako że nie był zbyt słusznego wzrostu. Kontusz był rozpiął, a także w koszuli mokrej od potu parę guzików.

– Co tu waść robisz?

Wołodzimski wstać spróbował, zachwiał się jednak i upadł.

– Uch... najlepiej się nie czuję, trochę mnie poharatało...

– Co? – Aram bezwiednie się obejrzał, ale to tylko któryś z zegarów wybił ostatni raz. Wołodzimski w ogóle nie zwrócił na to uwagi.

– A bo ja wiem? Zmora jakaś? Może kikumora? Dźwięk tylko usłyszałem... i blask... ledwo życie uratowałem spod jej szponów... tu się dowlokłem... wczoraj to było, lub przedwczoraj...

– Znów się za brzuch chwycił, palcami przyciskając ranę.

– Po co waść tu przyszedł?

– Na Wołyń wędrowałem, do wojsk naszych chciałem dołączyć, przeciw tym diabelskim pomiotom wysłanych, alem po drodze tego szlachcica spotkał...

– Jakiego szlachcica?

– Wysłał go tu krewny pana onych włości. Opowiedział mi to i owo, strachem zdjęty, bo okropne ponoć rzeczy tu się działy. Obiecałem, że na niego poczekam, ale gdy się nie pojawił, sam do dworku przyjechałem. Ten krewny niezłą sumkę za jakieś wieści oferował, a ja trzos mam pusty, to i na pieniądz zawsze miło popatrzę. Ale to zły pomysł był... bardzo zły...

– Znalazłeś tu kogo?

Wołodzimskiemu nowe krople potu na oblicze wystąpiły, widać nawet w opowieści nie był chętny do przywoływania wspomnień.

Aram dobrze go rozumiał.

– Nikogo... nikogo... pusto było, drzwi otwarte, sprawdziłem każdy kąt i wreszcie gdy już miałem jechać z powrotem, krzyk usłyszałem... w stronę schodów pobiegłem, ale gdy tylko tu się znalazłem, błysk nagły wszystko rozświetlił... strzeż się waść błysku, strzeż się, wtedy mnie bowiem upir dopadł...

– Przed dwoma dniami to było?

Wołodzimski westchnął.

– Dwa dni, nie dawniej, dwa dni...

To, co mówił, brzmiało składnie, a jednak Skrytomirski wysłał poprzedniego śmiałka już kilka niedziel temu, coś się więc Wołodzimskiemu poprzestawiało – albo zwyczajnie kłamał.

– Wyjść tylko stąd chcę, już mi nie w głowie nagrody... ale schody daleko bardzo, sam rady nie dam i szczeznąć mi tu przyjdzie...

– Ale przecie... – Aram odwrócił się od szlachcica i spojrzał tam, gdzie jeszcze chwilę temu widział schody, a teraz... Teraz jeno korytarz długi ciągnął się w jednym i w drugim kierunku.

Podniósł się wreszcie Wołodzimski i oparł na Aramie.

– To ani chybi ich sprawka, wątpliwości co do tego nie mam.

– Kogóż to?

Ciężki był szlachcic, lecz go Aram wziął na plecy i ruszył do miejsca, gdzie powinno być zejście. Szybko się jakoś ściemniło, już szarość wlewała się przez nieliczne okna, a przecie rankiem tu zawitał i nie mógł dłużej niż dwie godziny przebywać...

– A jakież masz waści gorsze diabły nad te kozackie bestie? Wiele już widziałem, ale tacy jak oni... – Splunął z pogardą, a tak nierówno, że plwocina wylądowała na kontuszu Arama. – W bitwie litości żadnej nie mają, zaś nad rannymi się pastwią z uśmiechem na ustach. Na pal

mi druhów trzech nadziali, a i ze mną, gdybym zawczasu nie uciekł, to samo by uczynili. Zaiste, wierz mi, nie są ludźmi, tu prawdę chłopcy gadają, nic w tym przesady nie ma... Sam widziałem, jak im oczy o zmroku płonęły, jak nad ogniskiem hasali, do szatana modły wznosząc... I to tutaj też atamańska pułapka, pewny jestem...

Coś wiedział Aram na ten temat, coś pamiętał, nie odzywał się jednak, pochłonięty dźwiękami szlachcica i wypatrywaniem wyjścia.

– Nie powinna tego robić... nie powinna – bełkotał Wołodzimski. Mocniej się jeszcze zwiesił na ramieniu Arama, prawie że nogami szurał po podłodze. – Nie powinna niewiasta takiej krzywdy sobie czynić...

Szarość w mrok przeszła, ledwo już Aram rozpoznawał sprzęty, ledwo kontury, a schodów wciąż nie było. Czy wciąż na poddaszu się znajdowali? Czy zwać to poddaszem w ogóle można było? Żadna pochodnia tu nie płonęła, tylko słabe światło gwiazd i księżyca blado oświetlało drogę. Kątem oka przyglądał się szlachcicowi i oblaży go znów jakieś dziwne widziadła; odniósł wrażenie, że twarz Wołodzimskiego gęsty zarost pokrywa, zarost i brud. Nos zmarszczył, czując od szlachcica nagły odór.

Dziwnie lekki się zrobił imć Wołodzimski. Aram oczy odwracał, nie chcąc więcej dać się mamić, ale zewsząd ze ścian dopadały go jakieś inne, utulone w ciemności ułudy. Głośno tykał zegar, a pod nim, wahając się miarowo, wisiał... sznur.

Nie powinna niewiasta takiej krzywdy sobie czynić...

Rozległ się huk, blisko bardzo, i mrok zniknął, w korytarzu dzień nastał, jasność niebywała, blask, który wyssał wszystkie gwiazdy i oślepił Arama...

Dotrzeć do schodów nie zdążyli, gdy wtem oczy szlachcica poczęły goreć. Znów nabrał ciężaru, zaparł się i nawet sto koni nie ruszyłyby go z miejsca. Teraz to on ciągnął, z powrotem w stronę korytarza, z powrotem w głąb domu. Wywrócili się obaj, ale Wołodzimski w mig się podniósł i skoczył Aramowi na grzbiet.

Znienacka wyrosły mu szpony jak u harpii, zawył dziko, a to wycie rozniosło się po całym korytarzu. Tylko instynkt zbawił Arama, instynkt i odrobina szczęścia, bo zrzucić szlachcica nie dał rady, lecz zdołał się obrócić, tak że Wołodzimski zahaczył głową o ciężki herb.

Spadł. Raz jeszcze błysnęło, silniej nawet niż na początku i na tyle długo, że zobaczył Aram, z czym w istocie ma do czynienia. I wiedział już, że szlachcic nie żyje, że to, z czym rozmawiał, co go teraz napadło, od dawna już nie było człowiekiem.

Dobyl szabli, póki przemieniony Wołodzimski nie zdążył się podnieść i póki światło nie zgasło; nie zastanawiał się ani chwili, bo i nie było nad czym. Stwór zaśmiał się obmierzłe powleczoneymi śluzem ustami.

– Upira we mnie szukasz? – odezwał się głuchym głosem, pozbawionym jakiegokolwiek barwy. – Siła przecie upirów w atamańskiej armii! A i ty o tym wiesz co nieco, prawdaż? Pójdźże tu szybko, rozprawię się z tobą raz-dwa, szybciej niżli te Chmielnickiego bestie, co to znęcać się lubują! Pójdź, abym rozerwał ci szyję, bo i tak oni niedługo to zrobią!

Znów zapadła ciemność, stwór skoczył, lecz szabla okazała się szybsza. Krew zbryzgała szatę Arama, a korpus i łeb tego, co było niegdyś Wołodzimskim, upadły osobno na marmurową podłogę.

Stał przez chwilę nad upiorem. Próżno podobieństwa do szlachcica w nim szukał, a i truchło wietrzało w oczach, w proch się obracając. Dreszcz Arama przejął, ale coś kazało mu

za pazuchę sięgnąć i kwiat dzięcielinę namacać. Ciepły blask słońca trafił z jego palców do serca i z ust głęboki oddech ulgi wycisnął.

Mylił się wszak Aram wielce, sądząc, że to już koniec. Nagle zaczął grzęznąć, jakby lity marmur w błoto się zamienił; przez głowę przemknęło mu wspomnienie tamtych roztopów, gdy na Dzikich Polach stawał do walki, kiedy go po bitwie kozacy ciągnęli na śmierć, ale zdołał cudem uciec, wprzód czterech zabijając...

Szedł po podłodze, a jednak topił się w bagnie, z dala słyszał rzenie koni, jeszcze dalej okrzyki bojowe, a na samym końcu, choć zdawały się głośniejsze od wszystkiego, jęki konających, które zlały się w jeden straszny dźwięk. Już pojęcie stracił, co prawdą jest, a co kłamstwem. Żadnego dworku nie było, to jeno sen, wytwór umysłu, a on leży ranny w rozmokłej ziemi i czeka, aż po niego przyjdą, czeka, wiedząc, co nastąpi, lecz tym razem nie zdoła się wyswobodzić, tym razem nawleką go na pal i umrze w męczarniach.

Sceny mu się mieszały, bo i wiele takich przypadków przeżył, odkąd lat temu dziesięć zaczął wędrować. I tam na Krymie, gdy posłował do chana, od zbójów był raniony. Albo gdy w Persji dalekiej pośród gór zbłądził i długo się tułał... Wszystko to się teraz plątało, splatało niczym źle nawinięta przędza, a Aram chciał się tylko położyć, dać już temu pokój, odpocząć wreszcie, niczym się nie martwić i troski własne zostawić hen za sobą...

Słyszał konie, zbójców, wiatr z gór hulał z całą mocą, razem i osobno działały się rzeczy, a jednak niczemu się nie dziwił, znów umierał, raz za razem śmierć. A i tamta śmierć sprzed lat dziesięciu, ta najbardziej bolesna, choć nie jego własna, też mu została przypomniana...

Postawił jednak krok. I jeszcze jeden, a każdy okupiony nieludzkim wręcz wysiłkiem. Zbliżali się, tupot kopyt był już tak wyraźny, tak bliski, iż wiedział, że umknąć nie zdoła.

I jeszcze jeden. I ostatni...

Tuż przed nim wyrosły drzewa.

* * *

Nie był gotowy na te nowe cuda.

Może łatwiej by było, gdyby rzuciło się na niego stado demonów, może łatwiej by sobie poradził. Ale tego, co tu widział, nie szło zdzierżyć, tym bardziej gdy ze zdwojoną siłą dał o sobie znać głód.

Stół jadłem wszelakim zastawiony i napitkiem, sala piękna jak marzenie. Nic tylko sięgnąć i odpocząć.

– Wiem, żeś waszmość podejrzliwy – odezwał się ktoś zmysłowo. – Lecz nic nie szkodzi zostać na chwilę.

– Już to słyszałem – odparł, wciąż nie widząc, kto przemawia, choć głos niewątpliwie należał do niewiasty. – Ale trza mi w drogę, bo nic tu dla mnie przyjazne nie jest.

– Tego jeszcze nie wiesz. – Zaśmiała się filuternie po tych słowach, a Aramowi ten śmiech wydał się niebywale powabny.

– Wiem tyle, co widziałem, waćpani. A tu nic nie widzę.

– Czy to jadło nie jest odpowiednim widokiem?

Aram jeszcze raz przyjrzał się stołowi. Wszystko wyglądało apetycznie, choć chciał się trzymać swoich zasad. A tymczasem na stole królowało mięsiwo: pieczony drób i wszelakie szynki, prosię z różną i przeróżną kiełbasą, a także dania znacznie bardziej niezwykłe, choć właściwie powinien je raczej określić straszliwymi. Znał niektóre, widział je na paru

dworach, wśród magnatów, co się egzotyką chcieli pochwalić, choć nie dostrzegał w tym niczego egzotycznego. Kapłony spojone octem winnym i żywcem upieczone; żółwie w ukropie gotowane, wcześniej nóg pozbawione; szczupaki groteskowo przysmażone u głowy, pośrodku pieczone, a mające potrawkę z sosem u ogona. Kapłony skrzydłami do Arama machały bezradnie, szczupak wyginał ogon, jakby w męce roił sobie, że jest w wodzie, a odcięte żółwie kikuty drżały, nadaremno próbując unieść skorupę. Zdało mu się, że opaść go pragną te szatańskie potrawy, a może, że ciągle jeszcze żywe ciągną ku wybawieniu, byle dalej od stołu. Wokół zaś unosiła się łechcąca zmysły woń szafranu i muszkatu.

Z piekła rodem pokusa.

– Dziękuję, waćpani, jeść już jadłem, pić już piłem, jeno drogi dalszej szukam..

– Drogi, powiadasz? – Najwyraźniej się z nim droczyła, wciąż nie ujawniając swego oblicza. – A czyż towarzystwa szlachciance dotrzymać nie możesz? Przez czas jakiś przynajmniej, samotnie tak się tu czuję.

– Skądęś się, waćpani, tu wzięła? Jak sobie tu radzisz?

– Jadła i napitku, jak widzisz, mi nie brakuje. A czary złego człowieka mnie tu zamknęły.

– Lecz czy...

– Czy człowiekiem jestem, a nie demonem? – przerwała mu, domyślając się reszty. – Sam sprawdź.

Wyszła tedy i nawet nie zauważył, skąd się pojawiła, lecz szybko straciło to na znaczeniu. Zaiste ponętny głos nie kłamał – ujrzał niewiastę niebywalej wręcz urody i niezwykłego powabu, w pełni świadomą swoich wdzięków. Było w niej równocześnie coś tak ciepłego, iż wszelkie podejrzenia prysły.

– Siądź, waszmość, proszę, jeśli jeść nie chcesz. Siądź, porozmawiaj ze mną.

Nie chciał się dłużej opierać. Czuł męczenie, lecz przede wszystkim urok tej szlachcianki skruszył wszelkie opory.

Uczynił, jak prosiła.

– I dobrze, że się waść zdecydował – pochwaliła z radością słyszalną w głosie i widoczną na twarzy. – Wszak ile można duszy i ciała katuszy zadawać?

– Tyle, ile trzeba, by przeżyć – odparł bez namysłu. Widać odpowiedź ta przypadła jej do gustu, bo aż w ręce przyklasnęła.

– Z obcych ziem się wywodzisz, prawda?

– Tak, waćpani, choć od szóstego roku życia w Rzeczypospolitej mieszkam. I jedyna to moja ojczyzna, innej nie pamiętam.

– Czy to ważne: kto i skąd? Świat jeden jest, a ludzi na nim zbyt wielu, aby się pochodzeniem przejmować. I tak wciąż wojny, a jak nie wojny to zarazy, tylko patrzeć, jak wszystko raz na zawsze się skończy.

– Kto tu waćpanią uwięził?

– Nie warto o nim wspominać – odrzekła wymijająco.

Krażyła między stołem a siedziskiem, na którym Aramowi przykazała spocząć, raz zbliżając się, raz oddalając, jakby zwodząc go kolejną pokusą. I wrażenie odnosił czasem, że światło świec na sile przybiera, a twarz nieznanym do twarzy jego ukochanej Zosi staje się niezwykle podobna. Zosi, którą choroba mu zabrała dziesięć lat temu.

Nie chciał patrzeć, a jednak nie umiał się powstrzymać – chęć ujżenia ukochanej była silniejsza od wszystkiego.

– Jak wszyscy mężczyźni masz zapewne swoje troski i smutki – rzekła szlachcianka, jakby

dokładnie wiedziała, co mu w duszy gra. – Ale rolę nas, niewiast, jest, aby te troski rozwiewać. Nie zawsze potrafimy to uczynić, niemniej próbować należy nieustająco. A czegoż waszmości potrzeba? Muzyki? Śpiewu? Rozrywki czy tylko spokoju?

– Nie wiem – odparł. Poczł się skołowany jak nigdy dotąd. Juź nie wiedział, co jest prawdą, a co jedynie wymysłem zmęczonego umysłu. A jeśli była tu Zosia, jeśli faktycznie ją właśnie widział, jeśli nadal żyła, pokonała chorobę, wbrew temu, co się stało, wbrew ziemi, którą przysypał jej grób? Znów intensywnie poczał się w nieznaną wpatrywać i z każdym kolejnym spojrzeniem nabierał pewności. W ostatnim odruchu obrony kwiat dziecieliny spróbował za pazuchą namacać, gdzieś jednak przepadła. Dłużej juź wątpliwości mieć się nie dało. Wstał więc z siedziska i bez skrępowania żadnego podszedł do niewiasty, a ona, jakby na to czekając, zaśmiała się perliście.

– Dobrze, kawalerze, tak trzeba!

– Gdzie byłaś? – Aram juź ją chwycił, a Zofia tylko się okręciła i szyję odsłoniła gotową do pocałunków. – Gdzie byłaś przez te lata, kiedy cierpiałem?

Śmiała się śmiechem, który tak uwielbiał: dźwięcznym, szczerym, do cna dziewczęcym i nieskażonym sztucnością. Poznałby ten śmiech na końcu świata.

– Czekałam tu na ciebie, mój bohaterze. Wiedziałam, że przyjdiesz.

Odwróciła się i spojrzała mu w oczy tak gęboko, jakby chciała tym spojrzeniem dotknąć samej duszy. I tak właśnie się poczał. Zalała go błogość, szczęście, lecz na dnie czało się coś niepokojącego, coś bardzo słabego, co jednak ustawicznie się w nim odbywało. Chciał ten głosik zdusić, zabić, by nie niweczył nastroju chwili, nie zdołał jednak.

– Pójdź ku mnie – powiedziała Zofia i pociągnęła go za rękę, prowadząc wprost do alkowy. – Pójdź i zostań ze mną.

Opierał się przez mgnienie tylko.

Pożądał jej mocniej chyba niż kiedykolwiek, bo była to moc zdwojona śmiercią i zmartwychwstaniem, tajemnicą, jakiej chyba nikt wcześniej nie doświadczył, oczekiwaniem i cierpieniem tych lat straconych, gdy był pewny, że nic tego oczekiwania nie zaspokoi, że Zofię ziemia pochłoneła i na tym łez padole juź jej nie spotka, a wiarę w ten drugi, lepszy świat powoli tracił. Pożądanie wzmocnione poszukiwaniem jej pośród innych niewiast, nocami daremnymi spędzonymi z przypadkowymi kobietami, z których żadna nie była Zofią, żadna choć trochę jej nie przypominała...

Nie, nie mógł i nie chciał się opierać. Szedł za nią, prosto do alkowy, a słowa padały z jej ust te, które Zofia zawsze mu powtarzała.

Tak, ja też za tobą tęsknię, kochany...

Jakże piękna była jego żona, jak bardzo pragnął z nią być, a ona na wszystkie te pragnienia niezwłocznie odpowiadała.

Kochali się długo i namiętnie. Tak jak przed laty. Tak jak wtedy, gdy byli ze sobą po raz pierwszy w noc zaślubin. Nic się w Zosi nie zmieniło, pozostała taka, jaką ją zapamiętał.

Póki trwała noc.

– Ty...

Wstała z łóża, śmiejąc się głośno, lecz nie był to juź śmiech jego ukochanej.

Zobaczył je wówczas, zobaczył wszystkie naraz. Leżały na stole. Leżały na podłodze. Leżały pod ścianami. Leżały wszędzie, wszędzie gdzie tylko się dało, a był ich legion. Martwe

w większości, lecz niektóre wciąż się ruszały, wciąż nie uszło z nich życie. Jedno o oku cyklopa spoglądało prosto na niego. Inne, o trzech rękach, ale bez dolnych kończyn, dźwignęło wątłe i wykrzywione ciało, próbując się dostać na łożo. Aram odsunął się ze wstrętem, a gdy kolejne chwyciło go zdeformowanymi palcami za ramię, kopnął je. Cicho zakwiliło i zgasło.

Chwycił szaty i ubrał się pospiesznie. Szlachcianka wróciła. Stąpała po dzieciach, jakby były fragmentami posadzki. Włosy stawały mu dęba, gdy słyszał, jak chrupią ich kości, jak pękają główki, lecz żadne głośniejsze nie zapłakało. Z jeszcze większym przerażeniem stwierdził, że mylił się co do ich martwoty. Pomimo że w całkowitej nieomal ciszy poddawały się cierpieniom, większość z nich jeszcze żyła. Lub raczej egzystowała jeno, bo życiem prawdziwym nie mógł tego nazwać.

Serce mu stanęło, dreszcz przeszył ciało, dopadło go nagłe zimno, choć równocześnie na czoło wystąpił pot, który otarł wierzchem dłoni. Z tyłu głowy poczuł nagły ból. Nijak nie umiał się opanować i z najwyższym trudem zdołał zamknąć na moment powieki. Gdy je na powrót uniósł, spojrzał prosto na nią.

– Ty...

– Jestem tą, która rodzi – odparła. – A tyś mi dał swoje nasienie, przez co na wieki potępiony będziesz.

– Nie tobie, ale jej...

Tym razem śmiech rozbrzmiał drapieźnie i wściekle.

– Naiwny głupcze, co w bajki o zmartwychwstaniu wierzysz! Sądziłeś, że pan twój z niebios zstąpił i zmarłą ci przywrócił? Bo tak cię umiłował, ciebie jednego, gdy innych na męki i cierpienia skazuje? Naprawdę tak cię miłość zaślepiła, iż uwierzyłeś, że ktoś ci ją jeszcze zwróci? – parsknęła, a potem nagle spojrzała na Arama cieplej. – Jest jednak dla ciebie pociecha. Zostań tu ze mną, na wieczność, bo nikt nas nie tknie, zostań, a ja zrodzę mnogość tych poczwara, które w swej słabości jak dzieci traktować możesz. Czyż nie lepsza to oferta? Dam ci rozkosze, o jakich nie śniłeś, i ani starość, ani śmierć cię nie dosięgną. Cóż ty na to?

Rozejrzał się z narastającym poczuciem, że oto setka oczu na niego patrzy, że palą go te spojrzenia, że jest w nich tyle żalu, tyle smutku, iż oceanu by nie starczyło, żeby go utopić.

– Chcę... iść...

– Spójrz, już brzemienna jestem. – Wskazała swój brzuch i zaiste był wyraźnie wydęty, coś w niej rosło, co sama zwała poczwara, byt zrodzony z jego zapomnienia, żalu, z jego nadziei naiwnych, pragnienia płonnego. – Tu szybko to idzie. Powiję je na podłodze, jak wszystkie inne, i tam porzucę, by stopy nasze mogły je kiedyś rozdeptać, dla następnych miejsce robiąc.

Wzdrygnął się, cofnął.

– Sam wczoraj mnogość ich zabiłeś – dodała, błyskając zębami w uśmiechu. – Sam deptałeś po nich, nie widząc jednak, bo tylko ukochanej szukałeś, tylko jej twarz w mojej twarzy dostrzegałeś, jej spojrzenie w moim spojrzeniu, jej dotyk czułeś, gdy moje palce cię muskały. Tam potępienie cię nie minie, lecz tu nic złego cię nie spotka.

– Chcę... iść – powtórzył.

– A gdybym cię zabiła? – spytała ni to ze smutkiem, ni z groźbą. – Gdybym kazała im cię zgładzić? Myślisz, że nie mam takiej władzy? I tak stąd wyjść nie zdołasz, bo imienia mego, niech je demony przeklną, nie znasz. A tylko wypowiadając je, nakłonić mnie możesz, bym ci wyjście wskazała.

Aram musiał stąd wyjść – to jedno wiedział na pewno. Morze ciałek już go nie brzydziło;

raczej przerażało. Wciąż i wciąż przelewało się falami. Pełzające kształty, niemy wyrzut, skarżąca koślawość, jakby pytały, czemu właśnie one, czym sobie na tę karę zasłużyły... I pazury. I zęby u wielu, zbyt wielu dzieci-poczwar. Tak, poczwar. Dobrze je określiła.

Przeszedł, nie patrząc, gdzie nogi stawia, bo i nie dało się potworków ominąć. Poczł nagłą otuchę – jakoś czasem wydostawać się na zewnątrz musiały, skoro jedno przynajmniej znaleziono poza przeklętym domostwem. Ale w drugiej sali ich przecie nie było, w drugiej sali dało się odetchnąć, choć na chwilę o tym koszmarze zapomnieć, choć słuch zapomnieć nie pozwalał, bo w drzwi skrobały, na grube, okute stałą drewno napierając ciałkami, pragnąc wydostać się na prawdziwy świat, a może i miłości matczynej zaznać gdzieś, u kogoś...

– Chcesz imienia, tak?! – ryknął, gdy za nim poszła. Zdało mu się, że brzuch jej jeszcze urósł, że jeśli poczeka kilka chwil, ona tu rodzić zacznie, dzieci z jego nasienia, potwory z jego lędźwi...

Pręgi czerwone wykwitłe na jej szyi, na które wcześniej nie zwrócił uwagi.

Nie powinna niewiasta takiej krzywdy sobie czynić...

Pręgi...

– Wypuść mnie, Marianno. – Powietrze uszło z niego, ze świstem wypuścił je nosem. Zbladła nagle jego prześladowczyni i cofnęła się ku ścianie.

– Skąd ty...

– Wiem i tyle. – Tłumaczyć nic nie zamierzał, pragnął tylko stąd wyjść. Odniósł wrażenie, że gdy odpowiedź podał, napór na drzwi jakby ustał. Czy i dla nich to coś zmieniało, czy jedynie tak mu wyobraźnia dyktowała?

Łzy zrosiły jej policzki.

– Zostań tu ze mną – wyjąkała. – W potępieniu pociesz. Ty straciłeś i ja straciłam co najważniejsze. Jeno ci się zdaje, że dalej żyjesz, wiesz zaś w duszy, żeś wówczas razem z nią umarł. Zostań ze mną, a w cierpieniu sobie ulżymy...

– Może i tak – udawał, że rozważa tę propozycję, choć od początku nie zamierzał zmieniać zdania – lecz uczynić coś jeszcze muszę.

– Tam śmierć na ciebie czeka – ostrzegła i nie kłamała. Przez płacz przebił się uśmiech, ale tak cierpki, że uczynił ją jeszcze bardziej smutną. Nie chciała być zła, a jednak była. Nie chciała cierpieć, a jednak cierpiała. Pojął Aram, że to najsamotniejsza w świecie osoba, która ani bliskich, ani wybawienia od swej egzystencji nie zazna.

Wyjście mu wskazała – wąską norę, ukrytą tuż za stołem, w którą z trudem się wcisnęła. Pełznąca w mroku i ciasnocie, jedno wiedział na pewno.

Od śmierci powrotów nie ma. Nigdzie i do nikogo.

* * *

Labirynt rozwidlał się we wszystkich kierunkach. Aram dawno już stracił rozeznanie, gdzie jest, a gdzie był, choć rozglądał się i głowił bezustannie. Powieki mu ciążyły, sen morzył, lecz się temu nie poddawał. Nie mógł. Nie chciał. Nie w tym miejscu, które było tak nieprzyjazne.

Usiądź.

Czyżby przysnął?

Usiądź i się nie trap.

Zdawało mu się...

Może trawił go obłąd po tym, co mu się zdarzyło; nie byłoby w tym nic dziwnego. Chciał stąd uciec, wydostać się, ale ścieżki prowadziły wszędzie i nigdzie, milion wejść i milion wyjść...

Usiądź, to nie twoja wina... odpocznij waść.

– Dość już tego! – wrzasnął. Jednak nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Miraż i ułuda, tak to wyglądało. Kolejny fałsz w tym miejscu pełnym fałszów.

Labirynt nie zamierzał go wypuścić.

A gdyby?

Nie chciał tego, ale myśl była silniejsza, już się dobrze usadowiła w głowie. A gdyby ten labirynt żył, jak rozumny byt, gdyby ochoty na grę nabrał, na jakąś szaloną zabawę z tymi, co tu zawitają, gdyby Aram ten trop niby podjął i w grze zwyciężył, czy zostałby wypuszczony?

Usiądź i daj ciału wytchnienie.

Usiadł więc pod ścianą i w tym momencie spłynął na niego błogostan. Z trudem hamował senność, a przez tę krótką chwilę, gdy senna zmora mu się objawiła, widział bajecznie kolorowe łąki, czuł zapach kwiatów i płasał wśród niewiast, które dawno temu były mu bliskie. Nikt do niczego go nie zmuszał, o nic nie prosił, nikt od niego nie chciał przysługi i wiedział doskonale, że może tu spędzić choćby sto lat, a nie zestarzeje się nawet odrobinę, że będą mu dane wieczne szczęście i spokój.

Pragnął tu pozostać, jak nigdy i nigdzie do tej pory.

Wtem jakieś drgnienie wyrwało go z objęć mary.

To ściana go obrosła, tak że stał się jej żywym elementem. Szarpnął się i prawą nogę, jeszcze słabo związaną, uwolnił, lecz z prawą ręką już mu się nie powiodło. Z sił całych ciągnął i nic to nie dało. Próbę za próbą ponawiał, aż prawie całkowicie opadł z sił...

Snu waść zażyj, to cię wzmocni.

Ktoś go zwodził, lub może sam to sobie czynił. Już niczego pewnego powiedzieć nie umiał, poza tym, że w dworkowym labiryncie panuje wieczny półmrok. Taki, w którym jednak kształty i widziadła dało się odróżnić. A pojawiać się zaczęły różne zmyry, nieprzyjemne w szczególności, niechciane, jakby plwociny umysłu, dawne koszmary, o których pragnął zapomnieć. Zatrzymać tu Arama inaczej niż siłą się nie dało, więc dworek zaprawy murarskiej musiał użyć. Dopiero wówczas mógł skazać go obrazami, a ze wspomnień, choćby tych najodleglejszych, korzystał skwapliwie.

Aram miał wrażenie, że zmierza ku obłądowi. Musiał być w gorączce. Przed oczyma przesuwwały się twarze dawno poznanych zdrajców, niczym kukielki w dziecięcym teatrzyku. Łotrzy śmiali się i szydzili z niego, a każdy podły człek prawił mu obelgi. Czuł się niczym Chrystus przytwierdzon do krzyża, tyle że nie umierał za ludzkość, jeno za swe własne grzechy.

Odejmij waść rękę, a odejdziesz.

Jakoweś wyjście to było, lecz co potem? I kto go kusił: Bóg czy diabeł, kto tym razem próbował mu ukraść duszę?

Aram nie miał już sił, by podjąć walkę.

Rękę tylko, rękę.

Szeptał labirynt, szeptały ściany i łotrzy szeptali. Widział ich dokładnie, choć twarze szybko się zmieniały, przechodząc jedna w drugą. Cała zdrada i nienawiść, jakie go kiedykolwiek dosięgły, znalazły tu swe ujście, a bezlitośnie kęsały, choć tylko słowami, to bolało okrutniej od cielesnej tortury.

– Jej żeś nie uratował, a mogłeś! W obce kraje na dalekie stopy iść wolałeś, na wojaczkę, niż przy niej zostać! W samotności umierała, o tobie z żalem myśląc, żeś ją zostawił!

– Nie zostawiłem jej, ranny byłem..

– Obce dziewczki po karczmach chędożyłeś, gdy nad żoną twą śmierć już wisiała! Oto prawda!

– Nigdy tak nie było! Nigdy!

Utnij waść rękę, ukarz się za to, coś uczynił...

Twarze ogorzałe od wina, o pustych spojrzeniach, otaczały go już zewsząd. Twarze nierealne, eteryczne, a jednak realniejsze poniekąd od wiary, jaką w sobie latami nosił, wiary w dobroć i sprawiedliwość. Słusznie czynili – łatwiej i uczciwiej łotrem było zostać na tym zgniłym świecie...

– Przyznaj się wreszcie sam przed sobą, po cóż ta tułaczką wieczną! Po cóż od lat dziesięciu po świecie się włóczysz, po cóż ryzyko najgorsze podejmujesz, celowo śmierci w oczy spoglądając! Bo winny się czujesz!

– Nie...

– Choć raz, choć sam przed sobą prawdę rzeknij!

– Nigdy nie chciałem, by tak się stało! Chciałem tylko, żeby wróciła!

Wolną rękę porwał ku twarzy i począł ją drapać, drapać tak, że pociekła krew, że pod paznokciami poczuł skrawki skóry, ale nie przestawał, i nie przestanie, wiedział to, póki się nie oczyści, póki nie znikną liszaje i znamiona. Zdrapał jedną i drugą skórę, mięso, oczy, i nadal nie przestawał, musiał, inaczej się nie dało, musiał... głosy wciąż go do tego zachęcały... zachęcały, by uczynił to powtórnie, i tak w nieskończoność – drapać rany, rozrywać te już zabliznione, po kolei każdą z nich...

Głosy zamilkły, gdy pierwsze łzy pociekły mu po policzkach. Często słyszał, że mąż płakać nie powinien; teraz jednak nie dbał o to. Do głębi nasiąkł żalem, zbyt głęboko, by mógł to zatrzymać...

Zapadła już noc i znów nieprzebrana ciemność posiadała to miejsce. Nie mógł zasnąć, a przecie tak pragnął spać. Trzy noce bez snu, trzy noce, a może więcej... może właśnie to go zbawiło, przy życiu zachowało w tym wrogim miejscu? Sen bowiem czyni człowieka bezbronnym, pozostawiając we władzy demonicznych sił, które tu szalały w najlepsze. Lecz jak tu nie spać, jak wytrzymać kolejne godziny bez odpoczynku? Tego nie dało się tak po prostu znieść.

Jak pachniała dzięcielina przed dworkiem? Czy w ogóle miała jakiś zapach? Czy był stanie go sobie przypomnieć? Zaledwie dni parę, a jakby cała wieczność minęła, miesiące i lata. A jednak usilnie próbował zmysły do porządku przywołać i o te kilka dni pamięć cofnąć...

Labirynt ruszał się, pulsował cały czas i drżał, ale Aram wiedział, że póki ma otwarte oczy, to, co ożywia ściany, nie wykona kolejnego ruchu. Walkę tę jednak przegrywał, a drugiej ręki oswobodzić nie potrafił, choć szarpał z całych sił.

Powieki same się zamykały. Uniósł je gwałtownie raz i drugi i trzymał rozchylone całą siłą woli. Lecz po jakimś czasie znów ciążyły ku dołowi, opadając coraz niżej i niżej. Ze ścian wyrastały kolejne macki, niczym trujące grzyby na zroszonej deszczem polanie.

Śpij, waść, śpij i odpoczywaj

chwyciły

śpij

aby już nie puścić.

W tym dziwnym stanie jeszcze niebędącym snem, a już nie jawą, poczuł, że więzy trzymają go słabiej. Część jego jaźni przejęła kontrolę, coś poczęło wyswobadzać rękę i nie musiał wcale prężyć mięśni, samo się działo, póki tylko nie zasypiał głębiej ani się nie budził, póki trwał w tym zawieszeniu i w żadną ze stron jego dusza się nie wychylała.

Wtem przeraźliwe miauknięcie wyrwało go z półsnu. Tak koty się darły, gdy przychodziła pora ich amorów. Lecz tu był tylko jeden, smoliście czarny, bydlę z piekła rodem, a ślepie mu się świeciły jak dwie gwiazdy oddane żeglarzom.

Ręką mógł swobodnie ruszać, wciąż jednak nie całkiem był wolny. Zwierz mu się przyglądał i ani myślał uciekać. Coś Aramowi w głowie zaświtało, myśl jakaś nie całkiem jeszcze trzeźwa. W stan drzemki wprawdzie musiałby znowu zapaść, bał się jednak, że mocny sen go zmorzy i wówczas ściana pochłonie jego słabe ciało. Więc mięśnie z całych sił napiął, do przodu rwąc i z podłogi próbując się podnieść. Wyczuło to i...

Zostań, waść, zostań tutaj!

Pociągnął raz jeszcze i...

Stąd nie ma wyjścia! I tak tu spocznieś!

Udało się.

Rękę miał pokrwawioną, nie zważał jednak na rany. Chciał się jedynie stąd wydostać. Tymczasem sen nadchodził, powieki z każdą chwilą robiły się coraz cięższe, równie szybko rosła wewnętrzna słabość. Labirynt nie kłamał: pierwszy mocny sen będzie jego ostatnim. Ciemność okazała się czuwać niczym przyczajone zwierzę, całe światło pochłaniała, a przynajmniej dla niego zostało tego światła zbyt mało, by dostrzegł choćby ściany, nie mówiąc już o pokonaniu labiryntu.

A jeśli...

Po wsiach tak bajali, że się uboże, na Rusi domowikiem też zwane, czasem pokazuje pod postacią kota. Duch domu... Czy w tym miejscu, w którym żadne normalne rzeczy się nie zdarzały, nie było to możliwe? Jak na dworek z daleka patrzył, takie go przeczucia dopadły; szybko je zdusił, lecz przypomniał sobie, widząc kocura. Ten dworek... żył... a teraz swą żywotność ucieleśnił...

Do czego Aram był mu potrzebny? Może aby wreszcie zakończyć te szaleństwa.

Nic nie tracił, próbując. Zresztą tak nie miał żadnego innego pomysłu.

– Chodź no tu – zawołał do kocura, który nie ruszył choćby o włos, jakby rozważając propozycję i miarkując, jakie korzyści mu to przyniesie.

– No chodź – łagodniej powtórzył Aram i zwierzę powoli zaczęło podchodzić.

Nie chwycił kota, lecz pogłaskał, by zaskarbić sobie jego łaski.

– Ty stąd wyjdzie znasz, prawda? – przemówił, licząc, że bestia zrozumie. O dziwo, chyba istotnie tak było, bo kocur wyswobodził się spod miłego dotyku i przeszedł kilka kroków, a moment później obrócił łeb w stronę Arama.

– Wyprowadzisz mnie?

Kot nie spieszył się, także Aram uważał, obawiając się kolejnych pułapek. Szli tak – trudno orzec jak długo. Czas był równie zawiły jak ten labirynt. Tylko na jednym Aram się skupiał – aby nie zgubić przewodnika. Labirynt wciąż szeptał i groził, choć i te głosy słabły, a ich kusicielska moc nie robiła już na nim wrażenia.

Nagle coś się zmieniło. Urwały się szepty, jak ręką odjął.

– Tu są drzwi – powiedział sam do siebie, nim jeszcze wyczuł je pod palcami.

Kocur zniknął.

Aram pociągnął za kłamkę.

* * *

– Witam waszmości! – zawołał ktoś gromko, odwracając się do Arama. Strój miał nienaganny: aksamit, perły i damasceńska stal. Kontusz, guziki i szabla.

– Pochwalony...

– Na wieki wieków! – Mężczyzna zaśmiał się perliście.

Aram opuścił broń, bo nie sądził, by ten człowiek mógł mu zagrozić. Nie dlatego, że go lekceważył – nieznajomy był wysoki i choć smukły, niewątpliwie dobrze umięśniony. Na pewno potrafił też władać bronią. Po prostu nic w tej sytuacji nie wskazywało na nadchodzącą konfrontację.

– Widzę, że aż tu dotarłeś. – Mężczyznę ta wizyta niespecjalnie zdziwiła, ale i nie ucieszyła za bardzo. Patrzył przez wykusz prosto w noc, nieskażoną odrobiną światła. – Może to i dobrze, może to i dobrze... Zapewne chciałbyś ciało Vortimusa. Proszę, weź je sobie. – Westchnął nieco znudzony. – Mistrz siedzi w rogu.

– Vortimusa? A któż to taki?

– Ano ten, którego pewnie poszukujesz. Wielmoża tutejszy – parsknął wzgardliwie szlachcic. – Tyle że to jego tajne, alchemiczne imię, postronnym nieznanie.

Aram przelotnie tylko spojrział we wskazanym kierunku, lecz zdziwienie na moment odebrało mu mowę. Dziwić się nie powinien po wszystkim, co tu przeszedł, a jednak ten wstrząs ostatni, ta ostatnia niespodzianka sprawiły, że zrozumiał, iż naprawdę ma z czymś niezwykłym do czynienia. Nie wątpił, że ciało długo tu leżało. Mimo to Vortimus wyglądał, jakby spał. Spał lub odpoczywał – wędrowiec tuż przed podróżą do odległych krajów.

– Chciałbym też...

– Odpowiedzi? – dokończył szyderczym tonem nieznajomy. Miał krótszy niż większość szlachciców wąs, świeżo pewnie zapuszczony, a gdy mówił, jego końcówki poruszały się niezgodnie z ruchem warg. – Och, każdy zawsze chce odpowiedzi, takiej lub innej... ale dobrze, niech waści będzie, po tylu trudach przebytych nagroda się należy. – Uśmiechnął się przyjaźnie. – A przynajmniej, jak sądzę, tak waść uważasz. – Wykrzywił z wyższością usta.

Słuchając mężczyzny, Aram rozglądał się po niezbyt obszernej komnacie. Na samym środku znajdowały się stół dębowy i ława. Pod jedną ze ścian w rzędzie ustawiono szklane naczynia, niewątpliwie narzędzia alchemika. Tu i ówdzie stały beczki i beczułki, szkatuły i szkatułki, od których płynęła woń alchemicznych ingrediencji.

Poza tymi drobiazgami i ciałem Vortimusa – reszta komnaty była pusta. Mężczyzna musiał spać na podłodze, nigdzie bowiem Aram nie dostrzegł choćby namiastki łoża.

– Jesteś waść magiem? Lub alchemikiem?

– Nie. – Nieznajomy nie przysiadł na ławie, tylko wciąż stojąc przy oknie, wpatrywał się obojętnie w Arama. – Nikim z powyższych. Jestem tym, za kogo wszyscy mnie tu w okolicy mają. Jestem diabłem.

– Diabłem? – z niedowierzaniem spytał Aram, bo zabrzmiało to żartobliwie, tym bardziej, iż zostało powiedziane całkiem poważnym tonem.

– Och, nie bądź taki zadziwiony – zachnął się zniecierpliwiony. – Sam tak w skrytości myślałeś. Czyż nie? Nie pytaj mnie jednak o imię, niewiele ci powie. Ale zwać mnie możesz Przybyszem, choć pewnie sądzisz, że to ty nim jesteś... Rzecz w tym jednak – dodał nagle

cieplejszym tonem – że ja przybywam skądś, a ty znikąd.

Aram zmarszczył brwi, na co diabeł zastrzygł wąsikami.

– A co, nieprawda to? – rzucił zaczepnie. – Lud twój tuła się po świecie jak nowi Żydowinowie...

– Ormian ojczyzną jest teraz Rzeczpospolita – wycedził Aram.

– A jednak obcym się czujesz. Samotnym. Porzuconym! – powiedział diabeł, śmiejąc się.

Jeśli liczył, że słowa te sprowokują gościa, omylił się. Aram oparł głowę na ramieniu, jakby nadmiar myśli zaczął mu nieznośnie ciążyć.

– Mniejsza z tym – mruknął. – Nic ci uczynić nie mogę, jeśli prawdę rzekłeś.

– Pewnie się nie doceniasz – odparł spoważniały nagle diabeł. – Albo przeceniasz moje zdolności.

– Nie sędzę, przecie...

– Dajże spokój! – zakrzyknął Przybysz. – Tu jesteśmy na równych prawach. To miejsce ma pewną niezwykłą moc. On – wskazał na ciało, krzywiąc się przy tym przesadnie, aby dało się to łatwo zauważyć – tak namieszał. To przez niego tu tkwię. I ty poniekąd również, boś go przecie szukał...

– Cóż to jednak zmienia?

– Opuścić komnaty ni dworku sam nie mogę i mocy nie posiadam większej niż zwykły człek. Tyle że jeść ani spać nie muszę. To mi zostało...

– A te wszystkie... rzeczy, które mnie tu spotkały?

Diabeł zaczął palcem stukać w stół, jakby rozmowa go złościła.

– Oczywiście, oczywiście, zwykle to nasza sprawka – prychnął. – Ale tym razem człowiek, którego szukasz, wszelkie nieszczęścia sprowadził. Panią domu poznałeś? Nie, pytać nie muszę. Skoro jednak odejść ci pozwoliła, to już wiesz, że to, co cię trzymało, do świata żywych od dawna nie należy. I sądzisz, że ja nic innego do roboty nie mam, tylko bzdurstwa obmyślać i maluczkich kusić? – Zazgrzytał zębami.

– Jakże on to uczynił?

– A o to mnie nie pytaj. – Wykrzywił usta. – Czego się domyślasz, starczyć ci powinno... – Zmrużył z dezaprobatą oczy.

– A dzieci?

Diabeł wstał i obszedł stół dwa razy, nie zatrzymując się, jakby w miejscu nie mógł ustać.

– Dziedzica widocznie chciał mieć, tylko za wcześnie żona ze świata zesłała. On ją kochał, a ona... – głos jego w szept przeszedł – strach tylko czuła. Widzisz wać coś wyszło, gdy ją po śmierci przebudził... Ale ty byś pewnie to samo uczynił, nieprawdaż? – Uśmiechnął się lubieżnie. – Gdybyś miał taką moc...

– Przestań – przerwał mu Aram i głosy łotrów z labiryntu mu się nagle przypomniały. Głosy łotrów, lecz twarz Zofii... Bo przeszłość miała różne odcienie i nie tylko złe rzeczy pamiętał. Ale może jednak lepiej by było, gdyby to w całości odeszło? Czy jednak mógłby wreszcie dać pokój przeszłości?

– To trudne, prawda? – odgadł diabeł, czytając w myślach, a może po prostu w twarzy Arama.

– Trudne – przyznał ten bez wykrętów. – Nawet nie wiesz jak bardzo.

– Och, wielu takich poznałem jak ty czy on. – Przybysz splunął z obrzydzeniem. – A swój kwiat dzięcieliny masz?

– Kwiat? – Aram sięgnął za pazuchę i od razu go namacał, jakby cały czas tam był.

– To się go trzymaj – warknął groźnie. – Bo żadna mara cię tu nie więzi, lecz ty sam. – Pokrzepiająco położył Aramowi na ramieniu ciepłą dłoń.

Aram odwrócił twarz od okna, by nie musieć już na diabła spoglądać.

– Chciałbym już... wrócić.

– Sądysz, że ty jeden tylko? – Diabeł wzruszył ramionami i spośród słojów wszelakich wyciągnął karafkę, po czym nalał wina sobie i Aramowi. – I ja bym chciał. – Wybuchnął rubasznym śmiechem.

– Czyli to... niemożliwe? – Aram podniósł kielich z pewną nieufnością. Uczynił to jednak, bo przecie mógł go diabeł zabić w każdy inny sposób, niekoniecznie trucizną, nawet jeśli co innego twierdził.

– Widzisz... gwarancji żadnej dać ci nie mogę... – Uśmiech na diabelskim obliczu zmienił się w grymas goryczy. – Ale może jeśli jego ciało stąd zabierzesz, to i złe czary znikną? – Westchnął, patrząc niewidzącym wzrokiem gdzieś daleko. – Spróbuj...

– Naprawdę nie wiesz? – Aram zamrugał oczyma.

– Uważasz, że bym tu siedział, gdybym wiedział, co czynić? – W głosie diabła rozbrzmiał nieklamany smutek. – Jeśli jednak ty to cofniesz, i ja stąd odejdę.

– Sam mogłeś to zrobić... sam mogłeś jego ciało zabrać...

– Nie mogłem. – Zachichotał. – Mniejsza o szczegóły. A teraz decyduj, co robić, bo zmęczony jestem. Jeśli nadal sądzisz, że wszystko, co cię spotkało, diabelska to sprawka, nie ludzka... Wiesz, co czynić, a ja ci odporu nie dam – dodał wyzywająco.

Aram położył rękę na głównej szabli. Spojrzał na ciało w kącie. Chciał opanować mętlik w głowie, lecz nie potrafił. I to nie była sprawka diabła ani czarów, ale choroba od wielu lat go dręcząca.

Kogo wtedy obwinał? Boga? Siebie?

– Cóż, wybrałem – powiedział i uczynił, co uważał za słuszne.

* * *

Zszedł wolno. Wprost schodami z góry na dół, gdzie powitał go dworek.

Inny już.

Sale mijał kurzem pokryte, gdzie pajęczyny po kątach wisiały, a w powietrzu unosił się zapach stęchlizny. Cieszyło go to jednak i nawet mu ciężar przykry nie był.

A na zewnątrz świeciło słońce.

Przyjrzał się dziecielinie obficie pod płotem wyrosłej i nagle na jego ustach zakwitł szczery uśmiech.

Oczy zamknął i po raz pierwszy od dawna pozwolił się promieniom słonecznym naprawdę ogrzać.

Holandia, Ede, styczeń – marzec 2012

GLOSSARIUSZ

Ormian ojczyzną jest teraz Rzeczpospolita...

Pośród burzliwych dziejów XVII-wiecznej Rzeczypospolitej trudno nie zauważyć

akcentów obcych, często wręcz egzotycznych, które jednak szybko asymilowały się w wielobarwnej mozaice żyjących tu ludów. Tak jak od dawna Żydzi czy Tatarzy, tak swoje miejsce w królestwie Jagiellonów i później znaleźli Ormianie. A trudno o lud z barwniejszą i poniekąd jakże podobną do naszej, rodzimej, historią.

Królestwo Armenii, od zawsze wciśnięte pomiędzy młot a kowadło, swoją politykę rozgrywało i o swój byt walczyło między silniejszymi. A to Rzymem i Persją, a to Bizancjum i Turcją, a to wreszcie między Turcją i Rosją. I oczywiście nie zawsze szczęśliwie.

Jak i Żydzi, tak i Ormianie migrowali, również do Rzeczypospolitej, która przez długi czas była wzorem tolerancji religijnej i narodowościowej. W Europie pogrążonej w szaleństwie wojen religijnych i nacjonalistycznych jawiliśmy się jako kraj atrakcyjny dla wielu uchodźców z różnych stron świata. Ormianie przybywali tu chętnie i chętnie pozostawali. Już w XI wieku, gdy ich ojczyzna straciła niepodległość, rozpoczęli migrację w stronę Europy wschodniej i środkowej, najpierw na Ruś, później również do Polski. Znaczna ich liczba znalazła się w granicach Rzeczypospolitej po przyłączeniu przez Kazimierza Wielkiego Rusi Halickiej ze Lwowem. To Kazimierz pierwszy zatwierdził ich odrębność religijną, samorządową i sądowniczą, ale i jego następcy prowadzili wobec Ormian politykę przyjazną i tolerancyjną. Z Lwowa migrowali dalej do Kamieńca Podolskiego, Baru, Brzeżan czy Kazimierza nad Wisłą, choć ich odrębność samorządowa (ustalona według prawa zwyczajowego) prowadziła często do zatargów z miastami i ludnością nieormiańskiego pochodzenia. Regulował to zatwierdzony przez Zygmunta Starego tzw. Statut ormiański uwzględniający również przepisy prawa polskiego.

Ormianie udzielali się na wielu polach gospodarki, kultury i nauki, lecz ich domeną pozostawał handel, głównie ze Wschodem, który przecież często dobrze znali. Wykształceni i obeznani z orientalnymi językami, stawali się wielokrotnie także królewskimi posłańcami do Turcji czy Persji, a co bogatsi pożyczali również polskim wielmożom i królom pieniądze, konkurując w tej materii z Żydami.

Wielki był ich wpływ na kształtowanie się sarmackiego wizerunku w XVII-wiecznej Polsce. Stój kontuszowy, liczne ozdoby i przyprawy, a wreszcie szabla ormiańska to nieodzowne atrybuty dobrego szlachcica, a i wspomnieć należy, że niejednokrotnie walczyli oni w obronie nowej ojczyzny – choćby pod Wiedniem, gdzie przeciwko Turkom stanęło pięć tysięcy Ormian.

Zważywszy, że Armenia była pierwszym na świecie krajem, gdzie chrześcijaństwo stało się religią państwową, nie należy zapominać o dziejach Kościoła Ormiańskiego w Polsce. Miał on swoją specyfikę, różną od Kościoła wschodniego czy katolickiego, lecz od XVI wieku daje się zauważyć próbę niewymuszonej unifikacji – tak ze strony Polaków, jak i Ormian. Wśród zainteresowanych tą problematyką był m.in. Andrzej Frycz Modrzewski, ks. Andrzej Lubczyk, ks. Stanisław Orzechowski czy metropolita lwowski Dymitr Solikowski. Ze strony Ormian działali aktywnie ku unifikacji arcybiskup Grzegorz oraz jego następca Barsumas Bogdanowicz, a także nowy biskup kościoła ormiańskiego we Lwowie ks. Mikołaj Torosowicz. Dalsze jego działania, choć spotkały się również ze sporym oporem, doprowadziły do złożenia wyznania wiary na ręce metropolity łacińskiego, lecz przy zachowaniu tradycyjnej ceremonii i liturgii.

Akceptacja jednak napotkała spore trudności, mimo że Torosowicz szukał wsparcia u samego papieża Urbana VIII, który nadał mu tytuł arcybiskupa metropolity z jurysdykcją na Polskę, Mołdawię i Wołoszczyznę. Unii pomogły działania jezuitów i teatynów i już około 1660 roku

kościół katolicki obrządku ormiańskiego w Polsce liczył około 3500 wiernych, 20 księży i 15 kościołów.

Nie ustrzegli się niestety Ormianie asymilacji językowej i w kolejnych wiekach ich rodzimy język coraz częściej zastępowany był przez polski. Po polsku głoszone kazania, Ormianie zaś niejednokrotnie zmieniali rodowe nazwiska na podobieństwo polskich przy użyciu przyrostka „-wicz”.

Wielu znanych artystów, pisarzy i uczonych miało i ma ormiańskie korzenie, żeby wspomnieć chociażby Ignacego Łukaszewicza, Zbigniewa Herberta, Jerzego Kawalerowicza, Szymona Szymonowica czy Krzysztofa Pendereckiego.

Dawid Juraszek

PARA BELLUM

Między Biłgorajem a Tarnogrodem jest pab w foreście. Gdym się zatrzymał, by tejknąć resta, postrzegłem siedzącego podle dorów Szkota, który, gdy mu zgasła pajpa, poszedł do stajni, a returnawszy wraz z pejperem w trąbkę zwiniętym, burnujący do pajpy przyłożył i zapalił. Potem rzucił pejper na ziemię, gotnął na horsa i pojechał. Pikapnąłem niedogorzały pejper i folołujące słowa przeczytałem: „już ja nieraz w gorszych oparach!” odpowiem na to, ale wtem własną chełpliwością zawstydzon... Kuriozny, co nekstowo, rannałem na owo miejsce, gdzie Szkot chodził i tam w sianie pod żłobem diskawernałem tę storię. Kto by ekspektował taki treżer między Biłgorajem a Tarnogrodem?

...alem już strudzon był srodze. Zawołałem na sługę, by jadła dał. Wprędce się uwinąwszy, przyniósł ryby parowanej i gorzałki w blaszance. Siadam ja tedy na murze, a granaty przelatują jakoby wrony, ale wszystkie przenoszą. A stał tam obok młody mniszeczek, siedemnastoletnie pacholę. Każda żyłka w nim ze strachu drżała, lecz pilnie roznoszeniem ordynansów się zatrudniał. Ozwę się do niego: „Lichych mają psiawiary puszkarczów, za wysoko podnoszą!”. A ten pyta: „Zali mogą nas dosięgnąć?”. „Ano mogą”, odpowiem. Przygarnął się do mię i rzecze: „Panie! Wyobrażałem sobie wojnę straszną, alem nie myślał, żeby była tak straszna! Najwięcej, panie, strach mi owych kul parowych, owych granatów. Czemu to one rozpękają się z takim sykiem? Matko Boża, ratuj! I tak okrutnie ludzi parzą?”. Rozśmiałem się i tak eksplikuję: „Owóz imaginuj sobie, miły braciszku, że kula to jest żelazna, wewnątrz drażona, wodą naładowana. W jednym miejscu ma zaś dziurę dość małą, w której czop z brązu siedzi...”. Aż się za głowę złapał. „Jezu Nazareński! Czop siedzi?” Ja na to: „Ano siedzi! Kula taka grzeje się w ogniu do gorącości okrutnej. Gdy ją para od środka rozsadzać poczyna, z parmaty co prędzej wystrzeloną być musi. Owóz kula spadłszy, rozbija się i wonczas zionie wkoło ukropem i odłamkami, albo sam czop siłą rozporu z siebie wysadziwszy, snopem pary razi bez pomitu. Taka to moc szelmowska!”. Wtem widzę, że akurat na majdan granat spada, a warczy, a wichrzy, a podskakuje po bruku, a drży cały ode kotłującej się w środku pary, i pod mur nasz się toczy. Tylko czekać, aż pęknie! „Na ziemię!” strwożone wołają ludziska. Ja na to z muru zeskoczyłem, żupan w locie rozpinając. „Ot masz eksperyment!” wołam do braciszka i rad, że kula w sam kąt się potoczyła, wraz ją począłem rosić, aż kłęby szły. „Jezus! Maria! Józef!” krzyknie zrazu na ten widok braciszek, ale wnet w sukurs mi przyszedł. Szatki podkasawszy, dzielne pacholę zrosiło kulę, gdy mię już nie stało, i tak wnet ostygła. Wziąłem ją tedy i żupan przystojnie zapiąwszy, „Wstawajcie! Już teraz i muchy nie zabije!” wołam i jak nie cisnę czerepu na bruk! Wszyscy zdrętwieli, gdy kula rozpękła się wpół, ale woda jeno kałużę uczyniła. „Szalony człecze! Toż w kiełbasę parzoną byłoby cię zmieniło!” woła szlachta, a ja na to: „Albo to nam jadła nie trzeba? Napełnilibyście mną żołądki i jeszcze tak posileni więcej napsuli Angielczyków!”. A przeor, widząc to, wziął mię obu rękoma za głowę i znak krzyża uczyniwszy, rzecze głosem błogim: „Tacy jak ty nie poddadzą Jasnej Góry! Aleć zakazuję żywot narażać. Już strzały cichną i nieprzyjaciel schodzi z pola; weźże tę kulę, wytrzym ją dobrze i ponieś Najświętszej Pannie do

kaplicy!” Ja na kolana padłem. „Ojczulku!” rzekę ze łzami, przeora ściskając za nogi, „co tam wielkiego! Ja bym dla Najświętszej Panny... Ot! Słów w gębie nie staję!... Ja bym na męki, na śmierć. Ja bym nie wiem co był gotów uczynić, byle jej...”

Tu kilkadziesiąt pejdzy z manuskryptu świeżo było tornaltniętych, i mimo najusilniejsze efforta moje fajndnąć ich nie mogłem. Co więc na pierwszej pejdzy po tornaltniętych folołoowało, wiernie kładę:

...przeor krzyżem w kościele leżeć w intencji nieprzyjaciół pogębnienia, a my, rękawy zakasawszy, ogień pod kotłami jęliśmy co prędzej podsycać. Dzień był pogodny, niebo czyste i znać było, że Angielczyki ani się czego spodziewają. Gdy woda bulgotać na koniec poczęła, dałem sygnał: „Para buch!” i czeladź jak jeden mąż odwiedli zastawki. Zaszumiało w rurach i wnet tuman biały spod murów wylał się na okolicę, a wzniósłszy się, heretyckim ślepiom klasztor przesłonił. Wraże żołdactwo krzyk podniosło, zwiastujący, że postrzegli zjawisko. Jako że ja po angielsku gadam, jakobym pół żywota klepką i wańczosami w Londinium handlował, wyrozumiałem wnet, co tam wołają: a to, że mgła oczy ludzi, że kościół dziesięć razy większy się zdaje niżli wczora, że wisi w powietrzu, w górę idzie, z ócz niknie... A gdy mgła się nade mury uniosła i wieże klasztoru spowijać poczęła, spod niej powietrze dziwnie czyste się rozlało, jak na dłoni okolicę nam ukazując. Obóz pludraków cały wyległ na łąki, stosy kul rozgrzewanych porzuciwszy, od parmat odszedłszy, broń z rąk wypuściwszy, i gęby rozdziawiając, w niebo patrzył. Krzyknę wtedy: „Rychtuj! W nich psubratów! Bij, zabij, morduj!”. I poleciały granaty nasze parzące. Gdzie zebrała się zbita masa angielskiego żołdactwa, wnet w parzonkę zmieniały ich nasze kule, nadlatujące niby duchy śmierci. Jam zwijał się jak w ukropie, ale i inni obrońcy niepoślednio sobie radzili, eksperiencyji z każdym strzałem większej nabierając. Ogień każdy miał w oczach, a dziką radość w twarzy, czy to wybierał ze stosów naparzone kule, czy dolewał waru, czy rychtował parmaty. „Pokotem, pokotem!” wiwatowano co chwila, a gdzie kto co większe pośród Angielczyków sprawił spustoszenie, to gromkim wybuchał śmiechem. Wszelako jeden był między heretykami żołdak, co pod same mury wciąż podchodził i bluźnił przeciw Bogarodzicy straszliwie. Ilekroć doń strzelano, tylekroć chybiano, i rozeszła się wieść, że to charakternik, co siedmiu szatanów ma na posługi. Wszelako w dzień Niepokalanego Poczęcia czary *naturaliter* mniejszą siłę mają i tak granat mój uderzył go w same piersi i rozpękłszy się w środku, na strzępy zwarzone w jednej chwili rozerwał, który to widok tak strwożył Angielczyków, że wnet wycięli chyżego nazad. Ucieszyli się obrońcy, na co właśnie przyszedł przeor i uśmiechnął się jak archanioł, taką widząc do gromienia nieprzyjaciół gorliwość. „Serce roście!” zawoła „na widok tych obrońców Najświętszej Panienci!” A ścisnąwszy mię za głowę, rozrzewnił się i tak powiada: „Żołnierzyku boży, zaraz każę ci nagotować parującej polewki piwnej, smakowicie kostkami sera okraszonej”. Ja na kolana padłem. „Ojczy kochany, wielkie w was serce, bohaterskie i święte!” zawołam, w rękaw habitu go całując, ale słuchać dalej nie chciał. Jakoż w pół godziny pojawiły się niewiasty, księża i dziadkowie kościelni, niosąc dymiące garnki i dzbany. Wziąłem je skwapliwie i posilać się począłem, ale widząc, że sąsiedzi oglądają się tęsknie na te wiktuały, po krześcijańsku się podzieliłem i wkrótce wokoło rozległo się łakome siorbanie. „Nie dzieje się nam krzywda w służbie u Najświętszej Panny!” mówię w głos, by wszyscy dobrze usłyszeli. Wraz podchwycą: „Zaiste, wikt zacny!”. Ale dyskurs był utrudnionym, bo słowa nasze głużył z jednej strony chorał nabożny procesyji niosącej

Przenajświętszy Sakrament, a z drugiej wrzask niehumaniczny żywem parzonych Angiel...

Tu znowuż pejdzy nie masz. Dalej storia dewelopuje się tak oto:

„...już ja nieraz w gorszych oparach!” odpowiem na to, ale wtem własną chępliwością zawstydzon, pokornie oczy spuściłem i tak ciągnę: „Ojczy kochany, dawniej człek dla pokazania się, dla próżnej sławy laźł w hazard, a teraz na cześć Najświętszej Panny. Choćby też i przyszło za splendory jasnogórskie głową nałożyć, powiedzcie sami: możnali komu chwalebniejszej śmierci życzyć, jak owo za taką sprawę?”. Przeor długo milczał, wspaniały, groźny jako Mojżesz; promienie zdawały mu się strzelać ze skroni. Na koniec rzecze: „Perswazyją, prośbami, błaganiem bym cię wstrzymywał przed narażaniem żywota, gdybyś sobie jeno do sławy słać drogę pragnał, ale tu chodzi o cześć Najświętszej Panny, o to święte miejsce, o kraj cały, o świat bez mała, o *universum*! Nie może noga heretyka wstąpić w te uświęcone mury, nie może anglikański zabobon guseł swych odprawować w tym przybytku czci i wiary! Poczciwej nie masz u Angielczyków religii, nic boskiego ni ludzkiego nie jest dla nich świętym i niedotykalnym! Przeciw sercu powiadam ci zatem, idź, ja cię nie wstrzymuję!”. Łzom odporu dać już nie mogłem, a przeor dalej prawi: „Takeśmy cię tu pokochali szczerze, że pójdą z tobą modlitwy nasze. Niechże cię Rafał święty prowadzi, moje dziecko, mój synaczku kochany!...”. Ja na kolana padłem: „W takiej kompanii pójdę śmieie i rad zginę, jeśli przyjdzie *necessitas*!”. On mię za głowę ścisnął. Pożegnawszy się rzewnie, przechodem za mury z kizką wyszedłem. Noc była ciemna, choć oko wykol, cicho naokół, komilitoni coraz dalej, to i zwątpienie do człeka coraz większy ma przystap, alem się krzepił myślą, jaką to okrutną psotę Angielczykom wyrządę, w czym Pan Bóg pewnikiem mi pofortuni. Nie będą już anglikanie, lutrowie, kalwini dyzgustów Najświętszej Paniencie czynić, zdroju Jej łaski hamować! Wreszciem krawędź szanca zoczył, a nad nim ogieniek i paszczkę kolubryny. Wymiarkowawszy, któredy droga najpewniejsza, z wolna pięć się jałem. Lodu zgrudziałego tam było co niemiara, bo przy każdym wystrzale ukrop na szaniec spadał i marzł. Dotarłszy na koniec pod sam wylot, postrzegłem, że przy ogieńku pod kolubryny sempiterną nikt warty nie sprawuje. Jałem tedy zagarniać lodu kawały i wrzucać migiem a cichcem do lufy. Choć mróz trzymał, to mię pot wystąpił na czoło, ale na koniec ramię w lufie zagłębiwszy, poznałem, że pełna. Zasunałem tedy kizkę do środka. „Naści, piesku, parówki!”. A w owejże chwili spod szanca wołają po angielsku: „A kto tam przy kolubrynie?”. Poznałem, że straż przechodzi. „To ja, John!” odpowiem. „Z szanca bluźnierstwami ku twierdzy papistów miotam!”. Na to oni: „To dobrze, dobrze. Szczęście, że nie strzela, bo sam snop pary łeb by ci wraz w pudding obrócił”. Gdy odeszli, chyłkiem do ogieńka się zakradłem i nuże podsycać. A obok stosu kul stał i stos drew wysoki, bo to i przy strzelaniu ogień wielki do stężania pary potrzebny, i gdy się nie strzela takóž, żeby mróz instalacyji nie rozsadził, jeno mniejszy. Wnet płomieie raźniej lizać poczęły kolubrynę. Upusty wszelkie zawarłem i słyszę, że w lufie bulgotać poczyna. Pożar prawdziwy rozgorzał, a psiajuchy jak spały, tak śpią. Kolubryna już trzeszczy, rada by wyrzucić z siebie jaki pocisk przeciwko klasztorowi, ale nie może to być, bo kizka rozpuchła się od wilgotności niemożebnie, to i wyprzeć z lufy się nie dawała. Wtem jak nie gwizdnie zawór bezpieczeństwa! *Signum*, że ciśnienie pary dość już wielkie. Zepchnąłem cały stos drewna w ogień i dobyłem szabli, gotów za Najświętszą Panienkę życie oddać, przy tem kilka dusz heretyckich do piekieł strącając. Natenczas obudził się obóz cały i hurmem...

„...zali zdobędziemy fortecę przy takich zaparzonych obrońcach? Toż to fanatyk! Z podobnym fundamentalizmem trudna walka!”. Tak to Angielczyki admiirowały moje męstwo i przemyślność, ale jam, spętany, nie słuchał nic, bom się modlił. Na koniec wyszedł od jenerała zdradźca pułkownik. „Chodź, przesławny żołnierzyku”, rzecze. „Potrzeba ci pielęgnacyjki, boś okrutnie poparzon”. „Rakarz!” ja mu na to. „Dobrze, dobrze, harda duszyczko!”. Wziął mię na arkan i powiódł przez obóz. Jam czuł, że śmierć nadchodzi i modliłem się parliwie, polecając się Bogu z całej duszy, alem przerwał, gdym znów pośród ogólnej konfuzyji ujrzał ruinę kolubryny i stopy trupów kacerskich, wszystkich srodze sparzonych, a niektórych to i na poły rozgotowanych. Słońce akurat klasztor oświecało od zadu, a krzyż, rozsypujący nad obrońcami słodkie a rześiste blaski, cieniem groźnym padł na szaniec, heretykom na urągowisko. Gromki śmiech mój do gniewu Angielczyków pobudził, ale zdradźca przystępu im do mię nie dawał, szablą i zębem groźnie błyskając. Zawiódł mię na koniec w pustą stodółkę w szczerym polu. „Rozebrać tego gaszka do naga! I przynieść mi parznicę, a dobrze nagrzaną!” kazał żołnierzom. „Rakarz!” ja na to. Wnet powiesili mię na belce za ręce i nogi. Wziął tedy zdradźca parznicę i tak prawi: „Mówiłem, że dwóch jest pułkowników w Rzeczypospolitej, dwóch tylko: ja i ty! A tyś się właśnie do kompanijki ze mną nie chciał przyznać i kopnąłeś mię? Poczekaj, już ja ci za to zaraz boczki wyparzę!”. „Rakarz!” ja znów na to rezolutnie. „Ot, tak... boczki wyparzę!” powtórzył on i pod żebro strumieniem pary mię żgnął. Zęby zagryzłem, by do honoru mego obelgi nie dopuścić. Namarszczył się i znowuż parznicą zasyczał. Ja nic. „Nie bardzoś mowny, robaczku” rzecze. „Jeszcześ widać nie dosyć poparzon po rozsadzeniu kolubryny...”. Już do katuszów na powrót się brał, ale w tejże chwili wierzeje skrzypnęły i weszli nowi jacyś żołnierze. „Mości pułkowniku! Jenerał życzy sobie natychmiast widzieć waszą miłość!”. Zdradźca parnym tumanem gębę mi jeszcze na odchodnym osmagał. „Było ci ciepło, to teraz ochłodnij, ja wrócę niebawem, wtedy parę z gęby puścisz!”. Jak odjechał, jam oczy zamknął, by znów duszę Bogu polecić, gdy wtęm spyta ktoś: „Ociec, naparzać?”. „Naparzać!”. I krzyki nieludzkie, podobne pianiu zarzynanego koguta, z czyichś dobywają się gardzieli. Patrę, a to stary z synami nad trupami żołnierzy z okrwawionym szabliskiem stoi, kłębami z parznicy spowit. „Szelmny, odciąć pana pułkownika, a żywo!” zawoła. Ja na kolana padłem, ale wnet powstałem. Stary podał mi gorzałki i mówi: „Konie pod wierzejami, droga wolna, hasło wiemy...”. Alem nie dał mu dokończyć: „Nie może to być! Ja na tego zdradźcę poczekam!”. Ani słowa nie piśli, tak z dawna przywykli ślepo mię słuchać. To i czekamy. Niebawem tętent się rozległ kopyt i zdradźca z konia zeskoczywszy, woła: „Co, u pioruna! Czyś stary zgłupiał?! Jenerał zajęty, straż nie chce puszczać, mówią, że nie posyłano...”. Wparzył rozeźlon do stodoły, ale jak go synowie starego porwali, ani się obejrzał, a już wisiał na belce na kształt półgęska z kneblem w dziobie. Wziąłem tedy parznicę i mówię: „I kto tu z nas dwóch lepszy? Toż twój obóz o strzelenie z łuku! Twój tysiąc złodziejów na zawołanie! Twój jenerał angielski opodal, a ty na tej samej belce wisisz, co ja wprzódy! Chciałeś się ze mną równać, do kompanii mej należeć, w paragon ze mną wchodzić? Ty panie Szelmowski z Szelmowa! Ty strachu na stare baby! Ty wyskrobku ludzki! Ty rzezimieszku! Ty kutergębo! Ty niewolniku! Ty podłoto! Ty arcypsie! Ty chamie! Mógłbym cię tą oto parznicą wyparzyć niby kapłona, jak ty mię chciałeś... I wiesz co? Tak właśnie uczynię!”. I popuściłem pary, równomiernie członki zdradźcy strumieniem obwodząc, aż woń gotowanego mięsa poczęła się po stodole rozchodzić. Jęczał spod knebla żałośnie, ale dla przeniewierców sprawy ojczyzny i wiary nie

masz kompasji. Wreszcie skurczył się, wyprężył i ducha wyzionął. „Noża!” wołam do starego. Wraz podał mi dobry kindżał turecki. Dopomagając sobie parznicą, oderżnałem zdradźcy gębę. Skóra zesłała snadnie, jeno wąs od wilgotności obwisł, ale to furda, bo oblicze łącno do mego przylgnęło. „Gotujcie się!” rzeke, przewdziewając się w kontusz pułkownikowski. „Wracamy zamordować angielskiego jenerała!”. Stary aż się cofnął i rzecze zalęknion: „Panie, ależ to śmierć pewna!”. Dopiero skoczę wtenczas do niego, parznicą mu w oczy zaświecę. „Człecze małego ducha!” krzyknę. „Dla Najświętszej Paniienki nie żal...”

Reszty nie masz.

Chiny, Hengyang, 2010-2013

GLOSSARIUSZ

Kusi rzec, że chodzi o zadumę nad meandrami historii alternatywnych, zawilnością narodowego losu, ulotnością snów o potędze, nieuchronnością dziejowych procesów...

Opowiadanie powstało ze zderzenia dwóch czynników – zamierzchłego zaproszenia do antologii steampunkowej pod redakcją Sławomira Spasiewicza i ówczesnego zainteresowania niżej podpisanego czasami sarmackimi. Za zaproszenie, które poskutkowało inspiracją, rzeczony niżej podpisany pozostaje niezmiennie wdzięczny, choć zmuszony był ostatecznie je odrzucić; na zainteresowanie zaś dziś, kiedy ogień przygasł, patrzy z sentymentem i nadzieją, że jeszcze kiedyś wystrzeli ono kreatywnym płomieniem.

...tymczasem chodzi jednak o zabawę. Zabawę cytatami z autorów wielkich, a po różnych stronach sztucznie podtrzymywanej barykady stojących; zabawę językiem, tym dawnym i tym współczesnym, o którego mityczną czystość niektórzy niemądrze się trzęsą; zabawę narodowymi symbolami, na straży których nader często stoją tchórze. Zabawę tym, czym można i należy się bawić – dziedzictwem kultury.

DYKCJONARZYK

- ad animum confirmandum* – dla pokrzepienia ducha
ad patres – do ojców, w zaświaty
apage – precz, odejdz
auri sacra fames – przeklęty głód złota
benedicamus Domino – błogosławmy Panu
contra desiderium – wbrew życzeniu, wbrew woli
damnant quod non intelligunt – potępiają, bo nie rozumieją
de gais, boris et graniciebus, kmetonibus, et omnibus rebus, et quibusdam alijis – o gajach, borach i granicach, kmieciach i wszystkich innych sprawach
de iure – na mocy prawa
dictum sapienti sat – mądrymu starczy słowo
ergo – zatem
est modus in rebus – na wszystko jest sposób
exemplum – przykład
factum est – dokonało się
formaliter – formalnie, oficjalnie
furtim – po cichu, dyskretnie
in omnibus rebus militaribus – we wszystkich rzeczach związanych z rzemiosłem żołnierskim
magnifica ac generosa virgo – dostojna i szlachetnie urodzona panna
naturaliter – naturalnie
necessitas – konieczność
para bellum – gotuj się do wojny
per pedes – pieszo
peregrinus – pielgrzym
praemonitus, praemunitus – ostrzeżony, uzbrojony
primo – po pierwsze
primo voto – z pierwszego małżeństwa
quod si acciderit – na wszelki wypadek
raptus puellae – porwanie dziewczyny
requiem aeternam dona ei, Domine, et lux perpetua luceat ei – wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci
sacrilegium – świętokradztwo
saporem – smakiem
secundo – po drugie
signum – znak
successio – spadek
sum – jestem
treuga Dei – rozejm boży (średniowieczne określenie zakazu walki w niektóre dni)
universum – wszechświat

Bevitore

Spis treści

PRZEDMOWA

Andrzej Sawicki

MACHINE DE POLOGNE

Monika Sokół

ISKRA BOŻA

Agnieszka Hałas

SZATAŃSKI PLAN

Stanisław Truchan

OBSYDIAN

Tomasz Kilian

DZIĘCIELINA

Dawid Juraszek

PARA BELLUM

DYKCJONARZYK